

20 lat temu zmarł
Edward Gierek

Tajemnica jego pamięci

Jak lata 70. zmieniły
Polskę



MEDYCY

ANTYSZCZEPIONKOWCY

CO Z NIMI ZROBIĆ?

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



W ŚWIETNYM STYLU
Filmaster.com

PRZERAŻAJĄCY
IndieWire

**TAJEMNICZY
I NIEPOKOJĄCY**
Screen Daily

70^e Internationale
Filmfestspiele
Berlin
Konkurs Główny

SSIFF
Donostia Zinemaldia
Festival de San Sebastián
International Film Festival

**FESTIVAL INTERNATIONAL
DU FILM**
DE LA ROCHE-SUR-YON

NH20 nowe
horyzonty

REŻYSERIA NATALIA META

INTRUZ

W ROLACH GŁÓWNYCH
ÉRICA RIVAS NAHUEL PÉREZ BISCAYART CECILIA ROTH
[„DZIKIE HISTORIE”] [„IŻO UDERZEN SERCA”] [„ANIOŁ”]

W KINACH OD 30 LIPCA



Nie nowa i nie lewica

Najpierw były worki obietnic, deklaracji i pięknych słów polityków na zachętę dla wyborców o lewicowych poglądach. Demokracja i partnerstwo. Uczciwość i przyzwoitość miały być znakiem firmowym Nowej Lewicy.

A co dostali wyborcy, którzy na nią głosowali? Też worki. Wstydu i kompromitacji.

Pod tym kotłem gotowało się od dawna. Ale długo przeważała partyjna lojalność. Nie wyciągano kłopotów na widok publiczny, licząc, że adresaci krytyki zmieniają postępowanie. Taka metoda ma czasem sens. Jest szansą na rozwiązania koncyliacyjne. Na kompromisy, które w polityce są niezbędne. Niestety, dla Czarzastego i jego najbliższego otoczenia kompromisy nie są metodą, którą traktują serio. Polityka to dla nich nieustanny podbój. I marginalizowanie ludzi mających inne zdanie. Tak się nie da zbudować demokratycznej partii. A w przypadku partii lewicowej takie metody są całkowitym zaprzeczeniem wyznawanych wartości.

Najgorsze, że z powodu tego, co płynie z siedziby władz Nowej Lewicy, odium nie omija nikogo. Nawet tych, którzy, choć utożsamiają się z lewicą, żadnych funkcji nie pełnią. Teraz wszyscy – ja też – muszą się tłumaczyć. I wstydzić za nieswoje grzechy. Co gorsza, to może być dopiero początek rozliczeń. Bo jak już z tego gara

zaczęło się ulewać, to wyjdą na jaw inne, jeszcze bardziej kompromitujące fakty.

By ten bezwstyd nie pogrążył ideowych i wartościowych działaczy, którzy niczym nie zawiniли, potrzebny jest powrót do demokracji. Wewnątrzpartyjnej. Czyli do tego, co w ostatnich latach nie było tam praktykowane. Do lewicowej partii powinni wrócić wycięci przez Czarzastego jego rywale. A jeśli sprawy zaszły za daleko i już nie da się tego zrobić, to może warto zbudować coś obok sztucznego tworu, jakim ma być Nowa Lewica. Pomysł *stricte* biznesowy i mający zapewnić godne życie grupce działaczy dla nikogo nie będzie atrakcyjną ofertą. Partia lewicowa na nowe czasy to bardziej federacja rozmaitych ruchów lewicowych, stowarzyszeń, fundacji, portali, grup i autorytetów niż to, co wymyślili Czarzasty i Biedroń. Lewica nie potrzebuje wodza ani wodzusiów z ich dworami. Statuty partyjne, które stworzyli sobie wodzowie Nowej Lewicy i Wiosny, to koszmar. Myślenie z czasów monarchii. Chyba nawet Jarosław Kaczyński tak się nie pozabezpieczał dożywotnio jak ci dwaj panowie.

Ktoś im jednak te statuty zatwierdził. A oni to wykorystali i ograli swoje środowiska jak dzieci. Ktoś wybrał Czarzastego na szefa kuchni. I patrzył, jak szybko cała kuchnia staje się jego własnością. Odwrócenie tego będzie bardzo trudne.

PRZEGLĄD to już nie tylko TYGODNIK
POZNAJ nasz najnowszy **PODCAST**

NASTĘPNY PODCAST PO LEWICJ

POLITYKA, SPOŁECZEŃSTWO I HISTORIA Z LEWICOWEJ PERSPEKTYWY
CHOĆ NIE TYLKO
Znajdziesz nas na:

CYTATY

SWIETŁANA ALEKSIJEWICZ,
białoruska pisarka, noblistka

Rewolucją na Białorusi kierowały kobiety, dzięki czemu udało się nie doprowadzić do jeszcze większej tragedii.
„Wolna Sobota” (magazyn „Gazety Wyborczej”)

DR PAWEŁ SĘKOWSKI, redaktor naczelny,
prezes Stowarzyszenia Kuźnica

W dłuższej perspektywie czasowej prawda (o PRL) się obroni, a zadaniem lewicy jest w tym dopomagać.
„Zdanie”

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Wiosna – partia, której nie ma**
Czarzasty Biedronia się chwytą
- 12 Medycy – antyszczepionkowcy**
Brak im wiedzy czy szukają reklamy?
- 16 Ciężki żywot Janków Muzykantów**
Atak na opłatę reprograficzną
- 18 Pokolenie Netfliksa jedzie za granicę**
Będzie nowa fala emigracji
- 22 Chlewnia przy pełnikowej łące**
Przemysłowy chów niemile widziany

HISTORIA

- 26 To lata 70. najmocniej zmieniły Polskę**
20. rocznica śmierci Edwarda Gierka
- 30 Lekcja realizmu politycznego**
Paryska „Kultura” o powstaniu warszawskim

ZAGRANICA

- 34 Kardynał przed sądem**
Korespondencja z Rzymu
- 37 Kręte losy ruchu niepodległościowego w Katalonii**
Pojednawcze gesty rządu centralnego
- 40 Zbrodnia i kara współcześnie**
– rozmowa z prof. Elżbietą Czykwin
- 43 Kosmiczny postęp psychy**
Bezos leci, wszyscy płacimy

SYLWETKI

- 44 Trudne życie szpiega**
Tomasz Turowski – „nielegal” pisarzem

KULTURA

- 48 Żadnej książki**
nie wymyśliłbym przy biurku
– rozmowa z Jakubem Żulczykiem
- 50 Culturalia**
- 66 Sztuka karmi sztukę**
– wystawa w MOCAK-u

PSYCHOLOGIA

- 52 Guzik wiemy o naszych dzieciach**
– rozmowa z Tomaszem Zielińskim

STYL ŻYCIA

- 55 Czekolada z szarańczą**
– rozmowa z dr inż. Anną Żołnierczyk
- 58 Wakacje prawdziwych gwiazd**
Piosenki, romanse, hulanki

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Nie nowa i nie lewica
- 11 Jan Widacki**
Minister Czarnek może spać spokojnie
- 25 Roman Kurkiewicz**
Humbag kosmonautów miliarderów
- 29 Tomasz Jastrun**
Kaputt
- 47 Wojciech Kuczek**
Szkolny prześladowca
- 51 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Pośpiesznie, osobowo



18
KRAJ

POKOLENIE NETFLIKSA JEDZIE ZA GRANICĘ

Będzie nowa fala emigracji

34
ZAGRANICA

KARDYNAŁ
PRZED SĄDEM
Korespondencja
z Rzymu



58
STYL ŻYCIA

WAKACJE PRAWDZIWYCH GWIAZD

Piosenki, romanse, hulanki

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. SHUTTERSTOCK,
ZDZISŁAW ZAREMBA/POLSKA PRESS/EAST NEWS



Młodzi nie kupili kłamstw o PRL

Skoro młodym tak się podoba PRL, to niech się tam przeniosą. Postoją w kolejkach za cukrem, pójdą na SB po paszport. No i obejrzą w telewizji program naukowy NURT lub technikum rolnicze. To akurat faktycznie nie takie złe.

Kazimierz Adamski



Młodzi nie muszą nigdzie się przenosić. Wystarczy im teraz postać w kolejkach do lekarzy lub kilka lat czekać na zabieg, pójść do skarbówki nakapować na sąsiada i spłacać przez 30 lat kredyt na dwupokojową norę zbudowaną za czasów PRL, którą to pierwotny właściciel dostał za darmo. No i obejrzeć program „naukowy” prowadzony przez kler i oszołomów pokroju Czarnaka.

Michał Czarnowski

Teraz mogą bez problemu pojechać za granicę na zmywak albo zostać w Polsce bez pracy i dachu nad głową, słysząc od Janusza biznesu, że dziesięciu czeka na ich miejsce. Aktualnie Ukraińców.

Sebastian Wieliczko

Prywatna partia Czarzastego

Byłem wyborcą lewicy i w czasach jej prosperity, i wtedy, gdy ponosiła porażki i klęski. Lewica wielokrotnie mnie zawodziła, ale mimo wszystko ideowo byłem z nią związany i głosowałem na, moim zdaniem, najlepszych w moim okręgu wyborczym, kierując się nie miejscami na liście, ale rozsądkiem. Jednak dzisiaj, po tym, co zrobił Czarzasty, po przywdzianiu przez niego szat autokraty (myślę, że gdyby były czasy stalinowskie, to ci



wszyscy zawieszeni, wykluczeni działacze zostaliby z rozkazu przewodniczącego rozstrzelani), z ciężkim sercem nie zagłosuję na prywatną partię Czarzastego, bo równie dobrze mógłbym zagłosować na PiS – tam również jeden człowiek decyduje o wszystkim. Czuję się tak, jakby ktoś plunął mi w twarz, i myślałem, że ta wojenka Czarzastego z ludźmi lewicy może znowu doprowadzić do nieobecności lewicy w parlamencie. Już Salustiusz głosił, że *concordia res parvae crescunt, discordia vel maximae dilabuntur* (zgodą małe rzeczy wzrastają, niezgodą nawet największe się rozpadają). Znaczna część ludzi do wyborów nie pójdzie albo poprze innych kandydatów. Jeszcze jest trochę czasu do wyborów. Jest też czas na zorganizowanie lewicowej grupy składającej się z osób, którym nie podoba się sposób prowadzenia polityki przez Czarzastego. Jest przecież PPS, są inne ugrupowania, są ludzie z SLD, może wyłoni się jakiś ruch polityczny ze Strajku Kobiet. Skoro Hołownia zdołał przed wyborami prezydenckimi zebrać całkiem spory elektorat, to dlaczego prawdziwej, demokratycznej lewicy miałoby się nie udać? Może wieszczę utopię, ale dopóki się żyje, nic nie jest niemożliwe.

Andrzej Pogorzelski

Epidemia narcyzmu

My, wczesna generacja X, wychowani w samokrytycyzmie, dużych wymaganiach stawianych sobie, nauczani skromności, mamy ogromny kłopot w konfrontacji z młodymi milenialsami, którzy wiedzą mniej, inaczej się uczą, mają mniejsze doświadczenie, ale przekonanie o sobie i swoich kompetencjach nieadekwatne do rzeczywistości. A może nieadekwatne tylko z naszego, starych, punktu widzenia?



Dorota

ZDJĘCIE TYGODNIA

Polska reprezentacja prowadzona przez Maję Włoszczowską i Pawła Korzeniowskiego podczas ceremonii otwarcia Igrzysk Olimpijskich 2020 w Tokio.





PYTANIE TYGODNIA

Czy wakacyjna praca dzieci jest dobrym środkiem wychowawczym?

PROF. ROMAN LEPPERT,

*pedagog, Wyższa Szkoła Pedagogiczna
w Bydgoszczy*

Wakacyjna praca dzieci sprzyja ich wychowaniu, jednak po pierwsze, musi to być praca dobrowolna, a nie taka, do której jest się przymuszonym. Po drugie, nie może przekraczać możliwości dziecka wynikających z aktualnego poziomu jego rozwoju. Po trzecie, nie może pozbawiać całych wakacji. Taka praca pozwala się sprawdzić, wzmacnia poczucie sprawstwa, kształtuje cechy pożądane nie tylko w pracy. Jeżeli do tego dostarcza satysfakcji, to dzieciom, podobnie jak dorosłym, służy doskonale. Powyższe rozważania dotyczą rzecz jasna nastolatków (starsze klasy szkoły podstawowej, szkoła średnia), choć np. rodzicom w wykonywaniu prac domowych pomagać mogą (i pomagają) również młodsze dzieci.

MARTA SZYMCZYK,

*nauczycielka, pedagożka szkolna,
aktywistka społeczna*

Rozumiem, że chodzi o korzyści rozwojowe wynikające z pracy w okresie wolnym od nauki. Pracy rozumianej jako

podjęcie się odpowiedzialności za wykonanie określonego zadania – czy będzie to wyprowadzanie psa sąsiada, koszenie trawnika na działce czy roznoszenie ulotek. Uważam, że jest to dobre, pod warunkiem że pamiętamy o równowadze między pracą a odpoczynkiem. Dzieci nie mogą być przeciążone wakacyjną pracą, a jej charakter powinien być dostosowany do wieku. Poprzez jej podjęcie mogą się nauczyć, że energia w nią włożona przynosi określone korzyści. Sądzę, że redukuje to postawę roszczeniową wobec świata, uczy szacunku i pokory, a także pozwala docenić wagę pieniądza – jest praktyczną lekcją przedsiębiorczości i samodzielności. Ponadto młodzi ludzie mogą wówczas lepiej zrozumieć rodziców/opiekunów, którzy, pracując, dbają o ich lepszą przyszłość.

TOMASZ BILICKI,

*psychoterapeuta, doradca zawodowy,
Fundacja Innopolis*

Przede wszystkim trzeba zaznaczyć, że każde dziecko ma prawo do wypoczynku i czasu wolnego (art. 31 Konwencji o prawach dziecka). Wielu dorosłych bagatelizuje obciążenie młodych ludzi procesem

edukacyjnym. Tymczasem uczennice i uczniowie, kiedy policzyć godziny dydaktyczne, czas na prace domowe i przygotowanie się do zajęć, pracują więcej niż niejeden dorosły. Wakacje powinny być czasem regeneracji. Prawa młodych ludzi nie zwalniają ich jednak z obowiązków i nie zabraniają pracy, pod warunkiem że jest nieszkodliwa dla zdrowia dziecka lub jego rozwoju fizycznego, umysłowego, duchowego, moralnego lub społecznego (art. 32 konwencji). Praca wakacyjna bez wątplenia uczy odpowiedzialności, może przynosić satysfakcję, uczyć, że pieniądze nie biorą się z bankomatu. Może być także elementem orientacji zawodowej, rozwijania kompetencji potrzebnych w przyszłości na rynku pracy, wzmacniania pewności siebie. Pamiętajmy jednak, że zmuszanie dzieci do pracy, wypominanie im, że są darmozjadami, odcinanie od środków finansowych to formy przemocy ekonomicznej. Nie warto również fantazjować, że popracowanie przez dwa tygodnie u wujka uwolni nastolatka lub nastolatkę od zachowań buntowniczych, niskiej samooceny czy depresji.

Not. Michał Sobczyk

Wiosna – partia, której nie ma

Tak zwane zjednoczenie lewicy to humbug stulecia



Robert Walenciak

Kadry Wiosny to, oprócz Roberta Biedronia, m.in. posłanki Anita Kucharska-Dziedzic (nz. z lewej) i Beata Maciejewska.

Włodzimierz Czarzasty już ogłosił, że nie będzie respektował żadnych postulatów płynących z Nowej Lewicy. Że nie zwoła rady krajowej ani konwencji, mimo że jest do tego zobowiązany. Za to zdecydowany jest przeprowadzić kongres zjednoczeniowy z Wiosną.

Skąd ta desperacja? Odpowiedź jest prosta, mówi o tym m.in. Andrzej Rozenek: – Czarzasty panicznie boi się, a ma ku temu powody, że zostanie odwołany ze stanowiska przewodniczącego Nowej Lewicy.

Czarzasty wie, że większość partii jest przeciw niemu. Dlatego wymyślił inny sposób na zachowanie władzy – w statucie Nowej Lewicy, tym z grudnia 2019 r., zapisano, że władze zjednoczonej partii będą wybierane wspólnie, głosami dwóch frakcji. W praktyce wyglądać to będzie tak, że Czarzastemu wystarczą do elekcji głosy Wiosny plus nawet niewielkie poparcie ze strony Nowej Lewicy. Liczy więc, że Biedroń załatwi mu stanowisko współprzewodniczącego. A on, w rewanżu, załatwi

mu to samo. I że będą razem szefować partii przez lata.

Nie dziwny się więc, że Andrzej Rozenek apeluje, by każda frakcja osobno wybierała swoich współprzewodniczących. – Nie chcemy, aby nam koleżanki i koledzy z Wiosny wybierali Czarzastego, bo chcemy wybrać w demokratycznych wyborach osobę, która zyska najwięcej głosów ze strony byłego SLD. Tak samo jak nie chcemy wybierać koleżankom i kolegom z Wiosny ich przewodniczącego – tłumaczy. Ale czy te słowa mają moc?

Nawiasem mówiąc, co nie wszyscy pewnie dostrzegli, statut Nowej Lewicy pozwala Czarzastemu na niewpuszczenie do nowej partii przeciwników politycznych. Procedura przewiduje bowiem, że koordynatorzy frakcji mogą odrzucać wnioski o przyjęcie, dowolnie, według własnego widzimisię, i w takiej sytuacji sprawa trafia do sądu partyjnego. Ale jak długo będzie tam rozpatrywana – tego już statut nie precyzuje.

Tym prostym sposobem Czarzasty może ułożyć sobie partię na nowo.

Po pierwsze, nie wpuszczając do niej przeciwników, a przynajmniej mocno ograniczając ich liczbę. A po drugie, wykorzystując głosy Wiosny i zapewniając sobie w partii władzę. Po to potrzebna jest i jemu, i Biedroniowi Wiosna, czy raczej jej smętne resztki.

I dlatego tak walczy, żeby zjednoczenie Nowej Lewicy i Wiosny odbyło się według zasady 1:1. To nie jest jego błąd ani objaw szlachetności – po prostu wie, że ze strony Nowej Lewicy zbyt wielu głosów nie dostanie. Dlatego na wielką siłę, równoważną dawnemu SLD, kreowany jest byt, który tak naprawdę nie istnieje. Tak wygląda kolejny trik Czarzastego.

Co z tą proporcją?

Trudno wyczuć, kiedy lewicowi politycy zorientowali się, że wielkie halo pod nazwą zjednoczenie Nowej Lewicy i Wiosny to zwykły humbug. Ale już wiedzą i buntują się. Mówi o tym wyraźnie Robert Kwiatkowski. Ilu jest ludzi w toruńskim SLD? Dwie setki. A ilu w toruńskiej Wiosnie? Ośmiu.

I teraz te siły mają się jednoczyć w proporcji 1:1.

Podobne proporcje są w innych regionach Polski, pod warunkiem że Wiosna tam istnieje. Weźmy Warszawę – tu wiośniarzy jest 66, tymczasem Nowa Lewica to 960 osób.

Oczywiście liczba członków to dziś największa partyjna tajemnica. Ale gdy drążymy temat, otrzymujemy dane, które brzmią wręcz sensacyjnie. Otóż niektórzy mówią, że Wiosna ma 500 członków, inni, że dwa razy mniej. Osoba ze środka tej „potęgi” powiedziała nam, że regularnie w całym kraju płaci składki mniej niż 200 osób.

Mamy też informacje, praktycznie z całej Polski, że postanki i postowie z Wiosny prowadzą teraz gorączkowy nabór, bo zwyczajnie brakuje ludzi, którzy mogliby wypełnić przypadające partii miejsca – brakuje 500 osób na kongres zjednoczeniowy, brakuje kandydatów do nowych władz partyjnych. Już tych zjednoczonych.

W niektórych regionach Polski wybuchły więc z tego powodu awantury – bo postowie Wiosny próbowali kaperować do nowej partii swoich kolegów, najczęściej z Nowoczesnej, którzy przytulili się do PO. Lokalni liderzy Platformy wołają, że Lewica chce im podbierać radnych. Z taką oto potęgą jednoczy się 1:1 niedawny Sojusz Lewicy Demokratycznej.

Wiosna, ach to ty

Choć przyznajmy, był czas, gdy Wiosna naprawdę mieszała na polskiej scenie i miała w sondażach dwukrotnie lepszy wynik niż SLD. Dwucyfrowy. Sam projekt tej partii był dobrze przemyślany i początkowo dobrze realizowany. Mało kto dziś już to pamięta, ale partia Roberta Biedronia startowała jako głos małych i średnich miast. A przynajmniej taka była jej początkowa obietnica. Projekt Biedronia miał nie być kalką istniejących ugrupowań lewicowych czy liberalnych, zapowiadał się jako postępową propozycją dla tych wyborców i ośrodków, których platformy i pisowskie rządy zostawiły w tyle. „Biedroń inauguruje kampanię, Lewica idzie po średnie miasta”, pisał w „Rzeczpospolitej” Michał Kolanko, gdy burmistrz Słupska w tym właśnie mieście ogłosił swój start na prezydenta RP.

Biedroń w pierwszym roku istnienia Wiosny podkreślał, że do małych i średnich miast ma trafiać więcej środków europejskich, a priorytetem jest „równoważony rozwój”. Doniesienia o obietnicach Biedronia podawały regionalne media w Sochaczewie, Radomiu, Koszalinie. Doradcami szefa partii zostali dr hab. Maciej Gdula i Michał Syska. Ten drugi już od kilku lat promował spotkania i dyskusje wzywające do tego, by postępowe partie skupiły się właśnie na „Polsce średnich miast”. Broszura jego autorstwa pod tym tytułem leży pewnie do dziś w paru biurach poselskich i redakcjach.

Choć plan był dobry i przemyślany, Wiosna słabo wywiązała się z tej początkowej obietnicy. Mimo że entuzjazm był. „Fani piszczą na jego

w 2019 r. był na to czas, hala pękała w szwach, wręcz nie była w stanie pomieścić zebranych. Gdy jednak ostatecznie proces zapisywania ludzi do partii ruszył, było zbyt późno: zamiast setek nazwisk na listach chętnych pojawiało się ich kilkanaście. Nieprawdą jest, że Wiosna nie miała żadnych struktur, ale nie miała ich też więcej niż np. Razem – ocenia.

Sami działacze chwalili się wtedy, że Wiosnie udało się zebrać tysiąc członków w kilka tygodni. Bardzo możliwe, że to właśnie był sufit i na tysiącu wtedy się skończyło.

Problemów ze strukturą partii było więcej. Złośliwi zaczęli mówić o ugrupowaniu, że to „projekt rodzinny”. Na biorących miejscach znalazły się dwa związki partnerskie założycieli partii: Sylwia Spurek i Marcin Anaszewicz,

Iludzi jest w toruńskim SLD? Dwie setki. A ilu w Wiosnie? Ośmiu. I te siły mają się jednoczyć w proporcji 1:1.

widok. Rzucając mu się na szyję, a do *selfie* ustawiają się w kolejkach”, pisał o kampanii Biedronia z 2019 r. na stronach „Krytyki Politycznej” Dawid Krawczyk. – 11 tys. km przed nami, ponad 50 miast, prawie 20 dni w podróży. To dalej niż do Wławy. Jedziemy rozmawiać z ludźmi. Będziemy mieli setki spotkań w całej Polsce: w małych miasteczkach, na wsi nawet, w dużych miastach – mówił wtedy lider Wiosny. Jednak bardziej niż spektakularny objazd po Polsce zapamiętano to, że do Wiosny poza politykami SLD średniego pokolenia – Krzysztofem Gawkowskim czy Pauliną Piechną-Więckiewicz – zaczęli trafiać ludzie przypadkowi. Z Nowoczesnej, z biznesu, z dawnej partii Palikota. Za to z masowym zaciągiem do nowej partii był problem.

Zaciąg mało masowy

– Wiosna nie wykorzystała momentu, gdy ludzie chcieli zapisywać się do partii setkami. I mówię to z przykrością. Wiedzieliśmy, co wcześniej u Palikota czy w SLD nie zadziałało, ale i tak nie udało się uniknąć pewnych błędów – mówi posłanka Hanna Gill-Piątek, która dostała się do Sejmu w 2019 r. przy poparciu Wiosny, a dziś jest już w kole poselskim Szymona Hołowni. – Po kongresie na Torwarze

jeden z twórców programu Wiosny, a także Biedroń i Śmiszek. Mandaty ostatecznie wzięli Spurek i Biedroń, ale już nie Śmiszek i Anaszewicz. To doprowadziło do dalszego personalnego poróżnienia na szczytach partii. A także, rzecz jasna, do skandalu, jaki ciągnie się za Biedroniem do dziś. Szef partii zobowiązał się bowiem, że po uzyskaniu miejsca w Parlamencie Europejskim zrzeknie się mandatu i dalej będzie pracował na sukces Wiosny w krajowych wyborach. Jego mandat miała objąć kobieta i ze względu na wynik typowano na to miejsce prof. Monikę Płatek. Niedoszła europosłanka już nawet miała dzielić się z mediami swoją radością. „Jestem gotowa”, cytował ją dziennik



► „Fakt”. Tyle że Biedroń mandatu się nie rzekł. A prof. Płatek zachowała się honorowo, bo była w krytyce i pretensjach do lidera Wiosny dość umiarkowana.

Ten moment, kiedy Biedroń wycofał się z obietnicy, okazał się dla niego kluczowy. W grupie tych, którzy zainwestowali w niego swoje emocje, stracił to, co dla polityka najważniejsze – wiarygodność i powagę. Koniec, kropka. Do szerokiej publiczności przebił się obraz cwanego gracza, który założył partię, naobiecywał, a potem okazało się, że tylko po to, żeby dostać się do Brukseli. A Wiosnę, ludzi tam działających, zostawił samym sobie. I to już był koniec Biedronia, i koniec Wiosny.

Zjednoczeni

Gwiazdką z nieba okazała się dla nich wszystkich informacja, że Schetyna wyrzucił Czarzastego z Koalicji Europejskiej. To była mała sensacja, bo do tej pory SLD był oddaną częścią Koalicji, a Czarzasty chodził po mediach i opowiadał, że to Schetyna jest przywódcą opozycji, a on bardzo chętnie będzie mu pomagał.

Polityczka, której powierzono m.in. młodzieżówkę Wiosny, Monika Pawłowska, jest dziś u Gowina.

„Wierzę w Koalicję Europejską. To największy, najlepszy i najtrudniejszy projekt, jaki powstał w Polsce po transformacji. Jedyny, który jest w stanie wygrać z PiS, także na gruncie programowym. Jestem więc lojalny wobec tego projektu – mówił w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej”. – Gdy pan Schetyna uzna, że wciąż chce ten projekt budować, to na mnie i SLD może liczyć”.

W tej samej rozmowie o Biedroniu mówił zaś tak: „W sprawie pana Biedronia mam już problem, bo nie bardzo wiem, jaki tam jest system wartości. Niestety, często zmienia zdanie. Nie można budować przez rok narracji, że dwa bloki polityczne opozycji to największa tragedia, po czym twierdzić coś zgoła innego. Nie rozumiem jego przygody z euromanifestem. Do tego dochodzą przejścia Wiosny z przedstawieniem spisu faktur. Z tych względów to nieprzewidywalny partner”.

Podobnie zresztą mówili bliscy SLD publicyści – zwalczała Wiosnę jako konkurencję Sojuszu po lewej stronie sceny politycznej i zachwalali *deal* ze Schetyną. Potem wszystko się zmieniło.

Przedwiośnie, czyli galimatias

O tym, jak bardzo się zmieniło, świadczy chociażby historia młodzieżówki Wiosny, czyli Przedwiośnia. Historia, bo Przedwiośnia już nie ma, już połączyło się z młodzieżówką Sojuszu.

A to właśnie na młodych partia chciała budować swoją przyszłość. – Wiosna bardzo mocno zainwestowała w młodzieżówkę, Przedwiośnie, której poświęcono sporo czasu i energii. Jednak pandemia i dystans spowodowały, że psychiczne wyczerpanie taką formą pracy szybko dało o sobie znać i atmosfera siadła – mówiła PRZEGŁADOWI Gill-Piątek.

Niezrażeni tym fiaskiem politycy Wiosny dalej uparcie stawiali na politykę dla młodych i o młodych. Tylko że popełniano błędy. Polityczka, której powierzono m.in. młodzieżówkę i koordynację struktur, Monika

Pawłowska, jest dziś u Gowina. W ostatnim głosowaniu nad wotum nieufności dla ministra edukacji Przemysław Czarzasty podniosła rękę za pozostawieniem go na stanowisku. Choć gdy jeszcze była w Wiośnie, brała udział w protestach pod MEN, w trakcie których na transparentach i partyjnych plakatach widniało hasło „naczelnym homofob”. Odnoszące się do Czarzasty właśnie.

Przykład Pawłowskiej pokazuje, do czego mogą prowadzić chaotyczny zaciąg i polityczna łapanka. Już zresztą nadzorując prace Przedwiośnia, Pawłowska popadała w konflikty. W roku 2019 o mobbing posądził ją 18-letni działacz organizacji w województwie lubelskim. Sprawa trafiła do Gabrieli Morawskiej-Staneckiej, dziś wicemarszałkini Senatu, która obiecała się nią zająć. Pawłowska nie została jednak usunięta z partii, zdobyła mandat i została posłanką Koalicyjnego Klubu Lewicy. Jeszcze jesienią 2020 r.

brała udział w Strajku Kobiet. Do Porozumienia Gowina odeszła w marcu 2021 r. A niedługo później Morawska-Stanecka, która miała w partii odpowiadać za walkę z mobbingiem, sama oskarżyła o mobbing na łamach „Gazety Wyborczej” Włodzimierza Czarzastego.

Lewo, prawo...

Wielu ludzi zadaje sobie pytanie, czy Wiosna – mimo że współtworzy Nową Lewicę – jest w ogóle partią lewicową. Wiadomo, jest to ugrupowanie jednego, dwóch tematów, obrony praw osób LGBT i ataków na Kościół. A reszta?

Rozpiętość poglądów na gospodarkę jest w tym środowisku widoczna: są tam byłe posłanki Nowoczesnej, działacze partii Palikota, milionerzy, a najmłodszy poseł Maciej Kopiec był wcześniej prezesem firmy dewelopersko-budowlanej. Czołowi eksperci społeczno-gospodarczy Wiosny (poza wspomnianym wyżej Syską), tacy jak Dariusz Standerski czy Marcin Anaszewicz, są raczej socjalliberałami. Ilekroć wracają pytania o podatki czy socjalne wydatki państwa, Biedroń ucieka od typowo lewicowej retoryki. I to jest oczywiście w zgodzie z pierwotnym pomysłem na partię (nielewicową i postpolityczną), jaką Wiosna miała być. Ale przed zjednoczeniem z SLD wraca pytanie, co wyniknie z oddania połowy władzy w lewicowej partii ugrupowaniu, które nigdy lewicowe być nie chciało. W badaniach widać – pisaliśmy o tym w tekstach poświęconych wyborcom Lewicy – że gdy Wiosna stała się częścią lewicowej koalicji, za nią przyszli wcześniejsi wyborcy Petru i Palikota. Z kolei dawni wyborcy SLD odpłynęli.

Dziś, po połączeniu z Wiosną, wyborcy Lewicy są więc najbardziej liberalną i często także najbardziej niechętną wydatkom socjalnym państwa grupą elektoratu. Taki jest to paradoks – Czarzasty łączy się z Wiosną pod hasłami „nie będziemy przybudówką PO”, chociaż wie, że i wyborcy, i grupa działaczy tej partii to osoby o poglądach najbliższych PO. Ale przecież w tym manewrze nie o poglądy chodzi...

Robert Walenciak,
współpraca JD

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Z Galicji



Jan Widacki

Wiadomo, że każda próba odwołania ministra rządu, który ma za sobą sejmową większość, skazana jest na niepowodzenie. Czy zatem składanie przez opozycję wniosku o wotum nieufności ma jakiegokolwiek sens? Może mieć, ale nie musi. Rozpatrywanie wniosku w Sejmie daje opozycji szansę publicznego skrytykowania ministra, którego wotum dotyczy, oraz rządu i jego polityki, stwarza też okazję do zaprezentowania własnych poglądów i propozycji. Tak było również w przypadku odwołania ministra Czarneka. Oczywiście było, że koalicja rządząca swojego ministra obroni. Byłoby skrajną naiwnością liczyć, że do opozycji, a i to niecałej, dołączą posłowie Porozumienia. Nawet gdyby tak się stało, i tak zabrakłoby głosów do odwołania ministra. Ale aż tak naiwna Platforma chyba nie jest. Wiedziała zatem, że wniosek o wotum nieufności zostanie odrzucony. Jedyną niewiadomą było, iloma głosami. Zgłoszenie wotum miało więc dać tę szansę publicznej debaty parlamentarnej. Tyle że posłowie opozycji do debaty się nie przygotowali.

nauki. No więc wypowiada się. Poseł uważa, że niesłusznie czasopisma zagraniczne są wyżej punktowane niż nasze krajowe. Nawiasem mówiąc, nie jest to prawdą. Po ostatnich zmianach niektóre polskie czasopisma, zwłaszcza kościelne, punktowane są wyżej niż prestiżowe zagraniczne. Zdaniem posła naukowiec Polak powinien pisać po polsku. Podążając konsekwentnie za tym tokiem rozumowania, ponieważ każdy Polak to katolik, każdy naukowiec (Polak katolik) powinien pisać po polsku w czasopismach kościelnych.

Pan poseł nie wie (bo niby skąd ma to wiedzieć, skoro żadnych studiów nie ukończył), że nauka jest jedna. Nie jest przypisana do żadnej nacji, do żadnego terytorium. Jest jedna, rzecz w tym, by mieć w niej udział, by móc korzystać z jej ustaleń. Ambicją, ale też patriotycznym obowiązkiem uczonego Polaka jest mieć w tej światowej nauce jak największy udział – by jego prace były czytane, cytowane, by inspirowały innych badaczy. Jeśli ktoś pisze po angielsku, szansa na to, że jego praca zostanie w świecie zauważona, że wejdzie

Minister Czarnek może spać spokojnie

Ministra Czarneka jest za co krytykować. Ale opozycja nawet tego nie potrafiła zrobić. Powoływanie się w wystąpieniu sejmowym na obawy i niepokoje spotkanej przypadkowo na ulicy babci kilkorga wnuków albo na opinię napotkanej (też przypadkiem?) 15-latkę przypominało kazania w „stylu kapucyńskim”, jakie można często usłyszeć zwłaszcza w prowincjonalnych kościołach. Raziło naiwnością, żeby nie powiedzieć dosadnie: infantylizmem. Na tle słabo argumentujących swój wniosek posłów opozycji posłowie PiS, sam minister Czarnek, a wreszcie broniący swojego ministra premier Morawiecki byli znacznie bardziej przekonujący. Z tupetem wzbijali się na wyżyny demagogii, semantykę naciągali jak gumę od majtek, za nic mieli logiczną zasadę sprzeczności. Pan premier, broniąc ministra, a przy okazji polityki rządu, twierdził np., że PiS chce odideologizować szkoły i uczelnie, wytępić załęgłe tam rzekomo lewactwo, naprowadzić na jedynie słuszną drogę wartości narodowych i chrześcijańskich. Czyli wedle semantyki pana premiera odideologizowanie polega na zwalczaniu jakiegokolwiek ideologii i zastępowaniu jej inną. Ma zatem być wojną ideologiczną i odgórnym wprowadzaniem ideologii milej pisowcom. No, wedle słownika słowo to znaczy jednak coś innego.

Poseł Konfederacji Krzysztof Bosak zaatakował ministra Czarneka za to, że za słabo i za mało efektywnie walczy z lewactwem w szkołach i na uniwersytetach! Odniósł się także do punktacji czasopism i grantów Narodowego Centrum Nauki.

Jako człowiek starej daty uważam, że dobrze jest wiedzieć, o czym się mówi. Pan Bosak ewidentnie nie podziela tego poglądu. Wprawdzie, jak wiadomo, studiował na kilku uczelniach kilka kierunków, ale żadnego nie ukończył, uznał jednak, jak widać, że to już upoważnia go do wypowiadania się w sprawie

do światowego obiegu, wzbogaci naukę światową, jest większa, niż gdyby była napisana po polsku i tylko w Polsce czytana. A czasopismo prestiżowe, światowe, tym się różni od np. zeszytów naukowych małej szkoły wyższej na polskiej prowincji bądź czasopisma kościelnego, że jest czytane w całym świecie, cytowane przez uczonych z całego świata, ma wpływ na poziom nauki i kierunki jej uprawiania. Zanim artykuł zostanie opublikowany w prestiżowym czasopiśmie, musi przejść anonimowy proces recenzowania przez wybitnych uczonych, specjalistów z danej dyscypliny, reprezentujących różne ośrodki naukowe. Aby opublikować (po polsku) artykuł w jakichś zeszytach naukowych prowincjonalnej szkoły wyższej, czasem wystarczy znać ich redaktora. Tym się różni czasopismo prestiżowe od nieprestiżowego.

Pan poseł dziwuje się również, że wnioski o granty NCN trzeba pisać po angielsku, i napomina, że to nawet w czasie okupacji nie było praktykowane. Pomijam napuszoną demagogię oraz idiotyczne porównanie do czasów okupacji. Wyjaśnię tylko, że niektóre wnioski o granty są recenzowane przez uczonych zagranicznych, którzy na ogół nie znają polskiego, i aby można było skorzystać z ich recenzji, trzeba im wniosek o grant przetłumaczyć na angielski. Którego znajomość w Polsce jest dość powszechnie deklarowana.

Mając takich przeciwników, jak ci, którzy w Sejmie popierali wniosek o wotum nieufności, minister Czarnek może spać spokojnie. Spokojnie zwalczać „lewactwo”, pielęgnować za pośrednictwem szkoły „cnoty niewieście” uczennic i cnoty „żołnierzy wyklętych” u uczniów. A rozpętaną wojnę ideologiczną i światopoglądową nazywać odideologizowaniem szkoły.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

MEDYCY – ANTYSZCZEPIONKOWCY

Co z nimi zrobić?

Anna Brzeska

W co ma wierzyć pacjent, skoro o rzekomych zagrożeniach płynących ze szczepień mówią ludzie w białych kitlach, zaproszeni do telewizji, z tytułami profesorskimi? Co ma zrobić, gdy w gabinecie lekarz rodzinny szepcze mu, by „lepiej tej szczepionki nie przyjmować”?

Co prawda ponad 90% lekarzy i ponad 85% lekarzy dentyków już w pełni się zaszczepiło, kolejne kilka procent ma za sobą pierwszą dawkę, jednak do Biura Rzecznika Praw Pacjenta docierają sygnały dotyczące lekarzy, którzy zniechęcają pacjentów do szczepień przeciw COVID-19. „W jednym przypadku RPP skierował sprawę do Izby Lekarskiej, w innym zawiadomiliśmy o działalności lekarza podmiot leczniczy”, pisze Jakub Gołąb z biura RPP. Przyznaje jednocześnie, że zniechęcanie pacjentów do przyjęcia szczepionki przez lekarzy należy uznać za postępowanie nieakceptowalne: – Jeśli pacjent spotka się z takim zachowaniem, powinien zgłosić się do kierownika przychodni lub skontaktować się z Biurem Rzecznika Praw Pacjenta. Pacjent może także złożyć skargę do okręgowego rzecznika odpowiedzialności zawodowej lekarzy, który działa przy okręgowej izbie lekarskiej. Należy jednak odróżnić od powyższych sytuacji przypadki, kiedy po przeprowadzeniu badania kwalifikacyjnego lekarz uzna, że pacjent z powodu np. przeciwskażeń nie może być zaszczepiony.

Obowiązkowe szczepienia? Dobry pomysł

Co jednak zrobić z medykami, którzy sami nie chcą się szczepić, a mają kontakt z pacjentami? Obowiązek szczepień tej grupy zawodowej to radykalne, lecz bez wątpienia skuteczne



Po pierwszych negatywnych reakcjach na szczepienia Kościół powoli zmienia zdanie. Przy kościołach w sześciu miejscowościach powiatu nowotarskiego 18 lipca zorganizowano punkty szczepień.

rozwiązanie, z którego skorzystały już – lub to planują – takie kraje jak Francja, Włochy czy Grecja. Kiedy doczekamy się go w Polsce?

– Powinniśmy skupić się nie tyle na przymusie, ile przede wszystkim na edukacji, uświadamianiu dobrodziejstw, jakie dają szczepienia, a także na zwalczaniu „teorii” antyszczepionkowych i negujących COVID-19. Powinniśmy się szczepić – dla bezpieczeństwa naszych chorych, ale również nas, medyków, i abyśmy nie byli po raz kolejny posądzeni o to, że jesteśmy rozsądnymi epidemii – mówi prof. Matyja.

Prezes Okręgowej Rady Lekarskiej w Warszawie Łukasz Jankowski wypowiada się bardziej zdecydowanie. Odnosząc się do potencjalnego wprowadzenia obowiązku szczepień stwierdził w programie Onet Rano, że „jeśli chodzi o personel medyczny, to by się przydało” i że jest to dobry pomysł.

Jeszcze dalej idzie Krystyna Ptok, przewodnicząca Ogólnopolskiego

Związku Zawodowego Pielęgniarek i Położnych, cytowana przez portal Medonet.pl. Twierdzi ona, że szczepienia powinny być obowiązkowe dla wszystkich.

Superżołnierze, depopulacja i 5G, czyli brednie dr. Hałata

Sprawa jest poważna, ponieważ antyszczepionkowa ofensywa trafiła już do gabinetów i na konferencje medyczne. Co gorsza, lekarze „foliarze” – a „foliarzami” nazywa się fanów teorii spiskowych, od czapeczek z folii aluminiowej, która rzekomo chroni przed „szkodliwym wpływem promieniowania 5G” i innymi podobnymi zagrożeniami – zapraszani są już do telewizji.

Wywiad z lekarzem epidemiologiem, byłym głównym inspektorem sanitarnym i byłym wiceministrem zdrowia, dr. Zbigniewem Hałatą, dziennikarka internetowej PL1.TV rozpoczyna tak: „Konferencja Biskupów Polski uznała, że szczepionki są

nieetyczne, bo w ich skład wchodzi fragment dziecka z aborcji”. Spo- dziewam się, że dyplomowany le- karz wyprostuje ten niezręczny skrót myślowy – wszak szczepionki wcale nie zawierają „fragmentu dziecka”. Rzeczywiście, użyte w nich adenowi- rusy namnażane są na liniach komór- kowych pozyskanych z komórek pło- dów abortowanych w 1972 i 1985 r., ale przecież chodzi nie o fizycznie te same komórki, lecz o ich „potomków” czy klony. W dodatku komórki te nie wchodzi w skład preparatu. Jednak dr Hałat, zamiast prostować bzdury, mówi o Nowym Testamencie i piątym przykazaniu, zabijaniu dzieci itp.

W kolejnym wywiadzie epidemio- log dzieli się sensacyjnymi informa- cjami na temat rzekomej obecności grafenu w szczepionkach przeciw COVID-19. To oczywiście fake news. Jego historia jest w skrócie taka: do- niesienia na temat przeprowadzone- go niezgodnie z regułami nauki bada- nia w Hiszpanii zostały przemielone i wypłute przez antyszczepionkowy generator bredni, a następnie ujaw- nione przez dr. Hałata. Twierdzi on, że „grafen [zawarty w szczepionkach i wstrzyknięty do naszych ciał] mo- że być wzbudzany z zewnątrz”, gdyż „dużo jest informacji, że może być wzbudzany przez stacje nadawcze telefonii komórkowej 5G”, co mogło- by umożliwić „sterowanie naszym zachowaniem”. Dalej pan doktor fantazjuje na temat produkcji super- żołnierza czy superczłowieka, o „uzu- pełnionym składzie genetycznym, wyciętych tych genach, które są nie- potrzebne, i zostawianych tych, które są według projektantów potrzebne”. Ostrzega też przed sytuacją, w któ- rej „wybrańcy będą dopuszczeni do prokreacji, a cała reszta nie należy do tych wybrańców”, do czego miałyby służyć „preparaty zwane szczepionka- mi na covid”, zawierające „takie czy inne składniki”. Sugeruje również, że światem rządzą tajemniczy pro- jektanci, natomiast osoby, które „są nam znane z ekranu telewizyjnego”, „powtarzają tylko zadane lekcje”. Da- lej możemy się dowiedzieć, że depo- pulacja już została zaplanowana, co „zostało wyryte w granicie na wielkim pomniku w Georgii”, i „nasza popula- cja ma [finalnie] wynosić pół miliarda ludzi”. W tym momencie mój bzdur- ometr wybucha, więc nie dowiaduję się, co dalej stanie się z cywilizacją.

Zabawne? Tak, ale skutki rozpo- wszechniania tego typu absurdów są tragiczne.

Bzdury z importu

Łamiący serce facebookowy wpis, którego autorem jest lekarz rodzinny Jacek Bujko, zostaje udostępniony setki razy. Opowiada w nim o swoim tacie: „Od kilku miesięcy rozmawia- łem z nim o przyjęciu szczepionki przeciw COVID-19. Proponowałem mu zaszczepienie się szczepionką

Ile osób zmarło lub cierpi na powikłania po COVID-19, bo zaufało fake newsom?

Comirnaty firmy Pfizer, ale jej odmó- wił. W Stargardzie, w którym miesz- kał, otrzymał termin na szczepionkę firmy AstraZeneca, ale miał przed nią obawy. Kilukrotnie rozmawialiśmy przez telefon na temat jego wątpli- wości, ale jako synowi-lekarzowi nie udało mi się ich rozwiązać”.



Dr Zbigniew Hałat twierdził, jakoby obecny w szczepionkach i wprowa- dzony do organizmu grafen mógł być wzbudzany przez stacje nadaw- cze telefonii komórkowej 5G.

Tata medyka w końcu się nie zaszczepił. Zmarł na covid półto- ra miesiąca po tym, jak wysłał sy- nowi otrzymanego od znajomych SMS-a o byłym naukowcu Pfize- ra, niejakim Mike’u Yeadonie, str- szącym ludzi „śmiercionośnymi” szczepionkami.

„Nie uwierzył mi jako lekarzowi specjaliście i nie zaufał mi jako syno- wi”, konkluduje ze smutkiem lekarz. Ile takich historii mogło się wydarzyć? Ile osób zmarło lub cierpi na powi- kłania po COVID-19, bo zaufało fake newsom?

W Polsce do tej pory w pełni udało się zaszczepić niecałe 40% społeczeń- stwa. Według czerwcowego badania CBOS najmniej chętnie szczepią się młodzi, najchętniej najstarsi. Wśród osób w wieku 60 lat lub więcej nie za- mierza się szczepić 15-16% (w zależ- ności od kategorii), a wśród najmłod- szych, w wieku 18-29 lat, aż 39%. Na początku lipca szef KPRM Michał Dworczyk przyznał, że znacząco ma- leje zainteresowanie rejestracją na szczepienia, w związku z tym niektóre punkty szczepień są już zamykane.

Tymczasem, jak informowało w czerwcu amerykańskie Centrum Kontroli Chorób (CDC), w Stanach Zjednoczonych na 18 tys. pacjentów, którzy w maju zmarli na COVID-19, zaledwie ok. 150 osób miało za sobą komplet szczepień.

Kim w ogóle jest Mike Yeadon? Przedstawia się go najczęściej jako „byłego głównego naukowca Pfize- ra”, co sugeruje, że jest doskonale zorientowany w temacie szczepionek produkcji tej firmy. Jednak, jak uda- ło się ustalić dziennikarzom portalu Demagog.org.pl, naukowiec od dzie- więciu lat nie pracuje już dla farma- ceutycznego giganta. Co więcej, nie był jego „głównym naukowcem”, lecz dyrektorem ds. badań alergii i układu oddechowego, co nie ma wiele wspólnego z opracowywaniem szczepionek. Jego doniesienia nie mają żadnych naukowych podstaw.

Inną zagraniczną „gwiazdą” an- tyszczepionkowców jest kanadyjski immunolog i wirusolog dr Byram Bri- dle. Według jego własnych interpre- tacji badań z różnych ośrodków na- ukowych białko kolca koronawirusa, do którego wytworzenia prowokuje nasze komórki szczepionka, jest groź- ną toksyną. Doniesieniom Bridle’a za- przeczył już jeden z autorów badania, na które powołał się Kanadyjczyk (pi- sze o tym m.in. portal Fakenews.pl, specjalizujący się w demaskowaniu bzdur), wyjaśniając, że wnioski z nie- go wcale nie mówią o toksyczności białka kolca po podaniu szczepionki, tylko o powikłaniach po COVID-19.

Niestety, tego rodzaju sensacyjne newsy nagłaśniają również osoby ▶

► mające wykształcenie medyczne. Wypowiedzi Mike'a Yeadona zacytował na swoim blogu m.in. niemiecki lekarz, dr Wolfgang Wodarg.

Bzdury rodzime

Antyszczepionkowych lekarzy nie brakuje i w Polsce. Dr Katarzynę Ratkowską, specjalizującą się w psychiatrii, zaprosiła do studia redakcja Polsat News, zapewne w trosce o dziennikarską bezstronność. Efekt jest jednak taki, że setki tysięcy widzów mogły usłyszeć wspomniane fake newsy wymyślone przez Byrama Bridle'a. Dr Ratkowska mówiła też, że szczepionki są „wciąż w fazie badań klinicznych”, sugerując, że podawanie ich pacjentom jest nieuprawnione. Tyle że to nieprawda – wszystkie obecnie stosowane preparaty, jak każdy inny produkt leczniczy, przeszły już trzy fazy badań klinicznych potrzebne do dopuszczenia produktu na rynek.

Fałszem jest także wzmianka o rzekomej większej śmiertelności na COVID-19 u osób zaszczepionych niż u niezaszczepionych. Tę sprytną sztuczkę z liczbami zgonów i zachorowań antyszczepionkowcy stosują nie pierwszy raz: porównują śmiertelność w dwóch grupach – wśród osób, które zachorowały na COVID-19 mimo szczepienia, oraz tych, które nie zaszczepiły się i również zachorowały. Kłopot w tym, że takie porównanie jest całkowicie niezgodne z naukowymi regułami analizowania danych. Grupa zaszczepiona to bowiem, statystycznie rzecz biorąc, starsza i bardziej schorowana część społeczeństwa, nieszczepieni zaś to przede

o tyle rozpowszechnianie ich przez lekarzy może przerażać. Oznacza bowiem albo rażącą niewiedzę – albo cyniczne i świadome wprowadzanie ludzi w błąd, być może dla reklamy czy rozpoznawalności.

W listopadzie ub.r. kilka postaci ze środowiska naukowego wystosowało do polskich władz (m.in. prezydenta i premiera) apel wyrażający zaniepokojenie masowymi szczepieniami przeciw COVID-19. Jeśli jednak



Dr Katarzyna Ratkowska, psychiatra, w Polsat News niezgodnie z prawdą sugerowała, że szczepionki są „wciąż w fazie badań klinicznych” i podawanie ich pacjentom jest nieuprawnione.

przyjrzymy się tej liście, zobaczymy, że właściwie nikt spośród podpisanych nie zajmuje się wirusami czy immunologią, a niektórzy wręcz nie mają nic wspólnego z naukami przyrodniczymi – są doktorami filozofii, politologami itd. W tym gronie jest profesorka z zakładu Propedeutyki i Fizykodiagnostyki Stomatologicznej Krystyna Lisiecka-Opalko czy patomorfologka prof. dr hab. n. med. Maria Sobaniec-Łotowska – ta sama naukowni, która „widziała serce

naukowca radomskiego Uniwersytetu Technologiczno-Humanistycznego.

Apel na szczęście nie spotkał się z ciepłym przyjęciem władz. Narodowy Program Szczepień ruszył – podobnie jak postępowanie naczelnego rzecznika odpowiedzialności zawodowej przeciwko grupie lekarzy, którzy ów list podpisali.

Bzdury instytucjonalne

Wiosną natomiast kolejna grupa lekarzy (w tym dr Hałat), ośmielona być może popularnością autorów powyższego listu, założyła Polskie Stowarzyszenie Niezależnych (a jakże!) Lekarzy i Naukowców. To niejedyna tego rodzaju organizacja – przeciwko szczepieniom występują też lekarze i naukowcy z Ordo Medicus. W jej składzie znaleźli się m.in. wspomniany prof. Zieliński oraz współpracująca z nim prof. dr Kornelia Polok. Na stronie organizacji znajdziemy m.in. link do sklepu, w którym można kupić kolejne tomy „Fałszywej pandemii” wydane przez Fundację Osuchowa – założoną przez Grzegorza Brauna z Konfederacji.

„Nie jesteśmy przeciwnikami szczepień, ale nie widzimy żadnego uzasadnienia podawania zdrowym dzieciom eksperymentalnego, nieprzebadanego preparatu przeciw COVID”, pisze w oświadczeniu dr n. med. Dorota Sienkiewicz, reprezentująca PSNLI. To podkreślenie pozytywnego stosunku do szczepień może nieco zaskakiwać, skoro lekarka zasłynęła z antyszczepionkowych poglądów zademonstrowanych podczas wystąpienia w Sejmie w 2018 r.

Do PSNLI należy również lekarka Ewelina Gierszewska, która także uparcie pisze o szczepionkach jako „eksperymentach”. Jest doradcą medycyny naturalnej oraz prezeską Chrześcijańskiej Fundacji Centrum Dobrej Nowiny. Na stronie organizacji poza „strawą duchową” czytelnicy znajdą zachęty do niestosowania kremów z filtrem – co jest całkowicie sprzeczne z zaleceniami dermatologów i onkologów. Fundacja organizuje też rekolekcje z tzw. postami Daniela, w rzeczywistości sześciotygodniowymi głodówkami, krytykowanymi przez dietetyków jako niekompletne i rujnujące metabolizm.

Członkiem PSNLI jest też neurołożka dr Beata Wrodycka-Żytowska.

W co ma wierzyć pacjent, skoro o rzekomych zagrożeniach płynących ze szczepień mówią zaproszeni do telewizji ludzie w białych kitlach, z tytułami profesorskimi?

wszystkim osoby młodsze i dzieci. Nie można porównywać śmiertelności w obu tych grupach w taki sposób, w jaki porównuje się podczas badań klinicznych wyniki w grupach kontrolnych, do których należą osoby w tym samym przedziale wiekowym czy stanie zdrowia. Tego jednak antyszczepionkowcy już nam nie powiedzą. O ile można usprawiedliwić powielanie takich informacji przez osoby bez medycznego wykształcenia,

w hostii z Sokółki” podczas ekspertyzy dokonanej wraz z prof. dr hab. Stanisławem Sulkowskim (również sygnatariuszem antyszczepionkowego apelu) na „przemienionym komunikancie”.

Wśród sygnatariuszy apelu znalazł się też prof. Roman Zieliński, który jest wprawdzie genetykiem, jednak naukowo zajmuje się roślinami. Od jego poglądów odciął się już rektor zatrudniającego

Twierdzi, że szczepionki mają znaczenie „drugoplanowe”, jeśli istnieją skuteczne leki. Wśród nich wymienia amantadynę, stosowaną dotychczas m.in. u chorych na parkinsona, której skuteczność w zwalczaniu COVID-19 nadal nie została potwierdzona badaniami klinicznymi. Te rozpoczęły się w kwietniu i kieruje nimi prof. Konrad Rejdak, jednak brakuje chętnych pacjentów, by poddać się takiemu leczeniu.

Może to nieco dziwić w obliczu popularności amantadyny, rosnącej od jesieni, gdy pojawiły się pierwsze doniesienia o rzekomych sukcesach lekarza z Przemyśla, Włodzimierza Bodnara. Chwalił się on, że wyleczył z COVID-19 aż 3 tys. osób i wszystkie mają się świetnie.

Czy rzeczywiście? Śledztwo w tej sprawie przeprowadził w kwietniu dziennikarz TOK FM Michał Janczura na podstawie rejestrów prowadzonych przez NFZ. Dowiedział się m.in., iż recept na amantadynę Bodnar przepisał o połowę mniej, niż deklaruje, w dodatku tylko nieco więcej niż połowa osób, które je otrzymały, miała przeprowadzony test na obecność koronawirusa. 17 osób leczonych przez Bodnara amantadyną zmarło. Postępowanie w sprawie zbiorowego naruszenia praw pacjenta w przychodni Optima w Przemyśle, kierowanej przez Włodzimierza Bodnara, wszczął już rzecznik praw pacjenta.

Konsekwencje dla medyków sprzeniewierających się nauce zapowiada też prezes NRL, prof. Andrzej Matyja: – W przypadku lekarzy informujących o szczepionkach w sposób niezgodny z aktualną wiedzą medyczną, tym samym łamiących zasady wykonywania zawodu lekarza i lekarza dentystry oraz zasady etyki lekarskiej, będą kierowane wnioski do organów odpowiedzialności zawodowej dotyczące wszczęcia postępowania w przedmiocie odpowiedzialności zawodowej.

Profesor dodaje, że w sprawie PSNLiN postępowanie rozpoczął już okręgowy rzecznik odpowiedzialności zawodowej w Opolu.

Co na to rząd?

Prezes NRL zwrócił uwagę na jeszcze jeden skutek dezinformacji: hejt wobec medyków wiernych nauce: – Jako samorząd lekarski

wielokrotnie alarmowaliśmy organy państwa o powszechnym hejcie antyszczepionkowym i antycovidowym. Walka z dezinformacją i hejtem musi być systemowa, wsparta przez organy ścigania, bo to jest zorganizowana i opłacana wojna informacyjna, która wychodzi już na ulicę w posta-

Prezes Naczelnej Rady lekarskiej prof. Andrzej Matyja zapowiada konsekwencje dla medyków sprzeniewierających się nauce.

ci bilbordów i publicznych wystąpień osób i organizacji, których działania mogą doprowadzić do spadku zaufania do szczepień, do personelu medycznego, co może się przełożyć na tragiczne skutki kolejnej fali pandemicznej.

W związku z tymi obawami 30 czerwca prezes NRL zwrócił się do premiera Mateusza Morawieckiego z prośbą „o pilną interwencję rządu w sprawie szerzącej się niezrozumiałości i niepopartej rzetelną wiedzą naukową fali dezinformacji”.



Włodzimierz Bodnar chwalił się, że wyleczył z COVID-19 aż trzy tysiące osób i wszystkie mają się świetnie. W rzeczywistości 17 osób leczonych przez Bodnara amantadyną zmarło.

– Otrzymaliśmy informację, że prośba ta została przekazana do ministra zdrowia Adama Niedzielskiego – mówi prof. Matyja. – Niestety, obecnie rządzący są bierni w tej walce. Kolejnym przykładem jest to, że wiele spośród składanych przez samorząd lekarski zawiadomień o podejrzeniu popełnienia przestępstwa, dotyczących zniekształniania i prób zastraszenia lekarzy jako grupy zawodowej zaangażowanej w walkę z COVID-19, zostało umorzonych lub

potraktowanych jako przestępstwa prywatnoscargowe, które nie leżą w kręgu zainteresowania prokuratury. NRL zaapelowała już do ministra sprawiedliwości oraz ministra spraw wewnętrznych i administracji o podjęcie stanowczych kroków prawnych przeciwko osobom i organizacjom,

które dopuszczają się czynów zabronionych wobec lekarzy i lekarzy dentystry, promujących i realizujących Narodowy Program Szczepień przeciw COVID-19. W tym przypadku również otrzymaliśmy pismo z informacją, że Ministerstwo Sprawiedliwości przekazało nasz apel do Prokuratury Krajowej. Do tej pory nie ma innej reakcji, żadne działania nie zostały podjęte – konkluduje profesor. Prokuratura Krajowa nie odpowiedziała również na moje pytanie w tej sprawie.

Czy milczenie rządzących nie bierze się z tego, że wśród posłów Zjednoczonej Prawicy nie brakuje antyszczepionkowców (m.in. Anna Maria Siarkowska czy Janusz Kowalski – sceptyczny wobec szczepień parlamentarny zespół ds. sanitarnego składa się zresztą niemal wyłącznie z posłów PiS), są też w „wolnościowej” partii Kukiz'15, z którą PiS zawarło w maju umowę o współpracy programowej? Głosowanie nad ustawą, która wprowadzałaby obowiązek szczepień dla jakiejkolwiek grupy, mogłoby na nowo obnażyć kruchość koalicji – oraz zniechęcić do PiS jego religijny elektorat, straszony wcześniej szczepionkami jako „pochodzącymi z abortowanych płodów”.

I dlatego rząd dyplomatycznie nic nie robi, Andrzej Duda zaś dyplomatycznie plecie. Choć sam przyjął szczepionkę, powątpiewa chyba w jej działanie, skoro w czerwcu, podczas wystąpienia w Bratysławie, beztrudno wypalił: „W zeszłym roku nie mieliśmy szczepionki, a przypadków było tyle samo!”.

Sprawa jest jednak poważna. Dlatego apelujemy do rządu o więcej odwagi i konsekwencji w działaniu.

Anna Brzeska
a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl

Marek Czarkowski

Europa od wieków szczyliła się swoją sztuką, choć jej twórcy nigdy nie mieli łatwego życia. Rembrandt, Zola, Modigliani, Balzac, van Gogh, Toulouse-Lautrec, Norwid... pokolenia genialnych artystów poznały, czym jest bieda. To nie zmieniło się do dziś.

W Europie Zachodniej od dawna toczyła się dyskusja nad koniecznością zapewnienia artystom choć minimalnego wsparcia ze strony państwa. Wynikała ona z przekonania, że nakłady na kulturę są równie ważne dla utrzymania wiodącej w świecie roli naszego kontynentu jak nowoczesna gospodarka czy działalność naukowo-badawcza.

7 czerwca 2007 r. z inicjatywy Claire Gibault, francuskiej deputowanej do Parlamentu Europejskiego i pierwszej kobiety, która dyrygowała orkiestrą mediolańskiej La Scali, przyjęta została rezolucja wzywająca państwa członkowskie Unii Europejskiej do poprawy sytuacji materialnej twórców. Europosłowie apelowali do rządów o opracowanie ram prawnych i instytucjonalnych działalności artystycznej poprzez przyjęcie korzystnych dla twórców rozwiązań w zakresie umów, zabezpieczenia społecznego, ubezpieczenia zdrowotnego, podatków bezpośrednich i pośrednich oraz ich zgodności z przepisami europejskimi. Celem było zapewnienie elementarnych warunków życia artystom. Tak też się stało, choć jeszcze nie w Polsce.

Spóźnieni o dekadę

W 2017 r. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego zapoczątkowało serię debat pod nazwą Ogólnopolska Konferencja Kultury. W dyskusjach wzięło udział ponad 300 osób – przedstawiciele środowisk artystycznych, reprezentanci stowarzyszeń i związków twórczych oraz instytucji związanych z kulturą.

Szacuje się, że w naszym kraju ok. 67 tys. osób wykonuje działalność artystyczną. 60% ma przychody poniżej średniej krajowej, a ok. 30% mniejsze niż minimalne wynagrodzenie. Przy czym osoby te same muszą opłacić ubezpieczenie społeczne i zdrowotne, co w ostatnich latach przychodziło im



Spacer Środowisk Artystycznych pod hasłem „Daj życie kulturze”, Sopot, 2 listopada 2020 r.

Ciężki żywot Janków Muzykantów

Projekt Ustawy o uprawnieniach artysty zawodowego to najlepsza inicjatywa ministra Glińskiego. Szkoda, że bez szans

z coraz większym trudem. Dochody twórców są nieregularne i niepewne, a sukces zawodowy nie zawsze gwarantuje osiągnięcie stabilizacji finansowej. Większość artystów w Polsce nie może też liczyć na stałe zatrudnienie. Jedynie nieliczni osiągają wysokie dochody.

W bardziej rozwiniętych państwach europejskich już dawno przyjęto rozwiązania prawne, które sprzyjają poprawie sytuacji twórców. Składają się na nie zabezpieczenie socjalne i medyczne, w miarę dostęp-

Andrzej Duda tematu opłaty reprograficznej zwyczajnie nie ogarnia.

ne stypendia, odpowiednio wysoki poziom wynagrodzeń, zagraniczna promocja twórczości oraz stały monitoring i analiza sytuacji materialnej artystów. Uczestnicy debat prowadzonych w ramach Ogólnopolskiej Konferencji Kultury postulowali przyjęcie podobnych rozwiązań w naszym kraju. Po czym zapadła głucha cisza.

Zamknięcie w zeszłym roku gospodarki i ograniczenia wprowadzone

przez rząd z powodu pandemii sprawiły, że większość artystów znalazła się w dramatycznej sytuacji. Muzycy i piosenkarze mogli zapomnieć o koncertach. Nawet przygrywanie „do kołteta” nie wchodziło w grę, bo kluby i restauracje również zostały zamknięte. Aktorzy oglądali puste miejsca na widowniach. Reżyserzy i scenarzyści mogli snuć plany na przyszłość, ale czy dało się z tego wyżyć?

Najwyraźniej Ministerstwo Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu uznało, że to właściwy moment, by pomóc twórcom. Powstał projekt Ustawy o uprawnieniach artysty zawodowego. Ten, którym dysponuję, opatrzono datą 3 maja 2021 r. I się zaczęło.

Przestarzała lista

Mało kto zwrócił uwagę na zapisy dotyczące wprowadzenia statusu artysty zawodowego. Bo to nudna i skomplikowana materia. Emocje wybuchły, gdy wyszło na jaw, z jakich środków miały być finansowane wydatki na wspieranie polskich twórców. Miały pochodzić z wpływów z tytułu opłaty reprograficznej.

Definiuje ją art. 20 Ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych. Jest to opłata od urządzeń umożliwiających kopiowanie utworów chronionych prawem autorskim. W Polsce od dawna płacą ją producenci i importerzy magnetofonów, magnetowidów, kserokopiarek, skanerów oraz czystych nośników, np. płyt CD. Lista jest przestarzała (kto dziś kupuje magnetowidy?) i nic dziwnego, że wpływy są nikczemnie niskie.

Prezes Związku Cyfrowa Polska Michał Kanownik ostrzegał, że rozszerzenie opłaty reprograficznej spowoduje wzrost cen elektroniki.

W trakcie prac nad projektem Ustawy o uprawnieniach artysty zawodowego została ona znacząco rozszerzona o komputery, tablety, odtwarzacze MP3, e-booki, telewizory z funkcją SmartTV, pendrive'y, karty pamięci, twarde dyski oraz dyski SSD.

Najgorętszy spór wywołał pomysł objęcia taką opłatą smartfonów. W 2020 r. sprzedano ich w Polsce aż 5,5 mln. Nowych telewizorów sprzedaje się rocznie dobrze ponad 2 mln. Dodajmy do tego ok. 200 tys. laptopów. Komputerów stacjonarnych, tabletów, pendrive'ów, kart pamięci i innych urządzeń nie sposób policzyć. Resort kultury spodziewał się, że już w pierwszym roku obowiązywania nowego prawa dzięki opłacie reprograficznej będzie można uzyskać ok. 300 mln zł.

Rozdziałem tych środków miał się zająć powołany z mocy ustawy Fundusz Wsparcia Artystów Zawodowych. Pojawiła się też idea, by owymi środkami dysponowało Stowarzyszenie Autorów ZAiKS, najstarsza polska organizacja zbiorowego zarządzania prawami autorskimi, założona 18 marca 1918 r. Rozwiązanie to zostało skrytykowane jako niekonstytucyjne.

Była też propozycja, by statusem artysty zawodowego objąć dziennikarzy, lecz szybko się z tego wycofano. Przedstawiciele tej profesji jest zbyt wielu.

Szarża producentów i importerów

Projekt ustawy został bardzo ciepło przyjęty przez środowiska twórcze. Za to importerzy i producenci sprzętu elektronicznego rzucili się do ataku.

Prezes Związku Cyfrowa Polska Michał Kanownik ostrzegał, że planowane rozszerzenie opłaty reprograficznej spowoduje wzrost cen elektroniki w Polsce, co uderzy w konsumentów i wpłynie na poszerzenie szarej strefy.

Basował mu Jakub Bińkowski, członek zarządu Związku Przedsiębiorców i Pracodawców, dowodząc, że negatywne konsekwencje dotkną wszystkich dystrybutorów i producentów.

Wiceminister rozwoju i technologii Marek Niedużak straszył, że ta opłata „podetnie skrzydła polskim przedsiębiorcom”. – W rezultacie stracimy te firmy i miejsca pracy, a w konsekwencji straci na tym budżet państwa. Jeśli konsumenci kupią tańszy produkt od kogoś, kto sprzedaje go z Azji, to budżet nic z tego nie będzie miał – dowodził dygnitarz, doktor nauk prawnych, podsekretarz stanu, adwokat i absolwent Uniwersytetu Cambridge.

Najwyraźniej zapomniał, a może nie wiedział, że gdy pojawia się pomysł objęcia biznesu daniną publiczną, zawsze uruchamiany jest ten sam zestaw argumentów – że firmy wyniosą się za granicę, stracimy miejsca pracy, wpływy z podatków, a gospodarka niechybnie runie... Po czym nic się nie dzieje.

Wiceminister rozwoju i technologii Marek Niedużak straszył, że ta opłata „podetnie skrzydła polskim przedsiębiorcom”.

Przypuszczam, że lobbyści reprezentujący przeciwników ustawy dotarli do samego prezydenta Dudy, który podczas kampanii w ubiegłym roku podpisał dokument o szumnej nazwie „Karta wolności w sieci”. Jeden z jej punktów głosił, że „nośniki, z których korzystamy do łączenia z siecią, muszą być dostępne dla każdego, nie można obciążać ich dodatkowymi podatkami”. W praktyce oznacza to, że głowa państwa zobowiązała się do powstrzymania zmian dotyczących opłaty reprograficznej.

Gdy w maju br. Ilona Łepkowska w rozmowie z dziennikarzem portalu Money.pl powiedziała, że prezydent Duda obiecał artystom objęcie opłatą smartfonów, jego rzecznik

Błażej Spychalski natychmiast temu zaprzeczył. Pod koniec czerwca cytowany przez „Dziennik Gazetę Prawną” prezydent oświadczył: „Obciążenie wszystkich smartfonów opłatą na rzecz ZAiKS byłoby moim zdaniem niesprawiedliwe i konstytucyjnie wadliwe; to, że masz smartfona, jeszcze nie znaczy, że korzystasz z utworów”.

Wskazuje to, że Andrzej Duda zwyczajnie nie ogarnia tematu. W przygotowanym przez resort kultury projekcie ustawy nie ma zapisu, że środkami z opłaty reprograficznej dysponowałby ZAiKS. Ale kto by się tym przejmował?

Nacisk ze strony producentów i dystrybutorów sprzętu elektronicznego jest dziś tak silny, że przedstawiciele środowisk twórczych boją się wypowiadać pod nazwiskiem na ten temat. Są przekonani, że publiczne wspieranie ministerialnego projektu Ustawy o uprawnieniach artysty zawodowego może negatywnie odbić się na ich karierze.

A przecież rząd nie przyjął jeszcze tego dokumentu. Nie skierował go do łaski marszałkowskiej. Ostra jazda rozpocznie się, gdy projekt ustawy trafi do odpowiedzialnej komisji sejmowych. 300 mln zł rocznych wpływów na rachunek Funduszu Wsparcia Artystów Zawodowych oznacza, że po trzech latach przychody importerów i producentów skurczą się o prawie miliard złotych.

Dziś 40-50 mln zł na „stymulację” właściwych postaw wybrańców narodu nie wydaje się kwotą zbyt wielką. Jeśli udałoby się utrącić ustawę, byłaby to bardzo opłacalna inwestycja o wysokiej stopie zwrotu.

Dlatego jestem przekonany, że szanse najlepszej inicjatywy legislacyjnej ministra Glińskiego, która – jeśli przesłaby przez Sejm – realnie wsparłaby rodzimych twórców, są minimalne.

Zenek Martyniuk, Sławomir i zespół Weekend nie potrzebują kasy. Oni ją mają. A Jankom Muzykantom, co groszem nie śmierzają, pozostaje zmienić zawód – niech nie zwracają ludziom głowy.

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Beata Igielska

– Dlaczego chcę pracować za granicą? Przede wszystkim daleko tu do patologii, z którą borykają się ludzie w Polsce, zmuszeni pracować po 70 godzin tygodniowo, jeśli chcą dobrze zarabiać. Tutaj czas pracy jest znacznie lepiej regulowany, sądząc choćby po branży konsultingowej, w której pracują moi znajomi. Oczywiście nie jest to raczej równe 40 godzin tygodniowo, ale standardem są wolne soboty i niedziele i możliwość znalezienia jakiejś przestrzeni dla siebie poza pracą – mówi Ignacy, który skończył właśnie studia licencjackie. Ostatni rok, dzięki programowi Erasmus, spędził w Belgii. Magisterkę również chce zrobić w tym kraju, dostał się już na prestiżowy Katolicki Uniwersytet w Leuven. Po ukończeniu studiów planuje szukać pracy za granicą, jego główny cel to Holandia. Choć nie jest przekonany, że nigdy nie wróci do Polski, już teraz, na bazie rozmów ze znajomymi, świetnie się orientuje w możliwościach, które przed nim się otwierają.

Ponad 60% młodych w wieku 18-29 lat chciałoby żyć i pracować za granicą.

Dla Ignacego istotna jest również łatwość zbudowania za granicą dobrego CV: – Wiem, że tu, w ramach pracy, którą wykonywałbym w normalnym czasie, mógłbym w znacznie prostszy sposób zdobyć doświadczenie i szybciej pokonać ścieżkę awansu w ramach struktury organizacji. Gdybym zaś w przyszłości chciał wrócić do Polski, moje przywiezione z zagranicy CV dawałoby mi większą szansę na pracę nawet na szczeblu menedżerskim.

W pogoni za lepszym życiem

A co z pieniędzmi? Od lat dominuje przekonanie – skądinąd słuszne – że Polaków do pracy za granicą popychają głównie względy finansowe. Okazuje się, że dla zdolnych studentów, którzy nawet w Polsce zapewne świetnie poradziłoby sobie na rynku pracy, nie zawsze jest to priorytet. – Uczciwie trzeba powiedzieć, że jeśli

Pokolenie Netfliksa jedzie za granicę

Czeka nas kolejna wielka fala emigracji



chodzi o takie branże jak konsulting czy IT, w Polsce można zarobić nawet więcej niż na Zachodzie, szczególnie że w wielu krajach zachodniej Europy podatki są znacznie wyższe – przyznaje Ignacy. Problem polega jednak na tym, że ludzie w Polsce nie mają kiedy tych pieniędzy wydawać, nie mają również czasu, by założyć rodzinę. Poza tym, co z tego, że nieźle zarabiają, skoro muszą odkładać na prywatną emeryturę?

I to jest trzeci powód, który na razie skłania Ignacego do wyboru

zagranicy: – Wiem, że tu mogę liczyć na większą stabilność socjalną, na to, że rzeczywiście dostanę jakąś emeryturę. W dodatku ochrona zdrowia jest na wyższym poziomie.

Przekonania studenta o bezpieczeństwie i stabilizacji oferowanych przez zachodnich pracodawców znajdują potwierdzenie w słowach Kasi, znającej biegle kilka języków stewardesy pracującej dla jednej z linii lotniczych, która bazę ma m.in. w Belgii. Kasia mieszka w tym kraju od kilku lat i tam jest zatrudniona: – Podczas

pandemii, mimo odwołanych lotów, dostawałam wynagrodzenie. Pracujące dla naszej firmy koleżanki z Polski nie mają umów o pracę, tylko własną działalność gospodarczą. Zostały na lodzie.

Kasia tłumaczy też, że w jej branży standardem jest np. objęcie pracowników linii ubezpieczeniem na wypadek roszczeń pasażerów. – Jeśli obleję kogoś kawą, popętnię jakiś

cztery osoby dostały się na Oksford i Cambridge, osiem osób do dobrych uczelni w Londynie, kilka jedzie studiować do Niemiec, Szwajcarii. On sam wybrał uczelnię politechniczną – ETH Zürich (13. miejsce na świecie w rankingu ogólnym; studiuje tam relatywnie mało Polaków). W sumie 40% koleżanek i kolegów wyjedzie studiować za granicę. Z tego część już dziś deklaruje, że nie zamierza

gdybym siedział w Warszawie u rodziców – wyjaśnia Janek. – Zarobię, pomieszkam samodzielnie, poznam nową kulturę, podszlifuję języki. Co ważne, np. w Holandii studia kosztują 2 tys. euro rocznie, w Szwajcarii – 2 tys. franków, są więc w zasięgu ręki. Poza tym my, wyedukowani w najlepszych szkołach w Polsce, jesteśmy dla zachodnich uczelni świetnym nabytkiem. Często na starcie mamy większą wiedzę niż rodzimi absolwenci szkół wyższych.

Dziś globalny nastolatek, klikając, zwiedza świat. W Unii nie czeka go więc szok kulturowy. Co trzeci student osobiście lub pośrednio zetknął

Jako obywatelka Polski nie mam na nic wpływu.

się z emigracją. Pokazują to badania dr Joanny Kozielskiej z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Według nich migracja wydaje się studentom szansą na: lepsze zarobki, pracę w międzynarodowym środowisku, poszerzenie horyzontów, lepsze warunki życia oraz poszerzenie kompetencji językowych. Do tego dochodzi łatwość decyzji. Gdy niebo jest otwarte, a latanie tanie jak nigdy, wyjazd nie jest aktem ostatecznym, w każdej chwili można wrócić. A za granicą jest ktoś z rodziny, kolega, koleżanka. Na początek zapewnią dach nad głową. To taka oswojona emigracja.

Na budowie bez zmian

Młodzi ludzie, którzy nie mogą się pochwalić świadectwem prestiżowego liceum czy biegłą znajomością języków, mają nieco inne powody, by wyjechać. Szczególnie ci z małych ośrodków. Ich opowieści bardziej przypominają historie z czasów, gdy w Polsce szalało bezrobocie.

– Mnie z kraju wygnała po prostu bieda – mówi 29-letni Piotr spod Gąbina w województwie mazowieckim, absolwent technikum budowlanego.

– Między Płockiem a Gostyninem szafu nie ma, jeśli chodzi o pracę. Trzeba być córką wójta lub burmistrza, żeby mieć przyzwoitą posadę, nie oszukujmy się. Dwóch chłopaków z mojej wsi żyje wyłącznie z wyjazdów sezonowych. Ich motywacje? Zmienić brykę, nowy motorek kupić. ▶



błąd, za ewentualne odszkodowanie odpowiada firma. Pracownicy w Polsce w takich przypadkach są zdani na siebie. W ogóle tu jest przyjaźniej. Korzystałam np. z urlopu w związku z wypaleniem zawodowym. Tutaj takie sprawy są normą.

Wobec tych opowieści trudno się dziwić, że decyzję o wyjeździe młodzież podejmuje na coraz wcześniejszych etapach życia. Janek Zając, maturzysta z LO im. Staszica w Warszawie, jednej z najlepszych szkół w Polsce, wylicza, że z jego klasy

wrócić. Jego zdaniem dzieje się tak we wszystkich topowych liceach w Polsce. Janek zdecydował się na Szwajcarię, bo tam ma zapewnione lepsze staże niż w kraju. Warszawska uczelnia nie ma wsparcia w start-upach, profesorowie nie pomagają tak aktywnie na etapie gromadzenia materiału do prac naukowych i, co niebagatelne, na dobrą uczelnię techniczną za granicą nierzadko łatwiej się dostać niż na Politechnikę Warszawską. – Poza tym za granicą szybciej się usamodzielniam, niż

► Inne są także realia rynku pracy fizycznej. – Wiem jedno, na emigracji miodu nie ma. Polak ciągle jest na Zachodzie obywatelem drugiej kategorii – żali się Piotr. – Mało tego, Polak Polakowi wilkiem. Przez dwa miesiące koleżka z budowy udawał, że nie rozumie polskiego. Bo? Mieliliśmy problem z wiertarką i chcieliśmy pożyczyc na chwilę. Arabowie, Ukraińcy tworzą zwarte społeczności. Gdy szef im powie złe słowo, gdy płaci za mało, 20 chłopu rzuca robotę. To on od razu zmienia zdanie. Polak? Każdy sobie rzepkę skrobie, więc nie jest traktowany dobrze. A już najgorzej trafić za granicą do roboty u Polaka. Oszukiwanie, płacenie pod stołem jest normą. Czegoś takiego nie robią Włosi czy Francuzi. Mówię to z doświadczenia. Wróciłem do Polski, ale do pracy jeżdżę w delegacje.

Wyedukowani w najlepszych szkołach w Polsce jesteśmy dla zachodnich uczelni świetnym nabytkiem.

Mam służbowy samochód, zarabiam nieźle. Młodzieńcom mówię: dobrze przemyślcie decyzję o wyjeździe, byćście jej nie żałowali. Ja żałowałem.

Dziś prawdziwy rozwój jest w Azji

– Młodzież się zradykalizowała i krytycznie oceniając niektóre aspekty życia w Polsce, chce sprawdzić, jak życie wygląda gdzie indziej. To, generalizując, korzystna wiadomość. Gorzej, gdyby przyjmowała wszystko bezkrytycznie – komentuje Tomasz Rostkowski, profesor SGH z Instytutu Kapitału Ludzkiego. – Obserwujemy przedłużenie pewnego trendu kształtującego się od dawna. Ludzie z małych miejscowości jechali na studia do większych i tam często zostawali na stałe. Nowe pokolenie robi to samo. Różnica w tym, że na studia wybiera już nie tylko Warszawę, Kraków czy Wrocław, ale także Wiedeń, Amsterdam czy Barcelonę. Są tanie linie lotnicze, bilet można kupić nawet za 20 zł. Młodzi uwierzyli, że są obywatelami świata. Prawie wszyscy mówią wystarczająco dobrze po angielsku, są zglobalizowani. Nawet gdy ktoś nie był za granicą, zna kogoś, kto był. To ośmiela. Internet tworzy globalne sieci zainteresowań,

Co czwarty nie zamierza wracać

Dane Głównego Urzędu Statystycznego pokazują, że po zauważalnym spadku liczby Polaków przebywających czasowo za granicą w latach 2008-2010, na koniec 2017 r. na emigracji było już 2,54 mln osób. Najlicniejszą grupą wiekową wśród przebywających za granicą powyżej trzech miesięcy są ludzie młodzi (w wieku 25-29 lat – prawie 383 tys., z czego 54% to kobiety). 40% emigrantów ma wykształcenie średnie, niemal co czwarty wykształcenie zawodowe, a 23% – wyższe (migrujące kobiety są lepiej wykształcone niż mężczyźni).

W 2018 r. niemal co czwarty badany planujący wyjazd nie przewidywał powrotu do kraju.

np. fani dziwnej muzyki znajdują siebie w pięć minut.

Rostkowskiego martwi jednak to, że wybory młodzieży nie zawsze są rozsądne. Owszem, w Wiedniu, Amsterdamie czy Barcelonie są fajne imprezy i kwitnie życie towarzyskie, a poziom przyjemności z życia oceniany jest wysoko. Młodym podoba się tamtejszy styl życia: przejażdżka

nie chce wykonywać. Na przykład zaawansowane umiejętności programowania, których pozyskanie zajmuje ok. dwóch lat, oznaczają wspaniałe możliwości na rynku pracy wszędzie.

– Warto połączyć studiowanie za granicą z pozyskiwaniem doświadczenia zawodowego u najlepszych, a nie u najgorszych pracodawców w kraju docelowym. Warto podjąć racjonalną decyzję, odpowiedzieć sobie na pytanie, czego się chce, odłożyć emocje, rozważyć fakty – radzi profesor. – Nie należy podejmować decyzji np. dlatego, że skoro koledzy wyjechali do jakiegoś kraju, to ja też wyjadę. Trzeba zadać sobie pytanie, z czego będę żył, jeśli skończę historię sztuki w Barcelonie albo archeologię śródziemnomorską, nawet jeśli są to niezwykle ciekawe obszary wiedzy.

Czy ruszą w świat po pandemii?

Do tych powodów trzeba dorzucić kolejny: pandemia znacznie pogorszyła sytuację młodych na rynku pracy. W grupie 15-24 lata od końca 2019 r. nastąpił spadek liczby pracujących aż o ponad 200 tys. osób; w grupie 25-29 lat – o 100 tys. Łącznie pracuje ponad 300 tys. młodych mniej niż w końcówce 2019 r.

Do tego dochodzi problem stabilności pracy. Według GUS pod koniec 2018 r. na umowach cywilnoprawnych pracowało aż 1,3 mln osób, drugie tyle na samozatrudnieniu. W sumie armia ludzi – 2,6 mln. W dodatku część pracuje na byle jakich, nieoskładkowanych umowach o dzieło. W ten sposób funkcjonują całe branże, np. prac sezonowych, eventowa czy ochroniarska.

Pragnienie innego, lepszego życia za granicą pokazał m.in. sondaż IPSOS dla OKO.press przeprowadzony w 32. rocznicę wyborów 4 czerwca. Aż 70% młodych uznało, że Polska

rowerem, relaks, „sojowe latte”. Tylko czy to zaprocentuje w przyszłości? Dziś prawdziwy rozwój gospodarczy dzieje się w Korei Południowej, Chinach, Singapurze, Dubaju. Tworzą się nowe możliwości rozwoju, zarobkowania, budowania sieci kontaktów. Tam jednak młodzi rzadko aplikują, tam nie ma pożądanego luzu, trudniej się odnaleźć kulturowo. Ale... tam jest przyszłość.

– Szkoda, że nasze dzieci wolą kończyć mało przyszłościowe kierunki w Amsterdamie zamiast w Warszawie. Pracodawcy już dawno zatrudniają nie za dyplom, lecz za kompetencje. Ważne, żeby młodzi budowali *networking* i wrócili zarabiać do Polski, a nie pracowali na zmywaku. Nie łudźmy się, otwartość na cudzoziemców wszędzie jest w jakimś stopniu ograniczona – mówi Rostkowski.

Jego zdaniem to dobrze, że młodzi chcą wyjeżdżać, ale niechże porządnie przygotują się do tego, niech pójść ze dwa razy do ambasad, niech wejdą w kontakt z lokalnymi firmami, które ich interesują, a przede wszystkim niech rozwiną kompetencje powodujące, że po wyjeździe będą rozchwytywanymi pracownikami, zamiast poszukiwać kiegoś płatnych zajęć, których nikt

nie jest krajem szczęśliwym. W innym badaniu IPSOS dla OKO.press 64% Polaków w wieku 18-29 lat wskazało, że gdyby miało taką możliwość, wolałoby żyć i pracować poza Polską. W kolejnych generacjach ten odsetek spada – ogólnie, bez podziału na grupy, taką deklarację złożyło 39% respondentów.

Ale czy młodzi naprawdę wyjadą tak licznie, jak zapowiadają? Niekoniecznie, ich zapowiedzi to raczej głos rozpacz i aspiracji – większość zostanie w kraju.

– Statystyki pokazują, że bum emigracyjny już za nami, choć tendencja wyjazdowa nadal jest wysoka. Po brexicie zdecydowanie zdezaktualizowała się Wielka Brytania. Do wyjazdu tam zniechęca choćby papierologia – mówi dr Joanna Kozielska. – Co więcej, wbrew pozorom wyjazdami zainteresowani są głównie ludzie mający konkretny fach w ręku. Fachowcy za granicą nie odczuwają dysonansu poznawczego, w przeciwieństwie do ludzi z wyższym wykształceniem, którzy na emigracji zajmują stanowiska poniżej kwalifikacji: brudne, nudne, niebezpieczne. Ciągnie ich domniemana lepsza jakość życia, do Polski wracają raczej z sentymentu.

Z kolei Iwona Szmirkowska, prezes Work Service (część międzynarodowej agencji GiGroup), gdy słyszy o planach młodych, nawet jeśli te są jedynie deklaratywne, jest zmartwiona. – W naszym ostatnim „Barometrze Rynku Pracy” aż 18% osób w wieku 22-44 lata deklarowało chęć wyjazdu. To wzrost o 10% od poprzedniego badania, z lipca zeszłego roku – mówi. Według ekspertki korzystający z agencji pracy wyjeżdżają

głównie do Niemiec, Belgii, Norwegii, Francji. – Nie ma znaczenia gdzie, ważne, by byli fachowcami w swojej dziedzinie, np. w budownictwie. Widzimy też bardzo duże zapotrzebowanie na opiekunki osób starszych, pielęgniarki. Kto wyjeżdżających zastąpi w Polsce? Agencje pracy już mają ogromne problemy z rekrutacją, brakuje rąk do pracy. Absolutnie niezbędne są zmiany w legislacji, na wzór innych krajów, w których dużo łatwiej zatrudnia się imigrantów

Ważne, żeby młodzi budowali *networking* i wrócili zarabiać do Polski, a nie pracowali na zmywaku.

– dodaje Szmirkowska. Jej zdaniem gdy po pandemii świat się uspokoi, ruchy migracyjne jeszcze się nasilą.

Konserwatywny skansen

I wreszcie – młodzież wypychają z kraju kwestie światopoglądowe. Janek: – Nie chcemy życia w państwie, w którym Kościół jest drugą władzą.

Wiktoria Korzecka z Wrocławia, tegoroczna maturzystka, aktywistka młodzieżowa: – Widzę pogorszenie, a nie poprawę. Rząd zamiast pogłębiać demokrację, walczy z nią. Boję się, że jeśli nie wyjadę z tego kraju za rok czy dwa, za dziesięć lat nie będzie o czym mówić, bo wyjdziemy z Unii Europejskiej. Nie podoba mi się ponadto stosunek rządu do osób LGBT+. Kobiętom zabiera się prawo do aborcji, wypowiada się konwencję antyprzemocową. Ten konserwatywny katolicki zaduch nie może mi się podobać. Dlatego myślę o wyjeździe do Francji – od dziecka mnie tam

ciągnie. Daję sobie trzy lata na perfekcyjne opanowanie języka. I pomyśleć, że jeszcze pół roku temu chciałam zmieniać mój kraj. Dziś robiłabym to kosztem siebie, jestem ciągnana po sądach. Zrozumiałam, że jako obywatelka Polski nie mam na nic wpływu.

Gdańszczanin Mateusz, lat 20, ma talent do języków: uczy się angielskiego, niemieckiego i francuskiego, jest finalistą olimpiady filozoficznej. Studiował w Anglii, ale po brexicie koszty tak wzrosły, że nie mógł

studiów ciągnąć. Wrócił do Polski. I? Szedł ze swoim partnerem, trzymali się za ręce, zostali żywieni przez agresywnego ojca z maleńką córeczką. Że nie przy dziecku takie widoki – choć wiązanka przekleństw, którą sam puścił, jakoś mu nie przeszkadzała. Mateusz znów więc myśli o wyjeździe – boi się. Nie tylko rządowo-kościelnej nagonki na mniejszości seksualne, lecz także bałaganu prawnego, łamania praw człowieka, wożenia młodych protestujących od komendy do komendy. – Polska to jednak unikat. Porównywać się możemy tylko z Węgrami. Poza tym w cywilizowanym świecie przemoc motywowana nienawiścią jest karalna – przypomina. – Jestem wkurzony. Pragnę zmienić otoczenie na mniej toksyczne. Moje marzenie? Żeby w Polsce było normalnie. Wtedy wyjechałbym jedynie pouczyć się języków na stypendium i wróciłbym.

Aneta z Warszawy, lat 29, mama czterolatki i sześciolatka, do tego kotła dorzuca jeszcze jeden lęk: – Boję się szkoły, którą gotuje moim dzieciom minister Czarnek. Nie chcę, żeby Kościół katolicki dyktował rządowi listę lektur. Boję się dyrektorów szkół wyłącznie z nadania PiS. Dlatego rozglądamy się z mężem za wyjazdem, wstępnie stawiamy na Danię. Obydwoje znamy świetnie język angielski. Dajemy sobie pół roku na ostateczną decyzję. Nie chcemy, żeby nasze dzieci, jak ich dziadkowie za PRL, były uczone w domu innej historii niż w szkole. Nie chcę, by moja córka żyła w kraju, gdzie kobietę ściga się, bo nie chce urodzić potworka.

Beata Igielska

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

RZĄD RADZI

Projekt uchwały Rady Ministrów w sprawie przyjęcia dokumentu „Polityka migracyjna Polski – kierunki działań 2021-2022” 6 lipca br. został skierowany do uzgodnień i konsultacji publicznych. Dokument odnosi się m.in. do kwestii związanych z problemem niedoborów kadrowych w polskiej gospodarce. Chodzi o reakcję państwa zarówno na emigrację i mobilność Polaków, jak i na kwestię imigracji zarobkowej w kontekście potrzeb rynku pracy.

Projekt przewiduje m.in.: opracowanie systemu zachęt do powrotów, ze szczególnym uwzględnieniem określonych kompetencji na rynku pracy (np. zawody medyczne, zawody budowlane); opracowanie spójnego systemu koordynacji działań administracji dotyczących emigracji i powrotów oraz zapewnienie kompleksowych działań adaptacyjnych dla osób powracających z zagranicy.

Ponadto rząd planuje uzupełnienie niedoboru na rynku pracy i zapewnienie znaczącego udziału cudzoziemców o wysokich kwalifikacjach czy wykorzystanie potencjału polskich uczelni w kształceniu cudzoziemców.

Chlewnia przy pełnikowej łące

Mieszkańcy Święciechowa protestują przeciw fermie, w której rocznie będzie się produkowało prawie 6 tys. świń

Helena Leman

24 czerwca od rana leje, mimo to w świetlicy dawnej szkoły w Święciechowie, w gminie Drawno, w województwie zachodniopomorskim, zbiera się duża grupa mieszkańców już prawie rok protestujących przeciw chlewni. Ferma przemysłowa trzody chlewnej ma powstać w pobliżu obszaru Natura 2000, na skraju otuliny Drawieńskiego Parku Narodowego, przy użytku ekologicznym, na którym rośnie róża polskich łąk – niezwykle rzadki już pełnik europejski.

– O planach powstania budynku inwentarskiego dowiedzieliśmy się przez przypadek 21 września zeszłego roku – mówią. – W przedsionku gminy na tablicy, wśród masy innych ogłoszeń, pojawiła się informacja, że inwestor wystąpił z wnioskiem w sprawie wydania decyzji o środowiskowych uwarunkowaniach inwestycji. Trwała pandemia, proszono, żeby do urzędu nie przychodzić bez ważnego powodu, to cud, że zauważyliśmy ogłoszenie.

Mieszkańcy zażądali konsultacji społecznych nie tylko w swojej wsi, lecz także w położonym 5 km dalej Drawnie i pobliskim Żółwinie. Jednak odbyły się one tylko w Święciechowie. Inwestor na nich się nie pojawił, choć mieszka kilka wsi dalej.

– Zażyty sobie spotkania w gminie jedynie z czwórką przedstawicieli wsi, których zresztą sam wskazał – tłumaczy zebrani.

– Gdy próbowałem porozmawiać z nim na osobności, uciął rozmowę, proponując mi numer telefonu do „swoich fachowców” – dodaje jeden z mężczyzn.

– Ten człowiek traktuje nas z wyższością – podkreśla Krystyna Leśnianańska, jedna z organizatorek protestu, emerytowana dyrektorka święciechowskiej szkoły. – Boli nas też mówienie, że „przecież mieliście chlewnię za pegeerowskich czasów i wam

nie śmierdziało”. Tak, w Święciechowie było duże państwowe gospodarstwo rolne, ale prowadzono tu chów świń, a nie produkcję. Potem przyszła transformacja, wszystko rozszabrowano i została pustynia. Dopiero jak zaczęto uwłaszczać działki i budynki, wieś odżyła, ludzie zaczęli dbać o swoją własność. Trzy nowe domy postawiono, wracają do nas młodzi. Mamy przyszłość, a budowa chlewni może ją przekreślić. Zresztą jest już jedna świnia w pobliżu, w Chomętowie, i to wystarczy.

Iwona i Mariusz Wilgoccy, małżeństwo 30-latków z dziećmi, są jednymi z tych, co niedawno się wybudowali. – Na dom poszły wszystkie nasze oszczędności – mówią. – A gdy w zeszłym roku w lutym wreszcie się wprowadziliśmy, okazało się, że 600 m od nas ma być chlewnia. Wartość naszej nieruchomości spadnie, kto kupi dom przy chlewni?

W latach 2009-2019 w Polsce było przynajmniej 841 lokalnych wystąpień przeciw fermom, obecnie trwa ponad 200.

We wsi na płotach wielu posesji wiszą czarne banery z napisem: „Stop chlewni w Święciechowie”.

12 lat walki o pełnik

Z Janiną Gławdel, emerytowaną polonistką, kierujemy się polną drogą w stronę pełnikowej łąki. Z pola obok podrywa się majestatyczny błotniak stawowy, za nim jak burza podlatuje stado czajek.

– Ferma jest planowana tylko kilka kroków od łąki, na której rośnie pełnik – wskazuje pani Janina. – W raporcie oddziaływania chlewni na środowisko napisano, że „wytwarzana w niej gnojowica przeznaczana będzie do zagospodarowania w celach nawozowych”. Boimy się, że gnojowica z antybiotykami, którymi faszcerowane są zwierzęta w takich

hodowlach, może spływać, podsiąkać i niszczyć środowisko w promieniu wielu kilometrów, a najpierw zniszczy nasz użytek ekologiczny z pełnikiem. Ta roślina jest wrażliwa na wszelkie zmiany w środowisku. Budowa studni głębinowej przy chlewni też może jej zaszkodzić, gdyż obniży poziom wód gruntowych.

Pełnik rośnie w kępach, jego intensywnie żółte kwiaty przypominają różę, teraz już przekwitły, ale w maju cała łąka była złota. Jego stanowisko w Święciechowie jest jedynym w kompleksie Puszczy Drawskiej.

Janina Gławdel wypatrzyła roślinę w 2009 r., podczas swoich wędrówek po okolicy. Razem z grupą 150 mieszkańców zwróciła się w sprawie jej ochrony do regionalnego dyrektora ochrony środowiska w Szczecinie. Poparcie RDOŚ uzyskali w tym samym roku, ale przekonanie władz gminy Drawno do

utworzenia użytku ekologicznego zajęło im 12 lat. Dopiero 23 lutego tego roku rada miasta (Drawno jest gminą miejsko-wiejską) przegłosowała w tej sprawie uchwałę. W połowie czerwca postawiono na pełnikowej łące tablicę. Czytam na niej, że na użytku ekologicznym zabrania się np. wykonywania prac ziemnych, z wyjątkiem melioracyjnych, uszkiadania i zanieczyszczania gleby, dokonywania zmian stosunków wodnych, wylewania gnojowicy itp.

– Tymczasem tuż obok takie prace niebawem mogą ruszyć – ciągnie pani Janina. – Inwestor kupił tę działkę ponad 10 lat temu. Proponowaliśmy mu, aby na swoim kawałku łąki, gdzie jest pełnik, zrobił użytek ekologiczny, ale się nie zgodził. Mimo to nasze relacje były dobre. Ostatnio to się zmieniło.

Iwona Wilgocka (nz. z dziećmi) oraz Krystyna Leśniańska i Janina Gławdel protestują przeciwko budowie wielkiej chlewni w ich wsi.



Raport do poprawy

W raporcie oddziaływania planowanej chlewni na środowisko, który jest dostępny na stronach BIP gminy Drawno, trudno znaleźć choć jedno zdanie o pełniku i sąsiadującym z chlewnią użytku ekologicznym. „Brak negatywnego oddziaływania na formy przyrodnicze poddane ochronie na podstawie ustawy o ochronie przyrody. (...) Brak naruszenia stanowisk gatunków roślin cennych przyrodniczo. Przedsięwzięcie usytuowane zostanie w krajobrazie typowo wiejskim, rolniczym, tworzącym przez rozległe przestrzenie gruntów uprawnych”, czytamy w dokumencie. Jest jednak informacja, że teren działki podlega ochronie przyrodniczej Natura 2000 Lasy Puszczy nad Drawą.

Na początku raportu napisano, że „w projektowanej chlewni prowadzony będzie chów trzody chlewnej (tuczników), wyłącznie w systemie bezściółkowym (na rusztach), obejmujący 1996 sztuk tuczników o masie ciała do 110 kg”. Z dalszej lektury wynika natomiast, że będą trzy cykle produkcyjne.

W liście do burmistrza z 14 października 2020 r. inwestor pisze: „Nazywanie mojej hodowli przemysłową jest bardzo przykrą manipulacją”. Tymczasem w złożonym raporcie jest zdanie: „Wnioskodawca prowadzić będzie chów trzody chlewnej na skalę przemysłową”.

Regionalny dyrektor ochrony środowiska w Szczecinie wezwał inwestora do uzupełnienia raportu. Zalecił m.in. analizę możliwych konfliktów społecznych w „oparciu o pojawiające się protesty”, poza tym zwrócił uwagę, że fragment działki inwestycyjnej to siedlisko pełnika europejskiego objętego ochroną ścisłą, a okolice łąki pełnikowej są miejscem lęgowym czajki, gatunku ginącego, teren działki inwestycyjnej, który stanowią nie tylko grunty rolne, ale i łąkowe, został zaś wyznaczony do zachowania populacji ptaków. W związku z tym zażądał programu rolno-środowiskowego i analizy przyrodniczej, w tym wpływu nawożenia gnojowicą na łąkę pełnikową.

Środków na kontrraport brak

Protestujący mieszkańcy jesienią zeszłego roku utworzyli stronę internetową Stop Chlewni w Świeciechowie i założyli Stowarzyszenie Zdrowa Gmina – Nasza Przyszłość. Prezeską organizacji została Iwona Wilgocka, a jej zastępczynią Krystyna Leśniańska. Nawiązali też kontakt z Koalicją Społeczną Stop Fermom Przemysłowym i innymi organizacjami ekologicznymi. Zwrócili się również z petycją do burmistrza i radnych.

24 listopada 2020 r. sprzeciw wobec chlewni wyraziła Rada Miejska w Drawnie, wskazując, że inwestycja kłóci się z kierunkiem rozwoju gminy,

która stawia na turystykę. Obawy radnych dotyczyły także łąki pełnikowej oraz wylewania gnojowicy w różnych miejscach gminy, no i odor.

Jednak burmistrz Andrzej Chmielewski w piśmie do stowarzyszenia z 8 lutego br. poinformował, że w „budżecie Gminy Drawno nie zaplanowano wydatków na przygotowanie kontrraportu dla tej inwestycji”. O dokument pytał też radny Czesław Paszkiewicz na wspomnianej sesji rady miasta. Podał przykład sąsiedniej gminy Recz, gdzie również miała powstać chlewnia, lecz gdy tamtejszy władarz zlecił kontrraport, inwestor się wycofał. Radny przekonywał, że koszt ekspertyzy wcale nie był tak wysoki. Burmistrz Drawna potwierdził jednak, że środków nie ma.

– Boli nas takie podejście – mówią mieszkańcy. – W raporcie inwestora jest wiele nieścisłości, np. błędnie została przedstawiona analiza kierunku wiatrów. U nas dominują wiatry zachodnie, co spowoduje nawiewanie odorów.

– Nawet pegeery, wiele lat temu, budowały chlewnie od zawietrznej, szanując okolicznych mieszkańców – dodaje Waldemar Sroczyński. – Dziś nikt na to nie zważa. Wielu miejscowych obawia się, że jeśli dojdzie do wydania decyzji środowiskowej i powstanie pierwsza chlewnia, to za nią pojawią się kolejne.

Przemysłowe rolnictwo rozbija wspólnotę

Mariusz Wilgocki do godz. 15 pracuje w tartaku, a po południu dogląda swojego stada, które pasie się na łące poniżej użytku z pełnikiem.

– Z samej hodowli 10 sztuk bydła bym się nie utrzymał – mówi. – Owszem, są kredyty dla młodych rolników. Ale taki kredyt dostaje „młody bogaty”, bo wszystko jest punktowane – są punkty za szkołę, za ilość ziemi itp. Jeśli ktoś pochodzi z biedniejszej rodziny, szans nie ma. Na unijne projekty trzeba mieć 50% wkładu własnego i tak koło się zamyka. Małego rolnika nikt nie wspiera, jest „zjadany” przez wielkich. Protestuję, bo uważam, że fermy przemysłowe rozbijają wiejską wspólnotę i nie są prawdziwym rolnictwem, zwierzęta w nich traktuje się jak produkt. Gdybyśmy nie walczyli, ta chlewnia w Świeciechowie już by stała.

► – Co taki inwestor daje lokalnej społeczności? – pytam.

– Nic! – odpowiadają protestujący. – Do gminy zapłaci 1,2 tys. zł podatku rocznie, a od firmy Gobarto za opiekę nad zwierzętami otrzyma co miesiąc pensję kilka razy większą niż podatek. Chlewnię będzie obsługiwał jednoosobowo. Dowóz zwierząt, paszy, wywóz gnojowicy zniszczy drogi, zatruje powietrze. Już w zeszłym roku w sierpniu była u nas woda zanieczyszczona bakteriami coli. Czy to warto? Jeden człowiek zarobi, a wielu straci. Choć przedstawia się jako polski rolnik, który produkuje polskie mięso dla Polaków, my w to nie wierzymy.

Pełnik rośnie w kępach, jego intensywnie żółte, kwiaty przypominają różę.



Nie protestowalibyśmy, gdyby chciał postawić własną, niewielką chlewnię, lecz tu ma być przemysł.

Tylko więksi mogą konkurować

– Współczesne gospodarstwa hodowlane są znacznie większe niż 30 lat temu – mówi Krzysztof Bohdan, inwestor chlewni. – Zdecydowałem się na postawienie jednego budynku do 1996 świń, bo przy mniejszej obsadzie trudno utrzymać opłacalność. Trzeba spełnić wiele wymogów dotyczących dobrostanu zwierząt i zabezpieczeń przed ASF, a to generuje koszty. Planuję przystąpienie do programu integracji tuczu Gobarto 500, gdyż da mi to gwarancję zbytu i stałej ceny. Jeżeli uzyskam wszystkie zgody, będę mógł podpisać umowę na 15 lat. Otrzymam wynagrodzenie miesięczne do 10 tys. zł, oczywiście jeżeli nie będzie żadnego potknięcia. Umowa zawierać będzie też zobowiązania; będę spłacać kredyt zaciągnięty

na budowę chlewni, pokrywać koszty paszy, prądu oraz weterynarza.

Zdaniem Bohdana powstanie większych gospodarstw hodujących świnie jest w Polsce nieuniknione: – Tylko one mogą stawić czoła konkurencji z Europy Zachodniej. Obecnie połowa rolników w Hiszpanii, 70% w USA pracuje w podobnych systemach jak Gobarto 500, wymusza to globalny rynek. Inaczej skazani będziemy na import wieprzowiny np. z Niemiec. Granice są otwarte, a sieci handlowe mogą sprowadzać mięso, skąd tylko chcą.

Inwestor mówi, że planuje budowę tylko jednej chlewni, a gnojowica będzie trafiać do biogazowni, zmieni

być nawet 180 tys. warchlaków, co zmniejszy zależność Polski od ich importu, np. z Danii. Gdy pytam o firmę Gobarto w EKO-UNII, słyszę, że bardzo możliwe są jej związki z kapitałem chińskim, który przejął fermy przemysłowe Smithfielda w Polsce, lub z kapitałem pokrewnym. Inwestor twierdzi, że to firma polska.

W połowie marca tego roku nadmiernej koncentracji ferm przemysłowych poświęcone było posiedzenie sejmowej Komisji Rolnictwa. W toku dyskusji podkreślano, że ich ekspansja osiągnęła masę krytyczną, że sprawy nie można dłużej ignorować. Zwrócono też uwagę na problem luk prawnych pozwalających na sztuczny podział dużych ferm i ominięcie wymogu dodatkowych zezwoleń.

Mimo tych politycznych deklaracji trzy miesiące później ukazał się projekt ustawy, która ustala niewielkie odległości ferm od domów. 24 czerwca oprotostowano go pod Ministerstwem Klimatu i Środowiska. W latach 2009-2019 w Polsce było przynajmniej 841 lokalnych wystąpień przeciw fermom, obecnie trwa ponad 200. Ludzie wciąż czekają nie tylko na ustawę odległościową, lecz także na procedowaną od kilkunastu lat ustawę odorową.

Burmistrz Drawna przedłużył postępowanie administracyjne do 30 listopada br. Sprawę z Regionalnym Zarządem Gospodarki Wodnej w Bydgoszczy i z Powiatowym Inspektorem Sanitarnym w Choszczynie po uzupełnieniach inwestora uzgodniono. Działka, na której ma być chlewnia, nie jest objęta planem zagospodarowania przestrzennego – dotychczasowy stracił ważność, do opracowania nowego nie przystąpiono. Brak planu ułatwia ekspansję ferm.

Spór o chlewnię uaktywnił wieś. Na Święcie Drawy 26 czerwca święciechowianie rozstawili wielki namiot z wiankami z kwiatów i ziół oraz rękodziełem. W ten sposób zbierali środki na kontrporot. Trwa również zbiórka w internecie.

– My na pewno nie ustąpimy – podkreśla Krystyna Leśniańska. – Jeśli burmistrz podpisze decyzję środowiskową, pójdziemy do sądu.

Helena Leman

h.leman@tygodnikprzeglad.pl

Nie ustąpimy

Program Gobarto 500 rozwija się. W tym miesiącu do współpracujących z firmą rolników mają trafić warchlaki z zarodowej fermy Gobarto w Zalesiu. Rocznie może to



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Humbug kosmonautów milionerów

Ekscytacja medialna podkosmicznymi ekskursjami kilku światowych miliarderów osiąga rozmiary niebotyczne, odwrotnie proporcjonalne do ich rzeczywistego znaczenia. Zaiste, zadziwiające świadectwo wystawia sobie ogłupiała ludzkość, przydając wagę (stopniem zainteresowania chociażby) tym wyścigom egotycznych samców, którzy z kaprysów niezaśpokoionych, bo niezaspokojonych, uczynili – bo są w stanie to zrobić – kłamstwo opakowane w marzenia milionów. Wszyscy trzej: Jeff Bezos, Richard Branson, Elon Musk, uchodzą za wizjonerów, magów przyszłości, prestidigitatorów nadchodzących czasów, ludzi, którzy zarażają siłą swoich marzeń i pragnień całe nadchodzące pokolenia. Loty w kosmos były, to prawda, „kosmicznym” osiągnięciem ludzkości, ale 50-60 lat temu.

Tamta epoka przyniosła wydarzenia i osiągnięcia historyczne. Na sukces ówczesnych kosmonautów, zarówno radzieckich, jak i amerykańskich, składała się praca pokoleń naukowców, badaczy, uniwersytetów, politechnik, armii. Wystarczyło kilkadziesiąt lat, żeby cały ten wysiłek sprywatyzować, opakować po nowoczesnemu i zapomnieć, dlaczego kilku ludzi może polecieć gdzieś wysoko, bez żadnego znaczenia dla nas tutaj. Ktoś powie (wielu, a szczególnie w Polsce), że lecą za swoje, więc o co chodzi??? Tylko że to nieprawda. Pracownicy Amazona, firmy Bezosa, zostali ostatnio wyposażeni w worki na odchody, żeby nie marnowali czasu na chodzenie do toalety. Co chwilę w kolejnych centrach wybuchają strajki i protesty ze względu na potworne warunki pracy. Za to szef, pan i władca, i właściciel, poleci sobie w kosmos. Nie po to nie płaci podatków, żeby miał sobie odejmować od ust i od chęci uniesienia własnego tyłka w nieważkość.

To, co oglądamy w tym przedziwnym, niekiedy transmitowanym na okrągło spektaklu, to obraz degrengolady współczesnego kapitalizmu, z wszystkimi jego wynaturzeniami, podniesionymi do kolejnej potęgi.

Spektakl rozgrywa się w momencie przełomowym dla Ziemi, kiedy dalsze istnienie planety i przeżycie naszego gatunku stoi pod znakiem zapytania. Jesteśmy w trakcie

doświadczenia pandemii, wiele krajów nie otrzymało szczepionki, nad innymi sposobami poradzenia sobie z tym kryzysem należy dalej pracować. Ale o ile łatwiej sprzedać miraż lotu w kosmos na wycieczkę, bo wszędzie indziej miliarderzy już byli i wszystko kupili. O ile łatwiej sprzedawać bilet wyobrażeń podróży na Marsa. Ten jeden procent właścicieli świata proponuje *de facto* promilowi z promili, że po wyjęciu Ziemi do imentu – oni sobie odlecą. A my mamy ich jeszcze za to podziwiać. Jest to tak niewiarygodne przedstawienie wartości wszystkiego, co można by uznać za osiągnięcia ludzkości, że aż trudno mówić o tym ze spokojem.

Tak, chcę powiedzieć, że miejscem dla Bezosa, najbogatszego człowieka świata, jest raczej marna cela więzienna niż kapsuła kosmicznego bolidu. I że podziwianie go przez media całego świata uwłacza po prostu naszemu człowieczeństwu. I że patrząc na ten spektakl, ogarnia mnie prawdziwe przerażenie

Jeden procent właścicieli świata proponuje promilowi z promili, że po wyjęciu Ziemi do imentu – oni sobie odlecą.

przyszłością. Bo ona nie musi mieć twarzy tyrana w dawnym stylu. Ona ma już twarz tyrana w stylu XXI-wiecznym. Ale nasze zrozumienie tego paradoksu, tej kosmicznej (w sensie wymiaru) nieśpokoju jest znikome. Przywołując obrazową, skrótową metaforę: obiegi media zdjęcie z powodzi w Niemczech; jeden z samochodów zatopionych w wyniku gwałtownych ulew, będących skutkiem zmian klimatycznych, miał wystającą ledwo nad wodę nalepkę: „Fuck you Greta” (chodziło o Gretę Thunberg i jej walkę o zmianę podejścia świata do klimatu). I w sprawie lotów miliarderów w kosmos wszyscy mamy taką naklejkę na oczach. Czyli jednak nie przetrwamy, bo nie rozumiemy, bo nie widzimy, bo się nie uczymy. Szkoda, chwilami to nie był zły projekt. Ale wygląda na to, że nie mógł się udać.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

BEZPŁATNY

NEWSLETTER



ZAPRASZAMY

Kto już się zapisał? Jeśli nie, można to zrobić na stronie www.tygodnikprzeglad.pl, podając swój adres e-mail lub dzwoniąc do redakcji, tel: 22 635 84 10 wew. 111.

Dostając newsletter, co tydzień otrzymasz informacje o najnowszym wydaniu PRZEGŁADU, komentarze do aktualnych wydarzeń oraz newsy o naszych książkach.

BĄDŹMY
W KONTAKCIE!



To lata 70. najmocniej zmieniły Polskę

Gierek uruchomił gigantyczne pokłady ambicji i energii, które wcześniej były gdzieś przyduszone

Robert Walenciak

29 lipca mija 20 lat od śmierci Edwarda Gierka. To szmat czasu, a jednak pamięć o nim i jego dekadzie trwa.

To fenomen – władza, posiłkując się ustawą dekomunizacyjną, zwalcza przecież wszystko, co może pozytywnie się kojarzyć z Polską Ludową i, co oczywiste, z Edwardem Gierkiem. Zdekomunizowano już

wciąż przychodzą. My opiekujemy się grobem. Co tydzień wynosimy po kilka toreb wypalonych zniczy. A już 29 lipca i 1 listopada są tłumy. Przejść się nie da.

Na czym polega tajemnica tej pamięci?

Nie zrozumie się Polski, tej z czasów PRL i tej współczesnej, jeśli nie zrozumie się epoki Edwarda Gierka. I tamtej atmosfery.

wszystkich sondażach lata 70. wygrywają jako ten czas, kiedy Polakom żyło się najlepiej. Owszem, skokowy wzrost poziomu życia ma decydujący wpływ na postrzeganie tamtego okresu, ale liczy się też wzrost poczucia własnej wartości, bycia częścią czegoś ważnego, epokowego. Po drugie, wyjaśniają, dlaczego obrzydzanie Polski Ludowej jest tak nieskuteczne. Dlaczego propaganda, że za Gierka przejedliśmy kredyty, jest jak kulą w plot.

Polak potrafi – to nie było hasło zawieszone w próżni, ono wychodziło naprzeciw oczekiwaniom.

nazwy ulic, rond, nie mogą one nosić jego imienia. Społeczne Ogólnopolskie Stowarzyszenie im. Edwarda Gierka musiało przejść w stan hibernacji z powodu niestusznej nazwy. Taki rodzaj administracyjnej represji na pewno utrudnia działanie, ale przecież nikogo nie złamał. I uroczystości 20. rocznicy śmierci Edwarda Gierka zapowiadają się godnie.

Zaczną się o godz. 14 na sosnowieckim cmentarzu, skończą w Domu Kultury Zagłębia. Maciej Gadałek, jeden z organizatorów, wylicza: będą poczty sztandarowe, będą delegacje z całej Polski, stowarzyszenia Pokolenia, związków byłych żołnierzy, delegacje z Gdańska, Warszawy, Wrocławia, od nas, to wiadomo... A jest pandemia! Więc już zapowiedzieliśmy: delegacje mogą być do czterech osób, bo i tak cmentarz wszystkich nie pomieści. To trzeba zobaczyć! Na grobie, świętek i piątek, palą się znicze. Ludzie

Lata 70. to czas nie tylko wielkich inwestycji, budowy fabryk, budownictwa mieszkaniowego, ale także rozbudzenia się wielkich aspiracji Polaków. Gierek uruchomił gigantyczne pokłady ambicji i energii, które wcześniej były przyduszone. Własny samochód, własne mieszkanie, wczasy za granicą, zakład pracy, który wdraża nowe technologie – te marzenia stały się własnością milionów. Polak potrafi – to nie było hasło

Na grobie, świętek i piątek, palą się znicze. Co tydzień wynosimy po kilka toreb wypalonych zniczy.

Przejedliśmy czy zbudowaliśmy?

Ta propaganda nie działa z jednego powodu – wystarczy rozejrzeć się wokół, by zrozumieć jej bezsens. Bo skoro w latach 70. wybudowano 557 przedsiębiorstw i 2,5 mln mieszkań, to naprawdę bardzo trzeba się starać, by tego nie zauważyć. W domach wybudowanych za Gierka mieszka co piąty Polak. Oczywiście trzeba było na swój przydział czekać, ale mieszkanie dostawało się za równowartość paru pensji, a nie tak jak dziś – za kredyt we frankach szwajcarskich, rozłożony na 30 lat.



zawieszone w próżni, ono wychodziło naprzeciw oczekiwaniom. To wtedy Polacy poczuli, że są we własnym kraju. Ukształtowali się jako współczesne społeczeństwo.

Podkreślam te sprawy, bo one, po pierwsze, tłumaczą nieustający sentyment do lat 70. Przypominam – we

Do tego dorzucmy wielkie inwestycje komunikacyjne, takie jak Centralna Magistrala Kolejowa czy łącząca Warszawę z Katowicami „gierkówka”. A także inwestycje budujące niezależność energetyczną Polski. Na pierwszym miejscu – kopalnię Bełchatów i elektrownię o tej samej nazwie. Wytwarza ona 20% polskiego prądu.

Warto również pamiętać o Porcie Północnym, którego budowa była pierwszym krokiem na drodze



do uniezależnienia się od dostaw ropy z ZSRR. Razem z portem powstała rafineria, w której przerabiano ropę z Libii i z Iraku.

Tak można wymieniać kolejne inwestycje. I dopiero wówczas wiadać, że 20 mld dol. zadłużenia, które zostawił po sobie Gierek, w porównaniu z tym, co wybudowano, to śmieszna kwota.

Te setki przedsiębiorstw okazały się w III RP znakomitym towarem, który można było sprzedać i tym samym załatać dziurę w budżecie. Do roku 2009 sprzedaż klejnotów koronnych Polski Ludowej przyniosła budżetowi 83 mld zł. A sprzedawano po śmiesznie niskiej cenie, często za ułamek wartości. I jeszcze wiele do sprzedaży zostało.

I żeby już zamknąć temat długu: według oficjalnych danych w samym roku 2020 zadłużenie Polski wzrosło o 290 mld zł. W 2021 r. wzrosło o 143 mld zł. Czyli w ciągu dwóch lat dług zwiększył się o 433 mld zł. I osiągnie, jak prognozuje Ministerstwo Finansów, ok. 1,479 bln zł. W przeliczeniu na jednego mieszkańca Polski – od ośeska po staruszka – to ok. 39 tys. zł. Ponad jedna czwarta tej kwoty to zadłużenie lat 2020/2021. Aż się prosi zapytać: co za te pieniądze zbudowano? Kiedy więc był

W domach wybudowanych za Gierka mieszka co piąty Polak.

czas przejadania kredytów, a kiedy – inwestowania?

Czas podniesionej głowy

W roku 2011 r. realizowałem dla TVP Info cykl programów pod tytułem „Za kulisami PRL-u”. Rozmawiałem w nim m.in. o czasach Edwarda Gierka, także z ludźmi, którzy

w tamtym okresie odpowiadali za inwestycje lub je realizowali. Ich wspomnienia odtwarzają klimat tamtej epoki, tamtą atmosferę.

– Gierek lubił budować. Cała jego filozofia polegała na budowaniu, na przekonaniu, że to, co zbuduje, to już będzie i nikt tego nie zabierze – tak charakteryzował go prof. Paweł Bożyk, jego doradca ekonomiczny.

Tak oczywiście było, choć ten pęd do inwestowania, do zmieniania kraju miał też dużo głębsze przesłanki. Mówił o tym Adam Glazur, ówczesny minister budownictwa. Do Gierka zachodził niemal codziennie. Po co? – Zastanawialiśmy się, co można zrobić, żeby ten kraj unowocześnić – mówił. – Wyż demograficzny, 5 mln młodych ludzi. Połowa poniżej 20 lat. Nie mają gdzie mieszkać. Więc co zrobić? Ratunkiem były fabryki domów. Gierek to znał. Tak budowano we Francji. Potem dyskutowaliśmy, czy nie lepiej budować trochę mniej mieszkań, ale o wyższym standardzie. Zlikwidowałem więc ciemne kuchnie. A gdy projektowaliśmy warszawski Ursynów, załatwiłem balkony. Nie było strychów, nie było piwnic, więc niech będą balkony!

W LATACH 70. WYBUDOWANO 557 NOWYCH PRZEDSIĘBIORSTW, W TYM:

- 71 fabryk domów,**
- 18 zakładów mięsnych,**
- 16 fabryk odzieżowych,**
- 14 chłodzi,**
- 10 zakładów elektronicznych,**
- 10 fabryk mebli,**
- 9 zakładów hutnictwa żelaza i metali nieżelaznych,**
- 9 elektrociepłowni,**
- 7 elektrowni,**
- 7 fabryk samochodów i ich części,**
- 5 cementowni,**
- 5 kopalni węgla kamiennego.**



wyzwania. Bo zawsze decydują ludzie. Miałem notes, a w nim spisane nazwiska tych, którzy się wyróżnili. Którzy w ogniu funkcjonowania budow po trafili coś zrobić. Kierowanie budową na tym się opierało. Na autorytecie osobistym.

A gdy budowa się kończyła? – Wtedy, na zakończenie, ludzie mieli tży w oczach.

Była jeszcze jedna specyfika tamtych czasów. Otóż rozwój Polski odbywał się równomiernie. Budowano nie tylko na Śląsku, ale w całej Polsce. To do dziś Gierkowi jest pamiętane. I nie bez przyczyny jego pamięć jest najbardziej żywa w mniejszych miejscowościach. Bo tam pamięta się zbudowany w czasach Gierka zakład, który dawał pracę, a później, w III RP, został zamknięty i rozszabrowany.

Ale chyba najmocniejsza pamięć Gierka jest na wsi. Wieś, w czasach Bieruta gnębiona, w czasach Gomułki okładana przymusowymi dostawami, za Gierka mogła odetchnąć. Ten element często się pomija, ale bum inwestycyjny na polskiej wsi, wzrost zamożności, to lata 70.

W budowę tamtej Polski zaangażowanych było miliony. Oczywiście pracowało się dla pieniędzy. Konkretnych pieniędzy. Polskie PKB na osobę urosło z 4,4 tys. dol. w 1970 r. do ponad 6,1 tys. osiem lat później. Niewiarygodne tempo, nic więc dziwnego, że Polska pokazywana była w świecie jako gospodarczy tygrys.

Ta atmosfera państwa, które się otwiera, które chce gonić świat – i w wielu dziedzinach mu się udaje, była częścią świadomości milionów.

powiedzieć, jak będę to robił. I że muszę przewieźć 2 mln ton granitowych bloków z południa Polski, żeby zbudować pirs węglowy. Pytał, jak to zrobić. To mu odpowiadałem.

W mniejszych miejscowościach pamięta się zbudowany w czasach Gierka zakład, który dawał pracę, a później, w III RP, został zamknięty i rozszabrowany.

– Wielka budowa miała w sobie coś z Dzikiego Zachodu – to z kolei słowa Andrzeja Kumora, dyrektora wielkich socjalistycznych budow, na których pracowało tysiące ludzi. – Przychodziło się na pusty teren, a odchodziło, kiedy fabryka funkcjonowała. Dodam do tego jeszcze jedno – każda moja budowa była prototypem. Poruszała nasze ambicje techniczne. Była taka grupa ludzi, która podejmowała

Oczywiście kreowała ją telewizja Macieja Szczepańskiego, ale to padało, przez wiele lat, na podatny grunt.

Nie dziwny się więc, że dziś, ponad 40 lat po upadku Gierka, pamięć jego czasów jest przede wszystkim pozytywna. Że błędy schodzą na dalszy plan. Bo tak przeciętny Polak tamte czasy ocenia.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

- ▶ W ten sposób w ciągu 10 lat zbudowano 2,5 mln mieszkań.
- Gierk był człowiekiem bardzo kontaktowym – opowiadał Głazur. – Ale zawsze chciał konkretów. Jak rozmawialiśmy o budowie Portu Północnego, to musiałem mu



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Dobre określenie Andrzeja Stankiewicza: „Oni nie chcą wyprowadzić Polski z Unii, ale Unię z Polski”. To drugie prędzej czy później zagwarantuje to pierwsze. Kiedy sześć lat temu, dzień po wygranej PiS w wyborach parlamentarnych, powiedziałem w telewizji, że PiS wyprowadzi nas z Unii, zostałem wyśmiany przez uczestników programu. Czy byłem pesymistą? Lubię dowcip: w Polsce pesymista to optymista, ale dobrze poinformowany. Zresztą przez kilkanaście lat mojego pisania felietonów, jeszcze w paryskiej „Kulturze”, byłem ostro krytykowany za pesymizm wobec Polski, a Gedroyc nawet z tego powodu tracił czytelników. Jaki smutny dzisiaj jest mój triumf.

Zawsze miałem poczucie, że u nas w jednym kraju żyją dwa narody i jest wielki potencjał myślenia neoendeckiego, to są często potomkowie ludzi upokorzonych przez pańszczyznę. Ci ludzie teraz za swoich przodków biorą rewanż na „pańskiej” Polsce. Żaden jednak pesymizm

Czułość

Czułość – bywa jak pełny wojen krzyk,
I jak szemrzących źródeł prąd,
I jako wtór pogrzebny...

I jak plecionka długa z włosów blond,
Na której wdowiec nosić zwykł
Zegarek srebrny –

Kupiłem nowe wydanie „Kaputt” Curzia Malapartego i czytam po raz drugi. Na pewno najbardziej niezwykła reportażowa książka, jaką znam. Malaparte w mundurze kapitana armii Mussoliniego jeździ jako korespondent wojenny włoskiej prasy po płonącej Europie. Ma żelazną przepustkę, może być wszędzie, byle po hitlerowskiej stronie, stanie przy plutonie egzekucyjnym, nakaże

Kaputt

co do losów kraju, podobnie jak optymizm, nie ma racji na dłuższą metę. Świat przyspieszył, szybciej dokonuje się wymiana pokoleń, mód, technologii, więc też to, co złe, szybko szlag trafi (co dobre – pewnie też). A prawdziwym dramatem świata są zmiany klimatyczne. Szybciej, niż prognozowały pesymistyczne prognozy, klimat uświadamia nam, że globalna katastrofa jest nieunikniona. Być może właśnie przekraczamy „próg planetarny”, a za nim nie ma już odwrotu. Jak nie martwić się o nasze dzieci i wnuki?

Rozmowa Moniki Olejnik z Olgą Tokarczuk, bardzo sympatyczna i mądra jest Olga. Poruszono motyw czułości, jak jest ważna, najważniejsza, Oldze przypisuje się tu prekursorstwo, mówiła o czułości w mowie noblowskiej. Trochę mi jednak przykro, wiele lat temu mówiłem i pisałem niemal maniacko o czułości, nie tylko tej między ludźmi; pisałem o czułości w wielu dziedzinach życia, nawet w architekturze. Poświęciłem czułości kilka felietonów. Opublikowałem tom wierszy „Tylko czułość idzie do nieba”. Otwiera go i kończy wiersz o czułości. Nie wystarczy jednak być pierwszym; ważne, jak wysoko się stoi i jaki ma się megafon, kiedy jest się pierwszym. Po programie zadzwoniła Kryśka ze Szwajcarii – zna moją poezję – poruszona, że zabiera mi się tak bezceremonialnie czułość. Ale przecież czułość jest ogólnodostępna i nie mam na nią monopolu. Najpiękniejszy wiersz o czułości napisał Norwid, Olga, podejrzewam, go nie zna. Bo gdyby znała, musiałaby go zacytować.

otwarcie drzwi wagonów bydlęcych wiozących w upale Żydów do obozów, wysypią się martwi. Idzie z gubernatorem Frankiem do warszawskiego getta, a ten przy nim strzela w głowę dziecka. Hans Frank wcześniej przyjmuje go na Wawelu, ucztą w iście rzymskim stylu. Genialne są zapisy tego, co Frank mówi, i długie dialogi. Z kolei gubernator dystryktu warszawskiego Ludwig Fischer gości go w pałacu Brühla. Polska zajmuje sporą część tego dzieła. Tak, Malaparte zwiedza zbrodnię jak wytrawny turysta, tylko czasami pozwala sobie na odruch współczucia, idąc chodnikami getta, musi uważać, by nie nadepnąć na zwłoki. Czy będąc biernym świadkiem takich zbrodni, nie jest współwinny? Do końca życia miał wyrzuty sumienia, ale niewielkie, umiera ze słowami: „Umieram jako człowiek uczciwy”. Malaparte maluje swoje obrazy z rozmachem Michała Anioła, dodaje wycucie dramatu w stylu Szekspira, piekło wojny maluje piórem Dantego. Ma fotograficzną pamięć, powtarza długie rozmowy. Nie mógł jednak tego wszystkiego tak dokładnie zapamiętać, na pewno wiele wzbogaca wyobraźnią, wymyśla, ale jak genialnie! Na kamykach prawdy buduje więc zamki, by kłamić, ukazać prawdę. Na tym polega geniusz reportera. Tak też nieraz pisał Kapuściński. Książka jest w księgarniach, ze świetnym postawieniem Jerzego W. Borejszy, trudno jej nie polecić, nie wypada jej nie znać. To niezwykły dokument i wybitna literatura, nawet zmyślenia w niej są wybitne. A czy *kaputt* nie grozi teraz światu, bo zmiany klimatyczne, i Polsce, bo PiS?

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Lekcja realizmu politycznego

Toczona na łamach paryskiej „Kultury” dyskusja o powstaniu warszawskim nadal budzi emocje i skłania do refleksji



Groby powstańców na podwórku przy ul. Mazowieckiej.

Krzysztof Wasilewski

Chociaż wielu czytało paryską „Kulturę”, to niewielu tak naprawdę ją rozumiało. Pozostawała głosem rozsądku w osądzie zarówno bieżącej sytuacji Polski, jak i jej przeszłości. Zapewne z tego powodu toczona na jej łamach dyskusja o powstaniu warszawskim nadal budzi emocje i skłania do refleksji.

Założona w 1947 r. przez Jerzego Giedroycia „Kultura” należała do najważniejszych polskich czasopism drugiej połowy XX w. Mimo że oficjalnie jej kolportaż w PRL był zakazany, kolejne zeszyty kształtowały sumienia i poglądy krajowej elity. Do lektury przyznawali się politycy i z prawa, i z lewa. Po przełomie 1989 r. aż do śmierci swojego redaktora naczelnego, czyli do września 2000 r.,

miesięcznik pozostawał znaczącym – choć przeważnie odoosobnionym – głosem politycznego realizmu. „Kultura” uczestniczyła także w dyskusji nad polską historią najnowszą. Spory o historię prowadzono w sposób bezkompromisowy, lecz zawsze merytoryczny. Nie inaczej było w przypadku oceny powstania warszawskiego. Już w III Rzeczypospolitej debata na łamach pisma była burzliwa i niepozbawiona głosów krytycznych.

Ludzie karmiący się złudzeniami

Rozsądnie jest zatem przywołać najważniejsze fragmenty dyskusji o powstaniu toczącej się na łamach paryskiej „Kultury”. Ten swoisty wykład realizmu politycznego, w którym

historia była jedynie pretekstem, trwał od końca lat 40. XX w. aż do zamknięcia pisma w roku 2000. Aby nie być gołosłownym, warto zacytować artykuł sprzed siedmiu dekad, który dobrze oddaje sposób myślenia obecny w piśmie Jerzego Giedroycia. W październikowym numerze „Kultury” z 1951 r. Tadeusz Sołowijski pisał: „Powstanie Warszawskie nie przestało być od dnia 1 sierpnia 1944 po dzień dzisiejszy zagadnieniem żywym i gorąco dyskutowanym. Jest to rzeczą zrozumiałą, bo o ile winę za stan, w jakim znalazła się Polska po wojnie, przypisuje się czynnikom zagranicznym, o tyle decyzja powstania warszawskiego była aktem samodzielnej woli i odpowiedzialność za nią ponoszą polskie czynniki polityczne”. Długo na 15 stron tekst historyk spuentował tymi słowami: „Decyzję powstania podjęli w kraju i Londynie ludzie karmiący się złudzeniami, nie mającymi żadnego pokrycia w ówczesnej sytuacji międzynarodowej. Wykonano ją w momencie, który przesądził z góry o klęsce planu, któremu powstanie miało służyć”.

Trzeba było odwagi – autora i redaktora naczelnego – aby napisać powyższe słowa zaledwie siedem lat od upadku powstania. Znając biografię Sołowijskiego, nie można mu jednak postawić zarzutu bezwiednego powielania narracji komunistycznej, o co zazwyczaj posądzani byli i są krytycy wybuchu powstania. Opublikowany artykuł dobitnie zaś dowodzi, że spór o zasadność sierpniowego zrywu nie był wymysłem stalinowskiej propagandy, lecz z równą mocą toczył się zarówno w kraju, jak i na emigracji. Uczestniczyli w nim przedstawiciele wszystkich nurtów politycznych, od socjalistów po narodowców i konserwatystów. Łatwo o tym zapomnieć, bo obecnie głosy podające w wątpliwość celowość wywoływania powstania rzadko kiedy przedostają się do tzw. mainstreamu.

O ile można zrozumieć potrzebę nadawania dawnym wydarzeniom – zwłaszcza tragicznym – sensu i wartości, o tyle gloryfikacja przeszłości bez jej krytycznej analizy prowadzi donikąd. Dobrze zdawano sobie z tego sprawę w redakcji „Kultury”. Jak przyznawał na łamach tego miesięcznika w 1979 r. Aleksander Gella, w czasie wojny żołnierz AK, a następnie profesor socjologii, „zdarzają się sytuacje,

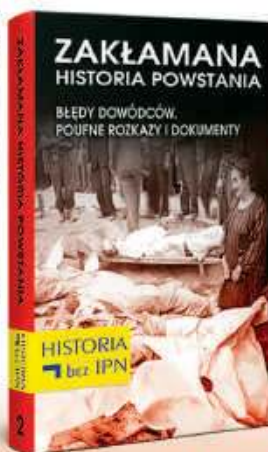
IM DALEJ OD POWSTANIA WARSZAWSKIEGO, TYM MNIEJ PRAWDY

KŁAMSTWA O POWSTANIU SĄ CZĘŚCIĄ
POLITYKI HISTORYCZNEJ WŁADZY

Książki PRZEGLĄDU!



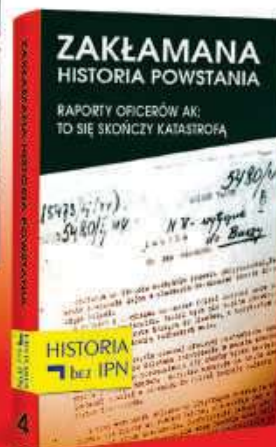
41 zł



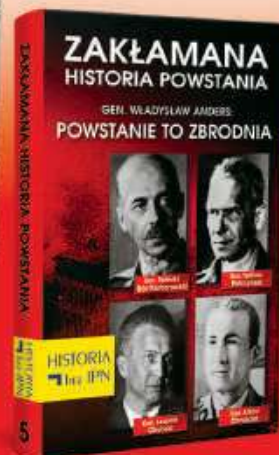
42 zł



40 zł



44 zł



43 zł

Oryginalne dokumenty!
Cynizm i głupota dowódców!
Męstwo powstańców!

W PAKIECIE 159 zł

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska.

Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

► które dla dobra naszej wspólnoty żądają wyraźnego naświetlenia, bez liczenia się z psychicznymi skrzywdzeniami pokolenia”.

Tak też postrzegał kwestię powstania Juliusz Mieroszewski, współtwórca myśli politycznej „Kultury”. Rzadko pisał o przeszłości, koncentrując się na tłumaczeniu bieżącej polityki międzynarodowej, lecz w jednym z jego „Materiałów do refleksji” z czerwca 1956 r. uczynił wyjątek.

Tadeusz Sołowij: Decyzja powstania warszawskiego była aktem samodzielnej woli i odpowiedzialność za nią ponoszą polskie czynniki polityczne.

„Naród kierujący się realistyczną polityką byłby nie dopuścił do powstania warszawskiego”, zaczął. Wskazując uwarunkowania międzynarodowe w sierpniu 1944 r., dowodził, że „w tym świetle powstanie warszawskie skazane było politycznie na klęskę w każdych okolicznościach. Gdyby Rokossowski przekroczył Wisłę i zdążył z odsieczą – AK powędrowałaby do łagrów na dalekiej północy. Z uwagi na opinię Zachodu było taktycznie korzystniej pozwolić Niemcom zlikwidować aktyw AK, niż bohaterskich sojuszników wywozić na Kołymę”.

Można się zastanawiać nad słuszością wszystkich stwierdzeń Mieroszewskiego, ale nie sposób zarzucić mu braku politycznego rozeznania. Jeśli krytykował decyzję o wywołaniu powstania, to przedstawiał konkretne argumenty, wynikające z trzeźwej oceny europejskich realiów, nie zaś z niechęci do jego przywódców czy władz emigracyjnych. W podsumowaniu swoich przemyśleń pisał: „Imponderabilia nie zwalniają od odpowiedzialności, która obejmuje zarówno zwycięstwo, jak i klęskę. Ktoś odpowiada za powstanie warszawskie, za losy AK, za brak jakiegokolwiek próby przygotowania i zorganizowania odwrotu. Odpowiedzialność obciąża polską politykę tego zakresu”.

Upomnienie się o los cywilów

Chociaż redaktorzy „Kultury”, podobnie jak wielu jej współpracowników, przebywali po wojnie na emigracji, wyczuwali niemal naturalnie,

jak wielką rolę powstanie warszawskie odgrywało w tożsamości narodowej Polaków w kraju. W 20. rocznicę sierpniowego zrywu, w 1964 r., Józef Czapski pisał, że była to walka 63 dni „o każdy załom muru, ta zgłada zastępów ponad miarę bohaterskich bojowników, w większości wyrwanej ze szkół najofiarniejszej młodzieży, wymordowanie i wygnanie setek tysięcy mieszkańców Warszawy, ruina stolicy”.

Podobny ton wybrzmiewał w tekście jego siostry, Marii Czapskiej, opublikowanym sześć lat później, w roku 1970. Recenzując „Pamiętnik z powstania warszawskiego”, pisarka podkreślała, że „w niezwyklej relacji Mirona [Białoszewskiego] widzimy Powstanie pod innym zupełnie kątem aniżeli poprzednie publikacje. Nie o walkę zbrojną tu chodzi, o tym pisali inni, a o walkę przetrwania milionowego miasta, o sposób przeżycia. Powstanie było dla opisywanych przez Mirona mieszkańców Warszawy

Juliusz Mieroszewski: Powstanie warszawskie skazane było politycznie na klęskę w każdych okolicznościach.

klęską, podobną do powodzi lub trzęsienia ziemi, i tej klęsce trzeba było stawiać czoło, ratować się. Zbiorowy, zapamiętały, po swojemu też bohater-ski instynkt samozachowawczy stanowił materię tego »Pamiętnika«”.

Mity powstania

Dyskusję o zasadności wywołania powstania warszawskiego „Kultura” prowadziła także po 1989 r. Jeden z ważniejszych tekstów z tego okresu wydrukowano w numerze 10. z 1994 r. Artykuł „Powstanie Warszawskie z innej strony” Andrzeja Korbońskiego podsumowywał krajową debatę, która towarzyszyła 50. rocznicy sierpniowego zrywu. „Z dużą ciekawością zabrałem się do czytania tych artykułów w nadziei, że może dowiem się czegoś nowego czy też napotkam

na jakąś nową interpretację dotyczącą wybuchu Powstania”, zaczynał emigracyjny politolog. Zaraz jednak rozważał wątpliwości co do poziomu dyskusji: „Niestety, muszę stwierdzić, że moje nadzieje okazały się płonne i że rzadko w przeszłości spotkałem się z podobną próbą manipulowania historią i ignorowania oczywistych, ale niewygodnych faktów”.

Oceniając rocznicowe rozliczenia, Korboński nikogo nie oszczędzał. Dostało się publicystom, którzy sami walczyli w Warszawie w sierpniu 1944 r., a przez to zdaniem Korbońskiego nie potrafili wyzbyć się subiektywizmu w ocenie. Dotyczyło to takich autorytetów III RP jak Władysław Bartoszewski, Aleksander Gieysztor czy Tadeusz Żenczykowski.

Dalej Korboński rozprawiał się z mitami, które narosły wokół decyzji o wybuchu powstania. Pierwszym było przekonanie, że zapobiegło ono włączeniu Polski do Związku Radzieckiego. „Teza, jakoby Powstanie Warszawskie zmusiło Stalina do zaniechania planów stworzenia z Polski 17-tej republiki sowieckiej, zrobiła prawdziwą karierę w ostatnim czasie. (...) Powyższa teza brzmi dumnie, ale, niestety, nie jest oparta na jakichkolwiek faktach i nie można traktować jej poważnie”, tłumaczył czytelnikom.

Drugi mit dotyczył wpływu powstania na spowolnienie marszu Armii Czerwonej, co w konsekwencji uniemożliwiło jej zajęcie całych Niemiec przed nadejściem aliantów zachodnich. „Nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać – zaczynał Korboński. – Postulowanie dzisiaj tezy, że Powstanie Warszawskie uratowało Republikę Federalną Niemiec, zakrawa na farsę. Jeżeli Stalinowi rzeczywiście zależałoby na zajęciu całych Niemiec, wbrew umowom zawartym ze Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią, to należy wątpić, czy stosunkowo drobny epizod Powstania Warszawskiego powstrzymałby Kreml od wykonania planów strategicznych”.

Trzeci i być może najważniejszy mit, z którym Korboński się rozprawił, to przekonanie o nieuchronności wybuchu powstania. Już na



Powstańcy warszawscy wyprowadzani z miasta – 2 października 1944 r.

początku publicysta jasno wyjaśniał swój pogląd w tej kwestii: „Osobiście należę do tych, którzy uważają, że Powstania można było uniknąć, że decyzja o jego wybuchu była tragicznym błędem i że nic nie może usprawiedliwić jego ogromnych strat i kosztów”. Następnie wskazywał czynniki, które przemawiały za wstrzymaniem akcji przeciwko okupantowi, chociażby brak porozumienia ze zbliżającą się Armią Czerwoną czy wzmocnienie sił niemieckich tuż przed sierpniem. „Powstanie było kosztownym błędem, którego można było uniknąć. Można wygłaszać peany pochwalne o największej i najdłuższej bitwie polskiej II wojny światowej, ale fakt faktem, że (...) jeśli chodziło o naszych zachodnich aliantów, powstanie było burzą w szklance wody”, podsumowywał Korboński.

Tekst kończył w dość pesymistycznym nastroju: „Szkoda tylko, że w 50-tą rocznicę Powstania ci sami starzy ludzie, którzy ewidentnie niczego się od tamtej pory nie nauczyli, ciągle monopolizują opinię publiczną przez propagowanie fałszywej legendy Powstania. Osobiście mam tylko nadzieję, że przynajmniej młode pokolenie Polaków jest i będzie skłonne do ocenienia Powstania z innej strony”.

Głosy polemiczne

Cytowany powyżej artykuł Andrzeja Korbońskiego spotkał się z ostrą reakcją m.in. ze strony Jana

Nowaka-Jeziorańskiego. Choć w swojej polemice legendarny kurier z Warszawy bronił tezy o słuszności zrywu, przyznawał zarazem, że wiele bezpośrednich konsekwencji decyzji o wywołaniu powstania uniemożliwiało jego jednoznaczną ocenę. Zapewne dlatego wśród najważniejszych osiągnięć sierpnia 1944 r. Nowak-Jeziorański wymieniał nie konkretne sukcesy powstańców, lecz lekcję dla przyszłych pokoleń, które nauczone tą tragedią uniknęły zbrojnych wystąpień w latach PRL. „Wskazywanie na te pozytywne i długofalowe aspekty nie znaczy, że bić się należy, ilekroć nadarzy się okazja bez względu na szanse ostatecznego zwycięstwa. Chodzi raczej o to, by z historycznych doświadczeń nie wyciągać

Andrzej Korboński: Rzadko w przeszłości spotkałem się z podobną próbą manipulowania historią i ignorowania oczywistych, ale niewygodnych faktów.

wniosków skrajnych i fałszywych. Naród, który zatracą gotowość do walki i poświęceń w obronie swoich wartości, skazuje siebie na zagładę”, tłumaczył Nowak-Jeziorański.

Ktoś przyzwyczajony do standardów krajowej debaty, w której wszelkie głosy krytyki odsądza się od czci i wiary, musi się zdziwić tak zdystansowanym stosunkiem do powstania warszawskiego. Wszak na łamach

„Kultury” publikowali najwybitniejsi przedstawiciele emigracyjnej elity, ludzie wykształceni w II RP, którym daleko było do powielania komunistycznej propagandy. Pozostali jednak wierni przekonaniu, że „miłość do wszystkiego, co polskie” nie może oznaczać zgody na zastępowanie faktów historycznych mitami. Jan Józef Lipski, który najpełniej wyraził tę zasadę w głośnym esej „Dwie ojczyzny – dwa patriotyzmy” (opublikowanym po raz pierwszy w październikowym numerze „Kultury” z 1981 r.), ostrzegł: „Strzeżmy się i podejrzliwie patrzmy na każdą ofensywę »patriotyzmu« – jeśli jest bezkrytycznym powielaniem ulubionych sloganów megalomanii narodowej”.

Za wcześniej, by oceniać

Na zakończenie warto zacytować jeszcze jedną wypowiedź, która pojawiła się na łamach „Kultury”. Tym razem jednak będą to słowa nie historyka czy publicysty, lecz osoby bezpośrednio odpowiedzialnej za wybuch powstania, a mianowicie gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego. „Moim zdaniem – przyznawał komendant główny AK w 1966 r. w rozmowie z prof. Januszem K. Zawodnym – dziś jeszcze za wcześniej oceniać, czy rezultat Powstania był dla sprawy polskiej pożyteczny, czy też szkodliwy. Oceniaj to przyszłe pokolenie. Nawet jeśli przegrana – to taki wysiłek moralny i fizyczny zostaje w pamięci społeczeństwa. Z tego wynikają siły i wartości kulturalne i moralne, których bierne społeczeństwo nie mogłoby z siebie wyrzesać”.

Skoro zatem sam gen. Bór-Komorowski dopuszczał możliwość, że wywołanie powstania było błędem, to czy pytania o zasadność sierpniowego zrywu nie powinny zabrzmieć także dzisiaj, przy okazji kolejnej rocznicy tego tragicznego wydarzenia? Oby zabrzmiały co najmniej tak głośno jak przed laty na łamach paryskiej „Kultury”.

Krzysztof Wasilewski

Kardynał przed sądem

Przed sądem watykańskim rozpoczyna się proces stulecia dotyczący londyńskich inwestycji Sekretariatu Stanu

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

Po długich miesiącach śledztw, wielu kontrowersjach i polemikach rozpoczyna się przed sądem watykańskim postępowanie „w sprawie związanej z inwestycjami finansowymi Sekretariatu Stanu w Londynie”. Jak poinformowało biuro prasowe Stolicy Apostolskiej, proces rozpocznie się 27 lipca 2021 r. Już dziś niektórzy nazywają go procesem stulecia, gdyż w stan oskarżenia postawiono 10 osób. Bohaterów tej zawiłej historii jest wielu. Choć watykański trybunał znajduje się kilka kroków od żandarmerii, tym razem salę sądową urządzono w Muzeach Watykańskich, aby pomieścić wszystkich, zachowując dystans społeczny narzucony przez pandemię.

Oskarżenia dużego kalibru

Wniosek o wezwanie na rozprawę został przedstawiony 3 lipca br. przez Biuro Promotora Sprawiedliwości, na którego czele stoi Gian Piero Milano, a jego zastępcą jest Alessandro Diddi. Dotyczy on duchownych i świeckich pracowników watykańskiego Sekretariatu Stanu, osób pełniących ważniejsze funkcje w Urzędzie Informacji Finansowej (UIF), a także osób z zewnątrz, działających na arenie finansów międzynarodowych. Są nimi:

- były szef UIF René Brühlhart, któremu watykańska prokuratura zarzuca nadużycie stanowiska;
- były szef Biura Informacji i Dokumentacji Sekretariatu Stanu oraz sekretarz byłego kardynała Giovanniego Angela Becciu, prałat Mauro Carlino, z zarzutami wymuszenia i nadużycia urzędu;
- bankowiec Enrico Crasso, oskarżony o przestępstwa malwersacji, korupcji, wymuszania, prania brudnych pieniędzy i własnego kapitału,

oszustwa, nadużycia stanowiska oraz fałszerstwa;

- były dyrektor UIF Tommaso Di Ruzza, z zarzutami defraudacji, nadużycia stanowiska i naruszenia tajemnicy zawodowej;
- rzekoma analityczka wywiadu Cecilia Marogna, której watykańska prokuratura zarzuca malwersację;
- finansista i broker Raffaele Mincione, oskarżony o defraudację, oszustwa, nadużycie urzędu, sprzeniewierzenie i pranie własnego kapitału;
- adwokat Nicola Squillace, któremu zarzuca się oszustwa, sprzeniewierzenia, pranie brudnych pieniędzy i własnego kapitału;
- Fabrizio Tirabassi, menedżer i prawa ręka kard. Becciu, z zarzutami korupcji, wymuszenia, sprzeniewierzenia, oszustwa i nadużycia stanowiska;

się przestępstwa sprzeniewierzenia oraz nadużycia urzędu i próbę zmylenia śledztwa. To pierwszy raz w historii, gdy były kardynał zostaje postawiony przed sądem watykańskim, zamiast – jak gwarantowała to tradycja – być sądzonym tylko przez równych sobie.

Watykan podkreśla również, że inicjatywa sądowicza jest bezpośrednio związana ze wskazaniami i reformami papieża Franciszka, dotyczącymi przejrzystości i konsolidacji finansów Stolicy Apostolskiej, którym przeciwstawiały się nielegalne i szkodliwe działania spekulacyjne. Nadszarpnęły one nie tylko kasę najmniejszego państwa na świecie i kieszeń samego papieża, ale także jego reputację. To pierwsze w historii dochodzenie, które rozpoczęło się wewnątrz Watykanu, a nie – jak bywało w przeszłości – na skutek

Giovanni Angelo Becciu będzie pierwszym w historii kardynałem, który stanie przed sądem watykańskim.

– broker Gianluigi Torzi, oskarżony o wymuszenia, malwersację, oszustwa, pranie brudnych pieniędzy i własnego kapitału.

Już kaliber tych dziewięciu postaci oraz ciężar oskarżeń mówi o randze ostatniej watykańskiej afery finansowej.

Dodatkowo Watykan występuje przeciwko trzem spółkom: HP Finance LLC, Prestige Family Office SA, Sogenel Capital Investment, przypisywanym szwajcarskiemu finansistcie Enricowi Crassowi i pozwanym o oszustwo, a także przeciw spółce Logisc Humanitarne Dejavnosti D.O.O., której właścicielką jest Cecilia Marogna.

W watykańskim komunikacie prasowym informującym o procesie można przeczytać o istnieniu dowodów obciążających kard. Giovanniego Angela Becciu, któremu zarzuca

śledztwa włoskiej Gwardii Finansowej i prokuratury. Impuls do niego dały w 2019 r. sam IOR (Instytut Dzieł Religijnych, watykański bank znany z afer finansowych – przyp. aut.) oraz Biuro Rewizora Generalnego (urząd antykorupcyjny powołany przez Franciszka w 2019 r., zgodnie z definicją konwencji z Méridy, która obowiązuje w Watykanie od 19 października 2016 r. – przyp. aut.). Biuro Promotora Sprawiedliwości – czyli watykańska prokuratura – współpracowało ściśle z watykańskim Korpusem Żandarmerii, a przede wszystkim z rzymską prokuratorem i włoskim Wydziałem Policji Gospodarczo-Finansowej, z prokuratorami w Mediolanie, Bari, Trydencie, Cagliari i Sassari oraz odpowiednimi sekcjami policji sądowej. Dochodzenie prowadzono w wielu innych krajach (Zjednoczonych Emiratach



Dzięki zagranicznym kontaktom kard. Giovanniego Angela Becciu narodził się projekt spekulacyjnej inwestycji watykańskich pieniędzy w angolską ropę naftową.

inwestycjami. Crasso wkupił się już na dobre w jego łaski, stając się bezcennym doradcą. Wtedy to zapadła decyzja o zakupie 45% udziałów w luksemburskim funduszu Athena Global, którego pozostałe 55% należało do finansisty Mincionego, „maga” od pieniędzy, brokera i doradcy finansowego z siedzibą w Londynie. W ciągu kilku miesięcy z Credit Suisse z Lugano wysłano 200 mln dol. na zakup budynku przy Sloane Avenue 60 w Londynie. Pieniądze watykańskie inwestowano również w rozmaite operacje finansowe, niekoniecznie odpowiadające profilowi religijnemu.

Kiedy w 2018 r. Franciszek wyznosił Giovanniego Angela Becciu do godności kardynalskiej i mianował prefektem Kongregacji Spraw Kanonicznych, na jego zastępcę w Sekretariacie Stanu powołał nowego substytutę, wenezuelskiego prałata. Edgar Peña Parra zorientował się, że watykańskie inwestycje w luksemburski fundusz Athena oraz w inne fundusze (Retelit, Banca Carige, Sorgente) przynoszą milionowe straty. Ponadto zaciągnięto hipotekę z wysokim oprocentowaniem na nieruchomości w Londynie, wtedy jeszcze zarejestrowaną na spółkę *offshore* z Jersey. Peña Parra zmienił watykańską strategię finansową i zdecydował się opuścić fundusz Athena. Polecił również włoskiemu finansistcie Gianluigiemu Torziemu, pracującemu w Londynie, sfinalizowanie zakupu całej nieruchomości przy Sloane Avenue. Torzi miał zostać jej zarządcą na pięć lat. Aby sfinansować całą operację, Sekretariat Stanu zwrócił się do watykańskiego banku IOR o „zaliczkę” w wysokości 150 mln euro. W tych okolicznościach, zgodnie z nowymi zasadami wprowadzonymi przez Franciszka, rozpoczęło się wewnętrzne dochodzenie mające przeświecić operację londyńską, która od razu wydała się niejasna. Sprawa została zasygnalizowana bezpośrednio papieżowi. W sierpniu 2019 r. doszło do pierwszych roszad w Watykanie. Prałat Peña Parra został przeniesiony. W październiku

Arabskich, Wielkiej Brytanii, Jersey, Luksemburgu, Słowenii, Szwajcarii), korzystając z międzynarodowej pomocy prawnej. Pozwoliło to odtworzyć gęstą sieć, która opłótła finanse Watykanu, wysysając z jego kas setki milionów dolarów i sięgając także po świętopietrze, czyli po osobisty fundusz Ojca Świętego, przeznaczony na działalność dobroczynną.

Wielki skok na watykańską kasę

Historia, mająca tak wielu bohaterów, którzy teraz zasiądą na ławie oskarżonych, jest już mniej więcej znana. Korzenie afery sięgają jeszcze czasów Benedykta XVI, kiedy to Becciu pełnił (od 2011 r.) funkcję substytutę do spraw ogólnych w Sekretariacie Stanu Stolicy Apostolskiej, a nawet jeszcze dalej, kiedy był nuncjuszem apostolskim w Angoli i na Kubie za czasów Jana Pawła II. Dzięki jego angolskim koneksjom narodził

się projekt spekulacyjnej inwestycji watykańskich pieniędzy w angolską ropę naftową. Przy tej okazji Becciu poznał finansistę i bankowca Enrica Crassa z Credit Suisse, który był finansowym referentem Sekretariatu Stanu w Szwajcarii. Watykan dysponował kwotą 650-700 mln euro, które należało zainwestować, aby je pomnożyć. Crasso odradził ryzykowną inwestycję w angolską ropę, rozważając perspektywy innych „złotych gór”. Poprzez jego spółki w Lugano watykańskie pieniądze kierowano do funduszy spekulacyjnych w rajach podatkowych, po czym, po przebyciu długiej drogi, środki wracały do kas watykańskich, przynosząc jednak bardzo niskie profity.

W 2013 r., gdy Franciszek został wybrany na papieża, pozostawił prałata Becciu na jego kluczowej pozycji substytutę do spraw ogólnych w Sekretariacie Stanu, z której ten mógł kierować watykańskimi

► w biurach Sekretariatu Stanu i Urzędu Informacji Finansowej żandarmeria watykańska dokonała bezprecedensowego przeszukania. Zostali odwołani ze stanowisk dwaj ważni menedżerowie, a także trzech pracowników, m.in. prałat Mauro Carlini (świeżo mianowany szef Biura Informacji i Dokumentacji Sekretariatu Stanu, a wcześniej długoletni sekretarz kard. Becciu), Tommaso Di Ruzza (dyrektor UIF) oraz Fabrizio Tirabassi, protokolant z biura administracyjnego Sekretariatu Stanu. Sprawa przeciekła do mediów, które już wtedy węszyły „afery londyńskiej”. W czerwcu 2020 r. zajęto szwajcarskie konta należące do Enrica Crassa, przez które przepływały pieniądze watykańskie, a do Watykanu wezwano na przesłuchanie pośrednika Gianluigiego Torziego i aresztowano go na kilka dni. Miesiąc później dokonano przeszukania w pokoju jednego z rzymskich hoteli, w którym zatrzymał się Raffaele Mincione, demiurg „afery londyńskiej”.

24 września 2020 r. kard. Becciu został poproszony przez papieża Franciszka o podanie się do dymisji, stracił również prerogatywy kardynalskie.

Czy papież wypędzi przekupniów ze świątyni, wypłeni korupcję i położy kres malwersacjom?

Papież, wezwawszy do siebie prefekta Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych, nie wspominał jednak nic o budynku przy Sloane Avenue 60 w Londynie, który kosztował Watykan 350 mln euro. A Becciu miał jeszcze inne grzechy na sumieniu...

Lady Watykan i inne grzechy kardynała

Bezpośrednią przyczyną dymisji kard. Becciu miał być artykuł dotyczący malwersacji na rzecz jego rodziny, który ukazał się następnego dnia we włoskim tygodniku „L'Espresso”. Franciszek ubiegł media i osobiście załatwił sprawę. Według „L'Espresso” Becciu wykorzystał część pieniędzy pochodzących ze świętopietrza oraz podatków, które Włosi dobrowolnie przekazują na Kościół, przekierowując je do spółdzielni lub firm należących do jego trzech braci bądź przez nich

zarządzanych. Jeszcze w roli substytutu Becciu, pochodzący z Sardynii, dwukrotnie wystąpił do Sekretariatu Stanu Stolicy Apostolskiej i uzyskał dofinansowanie w wysokości 600 tys. euro dla Caritasu w Ozieri, przy którym działała spółdzielnia brata. Kiedy Becciu był jeszcze nuncjuszem w Angoli i na Kubie, zlecił drugiemu bratu, prowadzącemu we Włoszech stolarnię, modernizację kilku kościołów. Trzeciemu bratu pomógł w dystrybucji produktów

Oskarżonym zarzuca się korupcję, wymuszenia, malwersacje, oszustwa, pranie brudnych pieniędzy, fałszerstwa, defraudacje.

i piwa firmy, której ten był większościowym udziałowcem, na zamówienia odpowiednio adresowane przez organy kościelne. Wygląda również na to, że dopomógł siostrzenicy w zakupie mieszkania w Rzymie.

Na konferencji prasowej Becciu bronił się przed zarzutami i zagroził, że pozwie tygodnik o zniesławienie. Był też pewny, że wszystkie pomówienia zostaną wyjaśnione i papież przywróci go do łask.

Jednak wkrótce wyszła na jaw kolejna afery z byłym kardynałem w tle. 13 października 2020 r. włoska Gwardia Finansowa, wykonując międzynarodowy nakaz Interpolu, aresztowała w Mediolanie 39-letnią menedżerkę z Sardynii. Cecilia Marogna, która zadeklarowała się jako ekspert od stosunków międzynarodowych i analityk wywiadu, rzekomo otrzymała pół miliona euro z Sekretariatu Stanu, które to pieniądze miały być przeznaczone na tajne operacje związane z porwaniami duchownych w Afryce i Azji. Kasa przeszła przez jej spółkę Logisic Humanitarne Dejavnosti założoną w Lublanie, nie pozostawiając jednak śladu. Za część pieniędzy kobieta nabyła luksusowe dobra, np. markowe torebki i buty, akcesoria, wyposażenie. Zdaniem watykańskich śledczych pieniądze przepływające przez jej konto musiały mieć inne przeznaczenie, misje humanitarne, dyplomacja alternatywna,

udaremnienie ataków terrorystycznych – wszystko to było wyssane z palca.

Becciu poznał menedżerkę z rodzinnej Sardynii w 2015 r., gdy był substytutem w Sekretariacie Stanu. Tak „narodziła się relacja pełna szacunku, która zaowocowała współpracą operacyjną”. Niektórzy spekulowali, że pełna uroku Cecilia była kochanką wpływowego prałata i przynajmniej dwie noce spędziła w jego apartamencie w Watykanie.

Historia 39-latkę z Cagliari przypomina losy innej kobiety, Franceski Immacolaty Chaouqui, która również zasiadła na watykańskiej ławie oskarżonych, w procesie Vatileaks 2, który zakończył się 7 lipca 2016 r. Wraz z nią byli wtedy sądzeni prałat Lucio Ángel Vallejo Balda, jego współpracownik Nicola Maio oraz dziennikarze Gianluigi Nuzzi i Emilio Fittipaldi.

Chaouqui chwaliła się znajomością z Luigim Bisignanim – włoskim aferzystą, nazywanym „menedżerem ukrytej władzy”. Marogna zaś przyznała się do znajomości z Flaviem Carbonim, słynnym aferzystą zamieszkanym w zabójstwo „bankiera Boga” Roberta Calviego, powieszzonego w 1982 r. pod mostem Blackfriars w Londynie, w krach Banku Ambrosiano i zawsze podejrzewanego o konszachty z mafią oraz ukrytą lożą masońską P2. Przechwałki „damy kardynała”? To również wyjaśni proces, który właśnie zaczyna się w Watykanie...

Nieustające pasmo afer wybuchających od lat 80. XX w. skłania do stwierdzenia, że w Watykanie wszystko pozostaje bez zmian. Czy Franciszkowi rzeczywiście uda się doprowadzić do końca reformy finansowe i gospodarcze, które rozpoczął już Benedykt XVI, a które mają uczynić z najmniejszego państwa świata „szklany dom”? Czy Bergoglio wypędzi wreszcie przekupniów ze świątyni, wypłeni korupcję i położy kres malwersacjom? Czas pokaże... Papież jezuita na razie podąża niezmierznie do celu.

Agnieszka Zakrzewicz

Katarzyna Mierzejewska

Premier Hiszpanii Pedro Sánchez szumnie zapowiada „nowe otwarcie” w napiętych relacjach między rządem centralnym a Katalonią. Przejawem starań o pojednanie ma być ułaskawienie dziewięciu aktywistów i polityków odsiadujących karę za przeprowadzenie referendum niepodległościowego w 2017 r. Choć wielu Katalończyków decyzję o ułaskawieniu popiera, nie wierzą oni w szczere intencje Sáncheza. Z drugiej strony ruch separatystyczny przeżywa kryzys i coraz mniej Katalończyków czuje się reprezentowanych przez proniepodległościowych polityków.

Katalończycy, kochamy was

Teatr Liceu znajduje się przy La Rambla, jednej z najbardziej znanych ulic w Barcelonie. 21 czerwca teren wokół budynku zajęli jednak nie turyści, lecz demonstranci z flagami Katalonii. Zebrani śpiewali pieśń „Els Segadors”, uznaną za kataloński hymn, i buczeli, gdy do teatru przybywali kolejni goście.

Powodem poruszenia była konferencja, którą zorganizował tam Pedro Sánchez pod hasłem „Reencuentro: un proyecto de futuro para toda España” (Kongres: projekt przyszłości całej Hiszpanii). Podczas

Podczas gdy szef rządu centralnego roztaczał wizję nowego otwarcia, premiera Katalonii nie było nawet w Barcelonie.

zjazdu premier ogłosił ułaskawienie dziewięciu liderów ruchu separatystycznego, odpowiedzialnych za zorganizowanie referendum niepodległościowego w 2017 r. Decyzja ta jest obwarowana pewnymi warunkami: działacze nie będą mogli sprawować funkcji publicznych, a w razie popełnienia „kolejnego poważnego przestępstwa” ułaskawienie przestanie obowiązywać.

Sánchez wygłosił płomienne przemówienie, podkreślając, że pojednanie regionu ze stolicą leży w najlepszym interesie całego kraju. I właśnie ułaskawienie ma być dowodem prawdziwości intencji władz centralnych.

– Aby osiągnąć porozumienie, ktoś musi zrobić pierwszy krok.

Kręte losy ruchu niepodległościowego w Katalonii

Coraz częściej młodzi Katalończycy oczekują nie karmienia narodowych ambicji, ale poprawy warunków życia

Hiszpański rząd robi pierwszy krok teraz – powiedział premier podczas kongresu w stolicy Katalonii, w którym wzięło udział ok. 300 osób, głównie katalońskich działaczy, prawników, aktywistów, byłych polityków. Dodał, że ta decyzja podyktowana jest potrzebą przywrócenia pokoju, zgodnego współistnienia Katalonii w ramach Królestwa Hiszpanii. Premier zaznaczył, że od ułaskawionych polityków nie wymagano zmiany poglądów: – W rzeczywistości nie zostali oni ukarani za swoje idee, ale raczej za działania przeciwko legalnym, demokratycznym instytucjom.

Sánchez zakończył przemówienie wypowiedzianymi w języku katalońskim słowami: – Katalonio, Katalończycy, kochamy was.

Wystąpienie to wywołało skrajne komentarze. Jednak trudno mówić o dużym zaskoczeniu. Dyskusja o ewentualnym akcie łaski przebiła się do debaty publicznej już we wrześniu 2020 r. Wtedy ekipa Sáncheza badała grunt i nastroje społeczne, które – delikatnie mówiąc – były dość nieprzychylnie. Temat częściowej amnestii uciął aż do maja, kiedy to Sánchez ogłosił prosto z Brukseli, że rząd poważnie rozważa ułaskawienie działaczy zamiast prowadzenia „polityki zemsty”. – To była starannie przemyślana i skalkulowana decyzja – mówi Cecilia Guardati, hiszpańska dziennikarka mieszkająca w Barcelonie. Dodaje, że Sánchez wybrał koncyliacyjny ton, jego apel o dialog brzmiał autentycznie.

Premier jasno skrytykował agresywną wobec katalońskiej tożsamości narodowej politykę poprzednika, Mariana Rajoya.

Sánchez w ogniu krytyki

Ułaskawienie jest uważane za jedno z najbardziej ryzykownych posunięć premiera od początku jego rządów. – Taka decyzja daje nowe paliwo zjawiskom zagrażającym integralności Hiszpanii! – grzmiał lider konserwatywnej Partii Ludowej Pablo Casado, który uważa nawet, że Sánchez powinien podać się do dymisji, bo „oszukał Hiszpanów”. Ruch ten skrytykował również Alfonso Guerra, były wiceszef socjalistycznego rządu Felipe Gonzáleza z lat 1982-1991, mówiąc o przyzwoleniu na wewnętrzną destabilizację. Cecilia Guardati zwraca uwagę na czas ogłoszenia decyzji. – To trudny moment dla Hiszpanii: kryzys gospodarczy, przeciągająca się pandemia, ostra krytyka rządu ze strony opozycji – wyjaśnia. Uważa też, że krok w stronę pojednania będzie dobrą podstawą, by zyskać lepszą pozycję negocjacyjną.

Wystąpienie Sáncheza zostało całkowicie zignorowane przez przedstawicieli regionalnych władz. Podczas gdy szef rządu centralnego roztaczał wizję nowego otwarcia, premiera Katalonii nie było nawet w Barcelonie. Zresztą dla polityków z regionu obecność na sali oznaczała gniew części elektoratu. Przed teatrem zebrało się ok. 500 osób, głównie związanych z najbardziej radykalnym odłamek ruchu niepodległościowego, który nie ma zamiaru przystać na nic poza pełną amnestią dla więźniów ▶

► politycznych (nie tylko warunkowym ułaskawieniem) oraz zielonym światłem dla procesu secesji.

Postanowienie o ułaskawieniu zostało opublikowane 23 czerwca w Oficjalnym Biuletynie Państwowym z podpisami króla Hiszpanii Filipa VI i ministra sprawiedliwości Juana Carlosa Campa. Ułaskawieni zostali: Oriol Junqueras, lider Republikańskiej Lewicy Katalonii (ERC), w czasie próby secesji wicepremier regionu; byli ministrowie regionalni Raül Romeva, Jordi Turull, Josep

za niepodległością, jednakże przy stosunkowo niskiej frekwencji, na poziomie 43%.

Ułaskawienie to za mało

Ostatnie dane, które zebrał najważniejszy dziennik w regionie, „La Vanguardia”, wskazują wiele zmiennych mogących wpłynąć na przebieg *el proceso*. Jak wynika z sondażu z początku lipca, 3 mln Katalończyków popiera decyzję Sáncheza o ułaskawieniu, a ok. 1,8 mln

z miasteczka Gavà pod Barceloną, który ruch Sáncheza wprost nazywa „chłodną, polityczną kalkulacją”. Marta, artystka z Barcelony, nie wierzy, że po brutalnych pacyfikacjach protestów, rosnącej cenzurze i ignorowaniu wyboru ludzi słowa premiera o wzajemnym szacunku i harmonijnym współistnieniu faktycznie są podyktowane uczciwymi intencjami.

Zdaniem Cecílii Guardati ułaskawienie to dopiero pierwszy krok, aby uspokoić napięte nastroje w Katalonii. – Jeżeli rząd nie przedstawi atrakcyjnej oferty, odpowiadającej na postulaty Katalończyków, konflikt ponownie się zaogni, co będzie paliwem dla skrajnej prawicy – twierdzi dziennikarka.

Europa napomina

Decyzja o ułaskawieniu nie uchroniła władz w Madrycie przed międzynarodową reprimendą. Dokładnie tego samego dnia, 21 czerwca, Rada Europy przyjęła rezolucję na podstawie bardzo krytycznego raportu dotyczącego więźniów politycznych w Hiszpanii. Rezolucja ta, zatytułowana „Czy politycy powinni być ścigani za oświadczenia wygłaszane w ramach pełnienia mandatu?”, została przyjęta po burzliwej i długiej debacie, podczas której hiszpańscy deputowani starali się, jak mogli, osłabić krytyczny wydźwięk komunikatu. Wszystkie ich poprawki zostały jednak po kolei odrzucone.

Rezolucja wzywa rząd w Madrycie m.in. do uwolnienia więzionych liderów katalońskiego ruchu niepodległościowego, zakończenia

Na europejskim forum w sprawie więźniów politycznych Hiszpania jest stawiana w jednym rzędzie z Turcją.

Rull, Joaquim Forn i Dolors Bassa; była przewodnicząca parlamentu Katalonii Carme Forcadell oraz dwóch aktywistów, Jordi Sánchez i Jordi Cuixart, Zwolnieni, opuszczając więzienie, pokazali transparent „Wolność dla Katalonii”, w języku angielskim, by zwiększyć zasięg swojego przekazu. – Będziemy walczyć z większą siłą niż kiedykolwiek, by ludzie, którzy przebywają na wygnaniu, mogli powrócić – zapowiedziała Forcadell, podkreślając, że aby doprowadzić do „wielkiego zwycięstwa”, wszystkie wysiłki powinny być skupione na ostatecznym wcieleniu w życie projektu niepodległościowego.

Doprowadzenie do referendum niepodległościowego to część *el proceso soberanista de Cataluña* (procesu suwerennościowego Katalonii), nazywanego po prostu *el proceso*. Ów proces to zbiór wydarzeń społeczno-politycznych rozgrywających się w Katalonii od 2012 r., mających spowodować oddzielenie się regionu od Hiszpanii i uzyskanie prawa do samostanowienia. Czasy największej mobilizacji przypadły na rządy Mariany Rajoya. W 2012 r., w środku kryzysu gospodarczego, ówczesny premier Katalonii Artur Mas chciał negocjować z Rajoyem lepsze warunki finansowego wsparcia dla regionu. Kiedy Rajoy odmówił, Mas zorganizował przedterminowe wybory, których motywem przewodnim stała się niepodległość Katalonii. W tamtym okresie tendencje separatystyczne nasiliły się, czego efektem były dwa referenda – w 2014 i 2017 r. W tym ostatnim 92% głosujących opowiedziało się

zdecydowanie się jej sprzeciwia, zwykle zwracając uwagę na brak pełnej amnestii, w tym dla aktywistów zmuszonych do ukrywania się za granicą, oraz na obwarowanie ułaskawienia wieloma warunkami. Nie wszyscy zwolennicy niepodległości popierają akt łaski, podobnie jak nie wszyscy przeciwnicy secesji są w kontrze. Ponadto poparcie dla ułaskawienia wcale nie łączy się z poparciem dla samego premiera. Wielu Katalończyków sceptycznie podchodzi do tego typu gestów pojednania, widząc w nich drugie dno. – Ułaskawienie to zaledwie mały gest. W rzeczywistości rząd centralny odebrał ludziom wolność słowa na wszystkich poziomach, przedstawiciele legalnego rządu są w więzieniu lub na wygnaniu, wielu mniej popularnych działaczy jest skazywanych za poglądy. Madryt nie uszanował decyzji Katalończyków

Życie w Barcelonie ciągle drożeje, bo ceny są dyktowane pod bogatych turystów.

i tego nie zmieniają te deklaracje – tłumaczyła w debacie francuskiego radia France 24 Ana María Surra Spadea, polityczka Republikańskiej Lewicy Katalonii (ERC).

Xavi, student ekonomii spod Barcelony, z rezerwą odnosi się do decyzji premiera. – Sánchez stoi na czele mniejszościowego rządu i obawia się kolejnych wyborów. Myśli, że tą decyzją zdobędzie poparcie niepodległościowych polityków, tak by zabezpieczyć sobie reelekcję – ocenia. Podobnie myśli 28-lletni David

prześladowania polityków przebywających na uchodźstwie (w tym wycofania wniosków o ekstradycję), zrewidowania przepisów karnych dotyczących buntu politycznego. Rada Europy zaapelowała też, by Madryt nie wymuszał na katalońskich politykach wyparcia się ich wartości i poglądów proniepodległościowych. Wizerunkowo to dla Hiszpanii duży problem, tym bardziej że na europejskim forum w sprawie więźniów politycznych jest stawiana w jednym rzędzie z Turcją.



Zwolnieni aktywiści, opuszczając więzienie, nieśli transparent „Wolność dla Katalonii”.

W dodatku kolejne rewelacje na temat *el proceso* podają w wątpliwość szumne deklaracje Sáncheza o szukaniu narodowego pojednania. Zaledwie kilka dni po ogłoszeniu decyzji o ułaskawieniach hiszpański Trybunał Obrachunkowy zażądał 5,4 mln euro od 34 Katalończyków związanych z ruchem separatystycznym za „niewłaściwe wykorzystanie funduszy publicznych” w latach 2011-2017, w tym od premiera Katalonii z czasów zorganizowania referendum, Carlesa Puigdemonta, czy od ówczesnego wicepremiera, Oriola Junquerasa.

El proceso słabnie

Kwestia niepodległości mocno dzieli Katalończyków. Co prawda, sondaż z początku tego roku dla „La Vanguardii” wskazuje tylko minimalny spadek poparcia dla oddzielenia się od Hiszpanii (43% w styczniu w porównaniu do 45% we wrześniu 2020 r.), ale według analityków to sygnał przyszłych problemów ruchu niepodległościowego. Katalończycy robią się zmęczeni przepychankami między partiami i coraz częściej zdają się wątpić w sukces *el proceso*. Równolegle wzrasta liczba osób, które niepodległości nie chcą (49% w styczniu w porównaniu do 47% na

jesieni). Jednocześnie, co ciekawe, lutowe wybory regionalne wzmocniły pozycję katalońskich partii prounięgodnościowych. Po raz pierwszy zdobyły one większość w parlamencie (51% wobec 47,5% w 2017 r.). Po raz pierwszy też do parlamentu dostała się skrajnie prawicowa, zbijająca kapitał polityczny na nagonce na uchodźców partia Vox. Cecilia Guardati uważa, że katalizatorem wzrostu poparcia dla skrajnej prawicy była ostra polityka Rajoya i nawet ci, którzy separatystów nie popierają, krytycznie odnoszą się do działań byłego premiera w Katalonii.

Mieszane uczucia ma wiele Katalończyków. Dziennikarka twierdzi, że ruch niepodległościowy, choć jest uzasadnioną propozycją polityczną partii nacjonalistycznych, nie odpowiada na wyzwania stojące obecnie przed Katalonią. David, choć popiera niepodległość i chodzi na demonstracje, wie, że ekonomicznie odrywanie się od Madrytu byłoby strzałem w stopę. – Katalonię czekałaby izolacja międzynarodowa, musielibyśmy mieć nową walutę, byłibyśmy poza Unią. Bruksela wspiera Madryt, więc zostalibyśmy sami. A sytuacja ekonomiczna nie jest za ciekawa. Pensja z pracy na cały etat nie wystarcza na wynajęcie mieszkania, życie w Barcelonie ciągle drożeje, bo

ceny dyktowane są pod bogatych turystów, mamy zapaść ekonomiczną. Bałbym się, co będzie dalej – wymienia. Zaznacza jednak, że zwyczajnie chciałby, aby decyzja Katalończyków podjęta przy urnach wyborczych była respektowana. Inna sprawa, czy faktycznie kolejne referendum przyniosłoby taki wynik, jaki wyobrażają sobie Puigdemont i Junqueras. Na przykład Marta podkreśla, że bez wsparcia rodziców nie byłaby w stanie wyprowadzić się z domu. Nie ufa też katalońskim politykom: – To wszystko jeden układ, myślą nie o ludziach, tylko o sobie.

Katalońscy liderzy ruchu niepodległościowego byli i są gotowi stawić czoła pałkom, więzieniu i wygnaniu, wierząc, że budują lepszy kraj dla swoich wnuków. Problem w tym, że wnuki zdają się coraz mniej zainteresowane tą walką. Jeszcze w 2014 r. poparcie dla ruchu separatystycznego w przedziale wiekowym 18-24 lata wynosiło 60%. W 2021 r. spadło do zaledwie 39%. Wydaje się, że coraz częściej młodzi Katalończycy oczekują nie karmienia narodowych ambicji, ale zwykłej poprawy sytuacji ekonomicznej i warunków życia, niższych czynszów oraz pracy, która pozwoli na coś więcej niż zaspokojenie podstawowych potrzeb.

Katarzyna Mierzejewska

Zbrodnia i kara współcześnie

Dziesięć lat temu Norweg Anders Breivik zabił 77 osób i ranił 319

Rozmawia Anna Radziukiewicz

Zbrodnia Andersa Behringa Breivika (ABB), który 22 lipca 2011 r. zabił 77 swoich rodaków, niemal wszystkich młodych, głównie zgromadzonych na obozie lewicowej młodzieżówki, to temat kryminalny?

– To przede wszystkim temat, który powinien zostać poddany analizie socjologicznej, psychologicznej i pedagogicznej.

Dokonała tego pani w 300-stronicowej książce „Anders Breivik. Między dumą a wstydem”. Dlaczego chciała pani się zajmować zbrodniarzem?

– Dlatego, że jest jednym z nas. *One of us* – takie sformułowanie było często powtarzane. To nie jest muzułmański terrorysta, którego traktujemy jako obcego. Musimy więc przełamać społeczny wstyd i odruch oburzenia, odwrócenia się od zbrodni, by zrozumieć, jakie warunki rodzą takich zbrodniarzy, działających na zimno, zgodnie z planem. Breivik stał się dla mnie kluczem, za pomocą którego można otwierać naszą skomplikowaną rzeczywistość. Jest swoistym wołaniem o przebudzenie. **Mamy „klony” Breivika?**

– Mamy. Ci ludzie też zabijają, np. 13 stycznia 2019 r. prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Takimi „klonami” zagrożona jest Ameryka, gdzie szkoły z powodu zamachów, dokonywanych przez *one of us*, stały się pilnie strzeżonymi przez policjantów twierdzami. 15 lutego 2018 r. 19-letni Nikolas Cruz, wychowywany bez ojca i matki, zabił w liceum na Florydzie 17 rówieśników i kolegów, kilkunastu ranił. I był to 18. przypadek użycia broni w szkole w tym samym roku szkolnym w USA. W piątą rocznicę zbrodni Breivika doszło do strzelaniny w galerii handlowej



PROF. ELŻBIETA CZYKWIN

– pedagog i socjolog

w Monachium. Zginęło 10 osób, 37 zostało rannych. Sprawca zbrodni? David Ali Sonboly, który fascynował się zbrodnią dokonaną w Norwegii i strzelaninami w USA. W Nowej Zelandii w Christchurch 15 marca 2019 r. 28-letni Brenton Tarrant, który na lufie karabinu miał wygrawerowany napis „Breivik” oraz „Maszerujemy naprzód w kierunku nowego społeczeństwa”, czyli słowa manifestu ABB, zabił w meczetach 51 osób, a 49 ranił. Do „idola” z Norwegii wyraźnie odwoływali się zabójcy z Po- way w Kalifornii, z El Paso w Teksasie (zginęły 22 osoby) i ci, którym zbrodnię w porę udaremniono.

A jeśli owe „klony” zechcą zabijać np. lewaków, komuchów, kapitalistów, globalistów, liberałów, Żydów, „Arabusów”, „tżę-elity”?

– A jeśli społeczeństwo będzie od nich odwracać wzrok, nie analizując, w jaki sposób rodzą się owe „klony”? **Wydarzenia owego fatalnego piątku 22 lipca 2011 r. i miesiące je poprzedzające ujmujecie pani w formie dobrze napisanego reportażu, przełożonego plastrami erudycji.**



Na wyspie Utøya Breivik przez półtorej godziny strzelał do młodych ludzi. Aż 53 ofiary nie skończyły 20 lat.

– Nie chciałam czytelnika zbyttno przytłaczać warsztatem naukowym. Chciałam zachęcić go do analizy współczesności.

Proszę przypomnieć wydarzenie, które doczekało się swojego skrótu 22/7, czyli 22 lipca.

– Pierwszy wybuch nastąpił w centrum Oslo w piątek o godz. 15.22 obok budynku rządowego. 32-letni Breivik zabił wtedy siedem osób, ósma zmarła w szpitalu, 209 ranił, w tym 12 poważnie. Potem przebrany w mundur policjanta przedostał się na wyspę Utøya w pobliżu Oslo, małą, 500 na 350 m, gdzie młodzieżówka Norweskiej Partii Pracy miała obóz. Tam przez półtorej godziny strzelał do młodych ludzi, zabijając 68 osób, a kolejna zmarła w szpitalu. Spośród 77 ofiar aż 53 nie skończyły 20 lat. 319 osób zostało rannych. Około 650 uczestników obozu doznało szoku. Po zamachu ABB oddał się dobrowolnie w ręce policji, ale nie poczuwał się do winy.

Został skazany.

– Tak, jako największy zbrodniarz w Norwegii od zakończenia II wojny



światowej, uznany za poczytalnego, skazany na 21 lat więzienia.

Bardzo mało.

– W dodatku został umieszczony w „warunkach sanatoryjnych”, jak określano, czyli w trzypokojowej celi, w której mógł gotować, miał w niej komputer, bieżnię. Taka galanteria w traktowaniu zbrodniarza budziła u wielu niesmak i zdziwienie. Stworzono mu o wiele lepsze warunki niż ludziom w przytułkach.

Co przez to chciano powiedzieć?

– Nie ma zła. Zdarzyło się. Ten człowiek, poprzez stworzenie mu godnych warunków, poprawi się. Nie zastosowano przemocy, według zasady „przemoc rodzi przemoc”. Kierowano się zasadą, „im cięższa zbrodnia, tym bardziej humanitarne traktowanie”. Powiedziano: „Prawa człowieka ponad wszystko, nawet wobec takiego zbrodniarza”.

Może dlatego, że Norwegia, podobnie jak Szwecja, wyrzuciła ze słownika takie pojęcia jak diabeł i piekło, a to, co się stało na wyspie Utoya, było jak z piekła rodem.

– Ostatnią osobą mówiącą w Norwegii o diable i piekle był w latach 50. XX w. znany kaznodzieja Ole Hallesby. Potem siły modernizacji zajęły się eliminacją z kultury nauk o diable i piekle.

W Szwecji już w 1909 r. kilkusetosobowe zgromadzenie obywateli zwróciło się do władz z wnioskiem o usunięcie z edukacji wzmianek o diable, piekle, wiecznym ogniu i wiecznym potępieniu jako niezgodnych z rozumem i zmysłem moralnym współczesnego człowieka. Zasada „piekła nie ma” wpisuje się w cały nurt psychologii humanistycznej, wywodzący się z psychoanalizy, uważający człowieka za

Dla Breivika treningiem przed zabijaniem w rzeczywistości były brutalne gry komputerowe, w których strzela się do ludzi.

zasadniczo dobrego i dążącego do dobra. To m.in. Abraham Maslow, Karen Horney, Carl Rogers. Jest to zaprzeczenie chrześcijańskiej wizji człowieka niosącego od początku skutki grzechu pierworodnego, a potem ciągle uwikłanego w grzech.

W Szwecji, ale także w Norwegii, uwierzono w nierozzerwalny łańcuch opieki, demokracji i bezpieczeństwa, chroniący przed przemocą?

– Tak. Ale ten łańcuch pękł 22/7.

W jakim więc środowisku mógł wyrosnąć ktoś taki jak Breivik?

– Dla Breivika treningiem przed zabijaniem w rzeczywistości były

brutalne gry komputerowe, w których strzela się do ludzi. ABB chętnie je oglądał, co mogło obniżyć jego próg oporu przed zabijaniem. Media też (po 22/7) były, że tak to określę, po jego stronie. Kreowały go według zasady „to, czego nie ma w mediach, nie istnieje”. Breivik kochał media i media go pokochały. Wycisnęły z tego wydarzenia ostatnią kroplę sensacji. Na długi czas stał się postacią numer jeden mediów, i to w skali międzynarodowej. Breivik zapracował na „sławę”. On ją wykreował. Nawet przygotował swoje wystudiowane zdjęcie, które przekazał po dokonaniu zbrodni. Nie chciał być fotografowany zmęczony, spocony, zdenerwowany. Zbrodnia, terrorizm, czy w ogóle akt ekstremalny, to dziś najkrótsza droga do stania się „gwiazdą” mediów.

Media są nasycone aktami przemocy. Oto fragment wspólnego raportu amerykańskich towarzystw: Medycznego, Psychologicznego, Pediatricznego i Akademii Psychiatrii Dziecięcej i Rozwojowej. „Ponad tysiąc opracowań naukowych wskazuje wyraźny związek między przemocą w mediach a agresywnym zachowaniem niektórych dzieci. (...) Oglądanie przemocy, podanej w formie rozrywki, może prowadzić do wzrostu agresywnych postaw i zachowań, zwłaszcza w przypadku dzieci. Co więcej, długotrwałe oglądanie przemocy w mediach może prowadzić do emocjonalnego znieczulenia na przemoc w życiu codziennym”.

Pisze pani również o „chorobach wieku”.

– Stawiam pewną diagnozę współczesnych zachowań społecznych czy – powiedzmy – właśnie „chorób wieku”. Coraz więcej młodych ludzi ma problemy ze sobą i swoim ciałem. Rośnie liczba młodych mężczyzn żyjących w wymuszonym celibacie i sfrustrowanych z tego powodu. Do nich należał Breivik. Coraz więcej młodych chłopców nie ma wzorców osobowych, przede wszystkim wzorca ojca – Breivik wychowywany był przez samotną matkę, która swoje dzieci nazywała „katastrofami”, sama

► cierpiała na chorobę afektywną dwubiegunową. Urodził się w typowej rodzinie patchworkowej – ojciec miał za sobą jedno nieudane małżeństwo, potem drugie, żenił się jeszcze dwukrotnie. Matka miała też nieślubną córkę – obie były dla ABB źródłem wstydu.

Wobec Breivika nie zastosowano przemocy, bo przemoc rodzi przemoc. Prawa człowieka ponad wszystko, nawet wobec takiego zbrodniarza.

Patchworkowa rodzina Breivika to nie wyjątek.

– Tak. Liczba rozwodów np. w USA sięga 50%, w Czechach – 60%. W Polsce także rośnie, szczególnie w dużych miastach. A jeśli nawet w rodzinie jest ojciec, to zwykle skoncentrowany na pracy zawodowej albo będący na emigracji zarobkowej. Chłopcy wyrastają otoczeni kobietami – mama, niania, babcia, nauczycielka. Nawet kontakty z wujkami i kolegami z podwórka zostały ukrócone, bo wyparł je świat wirtualny, a domy stały się zamknięte. Już nie można do kogoś wpaść tak sobie, bez umówienia się, najlepiej kilka dni albo i tygodni wcześniej. Młodzi chłopcy wpadają w izolację. Świat wirtualny tylko ją pogłębia, choć to oni w nim szukają ucieczki.

Ale po co w tej sytuacji strzelać?

– Tacy młodzi ludzie zazwyczaj myślą: „Wreszcie stanę się rozpoznawalny! Wyjdę z izolacji. Ktoś mnie zauważy. Pewnie dlatego w USA raz na miesiąc dochodzi do strzelaniny. Strzelają najczęściej młodzi, wyizolowani mężczyźni.

Ależ to jak u Dostojewskiego! Jego samotni bohaterowie, tacy jak Iwan Karamazow, Smierdiakow, Swidrygajłow, Stawrogin, mają problem ze sobą i z prawem, wymyślają jakieś teorie, że im wszystko wolno. I na odwrót – jego pozytywni bohaterowie, Alosza Karamazow czy Razumichin, są zawsze między ludźmi i są po dziecięcemu otwarci i ufni.

– Wyizolowanie, samotność może rodzić upiory.

Pisze pani też o „wiecznych chłopcach”.

– To poważny problem. Wśród 30-, 40-latków mamy ich nadreprezentację. **Może to wina kobiet?**

– Jeśli winą nazwiemy proces wyzwalania się kobiet – silnych, odważnych, przedsiębiorczych, decydujących o sobie, drażniących takich „wiecznych chłopców”, którzy dla nich nie są partnerami. Kobiety bowiem dobierają partnera życiowego o statusie wyższym albo równym. To

wywołuje kryzys męskości, męskie problemy z ciałem. Ukuto nawet nowe pojęcie, incele, czyli żyjący w wymuszonym celibacie, którzy sami siebie uważają za „przegrywów”.

Takim incelem był Brevik?

– Klasycznym. On nawet w mowie obrończej w norweskim sądzie najwięcej miejsca poświęcił „zagrożącej kulturze europejskiej feminizacji”, „psychologicznej wojnie przeciwko europejskiemu mężczyźnie”, więcej niż emigrantom czy regułom szariatu. Zresztą swój manifest antyislamski i antymarksistowski spleta ściśle z walką płci.

Wirus przemocy rozplenił się szczególnie w mediach i masowej rozrywce.

Ale jakie przeżożenie ma incel na życie społeczne?

– Gdyby prześledzić masowe morderstwa popełnione w USA i krajach Wspólnoty Brytyjskiej w XXI w., udział w nich inceli jako sprawców jest znaczący i stale rośnie.

Analizuje też pani problem narcyzmu w kontekście wydarzeń na wyspie Utøya.

– Narcyzm ma dzisiaj wyśmienite warunki do rozwoju. Jesteśmy „społeczeństwem spektaklu”, jak to ujął amerykański socjolog Christopher Lasch. A to społeczeństwo pragnie zarejestrować swoje życie publicznie, dlatego tak popularne stało się parcie na szkło, pragnienie zaistnienia w telewizji bądź w ogóle w mediach. I dotyczy ono przede wszystkim seryjnych morderców i dżihadystów, śniących o sławie. Ciągłe chodzi o ziemską sławę.

A tożsamości niespójne?

– Chorobą wieku jest również generowanie tożsamości niespójnych, pokawałkowanych, fragmentarycznych, inaczej płynnych – każdy bowiem może pod wpływem mediów elektronicznych „przymierzać sobie nowe tożsamości”. Mówiąc prościej, mamy ludzi, którzy nie wiedzą, kim są, i próbują być ciągle kimś innym. A to jest dla nich źródłem udręki i cierpienia.

Czy możemy dziś mówić o wirusie przemocy?

– Oczywiście. Wirus przemocy rozplenił się szczególnie w mediach i rozrywce masowej. W ciągu ostatnich 40 lat liczba więźniów w USA wzrosła pięciokrotnie! A przecież podłożem przemocy nie jest bieda, np. kradzież jedzenia, by przeżyć. To jakby przeniesienie przemocy z rozrywki do rzeczywistości. Można już mówić o epidemii przemocy. Ale to nasza cywilizacja przygotowała do niej społeczeństwo, najpierw je znieczulając na zbrodnie przez gry komputerowe. Dodajmy do tego dzisiejsze produkcje filmowe, propagujące czarne charaktery, których publiczność nie odrzuca, a wręcz je adoruje.

Cierpienie ofiary i okrutne mordowanie stają się źródłem rozrywek na zasadzie „im straszniej, tym bardziej rozrywkowo”.

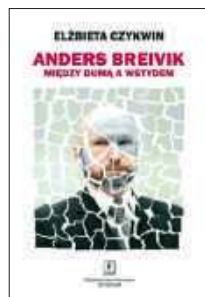
Publiczne kaźnie w średniowieczu także ścigały tłumy gapiów.

– Jednym słowem, jesteśmy na dobrej drodze, by usprawiedliwiać zabijanie bez powodu i celu albo w imię celu „wydumanego”, jak w przypadku Breivika.

Czy nie uważa pani, że z naszą pamięcią jest coś nie tak? Pamiętamy o zbrodniarzu z norweskiego „czarnego piątku”, ale nie o ofiarach.

– Taka jest niestety dynamika pamięci. Z upływem czasu zaciera się w świadomości społecznej wspomnienie o ofiarach, natomiast postać zabójcy trwa w centrum zbiorowej pamięci.

Anna Radziukiewicz



Elżbieta Czykwin, *Anders Breivik. Między dumą a wstydem*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2019

Jakub Dymek

Kosmiczny postęp pychy

Za lot Bezosa w kosmos zapłaciliśmy dosłownie wszyscy

Jeff Bezos, szef Amazona i najbogatszy człowiek na świecie, poleciał w kosmos. Albo, mówiąc precyzyjniej, wzniósł się ponad Ziemię, by musnąć przestrzeń kosmiczną i doświadczyć stanu nieważkości. Źródła różnią się co do kosztu tej zabawy. Jedne podają, że w kosmiczną firmę Blue Origin Bezos zainwestował już 5,5 mld dol., drugie – że prawie dwa razy tyle. Skoro jednak lot w przestrzeń i z powrotem zamknął się w 11 minutach, nietrudno policzyć, że realizacja dziecięcego marzenia Bezosa kosztowała przynajmniej 500 mln dol. za minutę.

Zwolennicy podróży Bezosa bronią przedsięwzięcia, powołując się na postęp i wolność. Argument o postępie mówi, że skoro państwa nie inwestują już w podbój kosmosu i technologie, to ktoś może (a wręcz powinien!) sprywatyzować tę dziedzinę badań. Dla dobra nauki, Zachodu, cywilizacji itd. Argument o wolności mówi zaś, że Bezos może robić z własnymi pieniędzmi, co chce. Obydwa są nieprawdziwe.

Co ciekawe, to nie żadni lewacy przypomnieli w tym kontekście najsurowszy marksistowski zarzut przeciwko tym argumentom, lecz sam Bezos. – Chciałbym podziękować wszystkim pracownikom Amazona i wszystkim klientom, ponieważ to wy, kochani, za to zapłaciliście – mówił miliarder na konferencji prasowej po zakończeniu lotu. I tak – jak słusznie naśmiewał się magazyn „The New Republic” – Bezos zrobił więcej dla przypomnienia Marksowskiej teorii wartości niż ktokolwiek w ciągu ostatnich trzech dekad. Ludzie pracują, produkcja czegoś pochtania zasoby, kapitalista zaś różnicę między tymi składowymi a ostateczną ceną zachowuje dla siebie. I albo inwestuje dalej, albo leci w kosmos. W rzeczy samej za lot Bezosa zapłacili pracownicy i klienci Amazona. A biorąc pod uwagę, że w państwach Zachodu – choć jeszcze nie w Polsce – klientami usług Amazona stało się już całe społeczeństwo, można bez wielkiej przesady powiedzieć: zapłaciliśmy za to wszyscy.

Jak przypomnieli na stronach magazynu „The Atlantic” Marina Koren, Bezos zarabia, gdy obywatele



Jeff Bezos poleciał w kosmos z bratem Markiem oraz 82-letnią Wally Funk i 18-letnim Oliverem Daemonem.

konsumują wiadomości, gdy jedzą, gdy kupują towary codziennego użytku, czytają książki czy przeglądają internet. Dlaczego? Bo jego imperium to już nie tylko cyfrowy market Amazon, ale i coraz obszerniejsza infrastruktura cyfrowo-medialna, z której korzystamy, nawet o tym nie wiedząc. Serwery i drony, urządzenia i magazyny, a także media, bo Bezos jest właścicielem „The Washington Post”. Kolejną dziedziną, w której po pandemii Amazon chce się stać dostawcą niezbędnych usług, ma być oczywiście ochrona zdrowia.

Od tego wszystkiego Amazon płaci nieproporcjonalnie niskie podatki. A pandemia była dla cyfrowych biznesów wyjątkowo dochodowym okresem. W Luksemburgu, gdzie mieści się europejska siedziba firmy Bezosa, Amazon zapłacił okrągłe zero podatku CIT za 2020 r., choć zanotował w krajach Unii Europejskiej rekordowe 44 mld euro przychodu. W USA zaczęto się to zmieniać, ale jeszcze w 2018 r. to amerykański podatek wręcz Amazonowi dopłacał w postaci ulg i zwrotów. I to mimo że majątek samego Bezosa wynosi według szacunków ponad 200 mld dol.

Gdy Bezos rozwiódł się z MacKenzie Scott, ta z miejsca dołączyła do grona najhojniejszych filantropów na świecie. Para była tak bogata, że Scott, oddając na cele charytatywne zaledwie ułamek tego, co przypało

jej po rozwodzie, mogła na działania filantropijne wydać więcej niż arabscy szejkwowie i Bill Gates. Media przypominają, że tyle, ile Bezos wydał na swoją kosmiczną przygodę – ponad 5 mld – jego ekszona miała przeznaczyć na walkę z COVID-19.

I tu wracamy do argumentu o rozwoju. To nie jest rozwój. Człowieka w kosmos wysyłał już 60 lat temu Związek Radziecki, mając do dyspozycji komputery o mocy dzisiejszych kalkulatorów. Postęp dotyczy tylko skali pychy i eskapizmu – jak bardzo można uciec od swoich ziemskich zobowiązań? Miliarderzy, gdy planecie zagraża zmiana klimatyczna i pandemia, są w stanie dosłownie wystrzelić się w kosmos.

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



Trudne życie szpiega

Tomasz Turowski wstąpił do zakonu jezuitów i piął się po szczeblach kariery, aż wylądował w Watykanie

Leszek Bugajski

Tomasz Turowski jest dzisiaj najstynnijszym polskim szpiegiem. Nie wiem, bo niby skąd miałbym wiedzieć, czy słusznie, ale taki jest fakt. Szpieg i sława – to niedobra para. Zdarza się, że szpiegdy stają się sławnymi osobami, ale z reguły jest to gorzka sława, bo przychodzi w chwili, gdy zostają zdemaskowani. I wówczas okrywają się raczej niesławą niż faktyczną sławą.

To zresztą sława, której prawdziwy szpieg chyba nie chce, nie ona bowiem jest celem jego pracy. Kiedy szpieg zostaje zdemaskowany, zaraz otacza go klimat moralnej dwuznaczności, bo przecież jego praca polega na oszukiwaniu jednych dla korzyści drugich, czasami



Będąc ambasadorem RP na Kubie, Tomasz Turowski spotykał się z Fidelem Castro, 2001 lub 2002 r.

naszego ukochanego papieża i przekazywał wiadomości na jego temat komuszej władzy w Polsce, twierdził, że rozpracowywał struktury państwa watykańskiego, a nie Kościoła katolickiego.

Nie ma powodu mu nie wierzyć, choć oczywiście zrozumiałe są wątpliwości tych, którzy zarzucali mu występowanie w roli zakonnika. No ale kamuflaż, jak dobrze wiadomo, jest jedną z metod szpiegowskiego działania. W jego przypadku było to o tyle skomplikowane, że on faktycznie wstąpił do zakonu jezuitów i piął się po szczeblach zakonnej kariery, aż wylądował w Watykanie, gdzie się dokształcał i pracował w tamtejszej stacji ra-

Tomasz Turowski jest dzisiaj najstynnijszym polskim szpiegiem.

– jak w przypadku płk. Ryszarda Kuklińskiego i innych, mniej znanych szpiegów działających w siłach zbrojnych – wiąże się ze złamaniem przysięgi, którą składali dobrowolnie. Kukliński akurat był w Polsce w latach 90. „noszony na rękach” i upamiętniany w rozmaity sposób, bo przecież szkodził złym Sowietom i działał dla dobrych Amerykanów. Ale pojawiły się również oceny wcale mu nieprzychylnie, opierające się na analizie sytuacji geopolitycznej i militarnej Polski z przełomu lat 70. i 80. zeszłego wieku. Inaczej za to był oceniany Marian Zacharski, który, jako

cywil, zdobył jakieś amerykańskie plany wojskowe i za poprzedniego ustroju był przedstawiany jako bohater – inny był wtedy kierunek działania i inna władza w Polsce niż za czasów Kuklińskiego. Los szpiega jest trudny do przewidzenia i pełen ryzyka.

Anatomia kreta

Przekonał się o tym Tomasz Turowski. Szczytem jego kariery była działalność w Watykanie. Nie słysząc o innym polskim szpiegu, któremu udałoby się ulokować tak blisko głowy innego państwa jak właśnie jemu. Od razu podkreślam: innego państwa, bo kiedy potem bronił się przed atakami, że szpiegował

diowej (z zakonu wystąpił tuż przed święceniami kapłańskimi, by nie naruszyć zasad).

Co więcej, w rozmowie rzece, którą przeprowadzili z nim dziennikarze „Wyborczej”, opowiadał, że przyczynił się do podniesienia poziomu bezpieczeństwa papieża, zresztą na polecenie przełożonych polskiego wywiadu, którzy obawiali się, że w przypadku ataku na Jana Pawła II będą pierwszymi podejrzanymi i zostaną napiętnowani przez cały świat. Mając więc swojego wykształconego człowieka w Watykanie, zlecili mu dyskretne zwrócenie uwagi odpowiednich watykańskich urzędników na niedostateczną ochronę papieża. Turowski twierdzi, że jego rady odniosły widoczny skutek, chociaż ostatecznie nie zapobiegły

Jako kleryk w zakonie jezuitów na audiencji prywatnej u papieża Jana Pawła II.

zamachowi. Można mu wierzyć, można nie wierzyć, ale jego opowieść jest logiczna i przekonująca.

Po transformacji ustrojowej i wynikających z niej dla ludzi takich jako on komplikacjach (weryfikacja, lustracja itp.) wszedł do polskich służb dyplomatycznych: pracował w Moskwie, był ambasadorem RP na Kubie, a później wrócił do Moskwy jako ambasador tytularny. Był współorganizatorem tragicznie zakończonej wizyty Lecha Kaczyńskiego w Smoleńsku i 10 kwietnia 2010 r. wraz z innymi osobami oczekiwał na lądowanie



w przygotowaniu wizyty prezydenta. Swoją drogą miał Turowski szczęście, albo raczej nieszczęście, być w ważnych dla najnowszej historii Polski miejscach i czasie – życia mu to w każdym razie nie ułatwiło, choć sprawiło, że stał się znaną osobą.

Skąd się wziął

Na łatwe życie chyba jednak nie liczył jako człowiek, który deklaruje się jako państwowiec. Bo kim jest państwowiec? Kimś, kto przedkłada dobro swojego państwa nad wszelkie interesy i korzyści – jak wyjaśnia słownik. Czyli kimś, kto działa dla dobra państwa bezinteresownie, bo państwo i jego istnienie są dla niego ważniejsze niż wszystkie inne formy „organizacji życia społecznego”, a więc także, albo i przede wszystkim, partie polityczne. To jest postawa heroiczna, jak każda bezinteresowność.

Taką postawę wyniósł Turowski z domu – tak się określał również jego ojciec. Rodzice przyszłego agenta walczyli w powstaniu warszawskim, a później osiedli w Zagłębiu

Kiedy Turowski zdecydował się na pracę w wywiadzie, nie decydował się na pracę dla tej czy innej siły politycznej, ale dla państwa, które musi przecież mieć wywiad.

prezydenckiego samolotu. To oczywiście pobudziło wyobraźnię tych, którzy wszędzie doszukują się spisków. Pojawiła się opinia, że Turowski musiał być zamieszany

w „zamach smoleński”, jakby czymś dziwnym było, że wysoki rangą dyplomata i doświadczony agent wywiadu, a na dodatek człowiek biegle mówiący po rosyjsku, uczestniczy



37 zł



e-book 19,99 zł

Walka wywiadów o zdobycie władzy nad światem

Tomasz Turowski
ZABIJ POŻYCZONYM MIECZEM
 Najnowsza seria powieści sensacyjnych!

**WOJNA SZPIEGÓW
 ROSJI, USA I CHIN**

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821, Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

► Dąbrowskim, pewnie dlatego, że chcieli spokojnie pracować bez indagacji bezpieki o przynależność do Armii Krajowej. W robotniczym środowisku małżeństwo adwokata i lekarki okulisty było wyjątkową rodziną. Co więcej, syna zachęcili do nauki języka rosyjskiego, co w pierwszej połowie lat 50. nie było czymś zwyczajnym. Pamiętam z tamtych czasów nalegania rodziców, by uczyć się języka wroga, ale niespełna dekadę po zakończeniu wojny raczej myślało się o niemieckim. W domu Tomasza Turowskiego widziano wroga z drugiej strony i w efekcie już od dziecka mówił biegle po rosyjsku. To taka ciekawostka o powstawaniu państwowca.

I w tym jest zawarta sugestia, że kiedy zdecydował się na pracę w wywiadzie, nie decydował się na pracę dla tej czy innej siły politycznej, ale dla państwa, które przecież musi mieć wywiad, bo bez tego trudno sobie wyobrazić jego istnienie. I ktoś musi szpiegować. Ale zanim do tego dojrzał, studiował rusycystykę w Krakowie i zgłębiał życie studenckie – zaczął od poezji, co zaowocowało wydanym tomikiem i związkami ze startującą wtedy grupą poetycką Teraz. Był uzdolniony literacko, ale widocznie spokojna refleksja nad kartką papieru mu nie wystarczyła. Potrzebował działania. Dlatego zapisał się „na szpiega”, a jest to zajęcie i ryzykowne, i na swój sposób wyrażanowane, wymagające szczególnych umiejętności. I został szpiegiem. Pamiętam, jak jego zdumieni krakowscy znajomi przekazywali sobie mało wiarygodną informację, że Tomek wstąpił do zakonu. A to był już początek jego pracy i wypełniania zadań, o których mało co wiadomo, aczkolwiek to, w jak ważnych dla Polski miejscach je wykonywał, świadczy o jakości owej pracy.

Zdrowy rozsądek

Zabawne jest w historii Turowskiego to, że w dorosłość wchodził jako młody, obiecujący poeta i filolog, a na emeryturze wrócił do



pisania i pokazał się jako zdolny autor prozy rozrywkowej. Takie emeryckie zajęcie to nie jest jakaś oryginalność, bo emerytowani szpiegdy z jego pokolenia też wzięli się do pisania – wiadomo, wspomnień wydawać nie mogą, więc zajęli się literaturą. Marian Zacharski wydał kilka prac historycznych, Vincent V. Severski (to pseudonim) prawie dziesięć powieści – najogólniej mówiąc – sensacyjnych i odniósł komercyjny sukces. Turowski podobnie – wydał już cztery powieści, a właśnie ukazuje się kolejna.

Książki Turowskiego opowiadają o międzynarodówce zła, ale też o agentach wywiadu i „nielegalach”, którzy ryzykują życiem, by to zło zniszczyć.

Nie są to typowe thrillery, bo autor zamiar ma bardziej ambitny – stara się pogodzić sensacyjne opowieści z wyjaśnianiem czytelnikowi mechanizmów międzynarodowej polityki, jej uwikłań i ciemnych stron. Zresztą co tu dużo opowiadać – wystarczy przeczytać ich tytuły: „Dżungla we krwi”, „Krwawiące serce Azji. Korzenie kalifatu”, „Moskwa nie boi się krwi. Szalone lata dwudziestych”, „Egzekucja. Odrąbać łeb Wielkiego Szatana”.

Dyplom ukończenia studiów filozoficznych ze specjalizacją w dziedzinie filozofii marksistowskiej na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie.

Wszystkie one opowiadają o ciemnych interesach, o międzynarodówce zła przenikającej nasz świat bez względu na dzielące go granice. Ale też o agentach wywiadu i „nielegalach” (szczególnie bliskich jego sercu, bo sam w takim charakterze pracował), którzy ryzykują życiem, poświęcają się, byle tylko to zło zniszczyć albo przynajmniej ograniczyć jego rozprzestrzenianie się. To oni tworzą oś dość idealistycznej międzynarodówki dobra.

I to jest obecne także w książce najnowszej, „Okno smoka”, ale przede wszystkim odnajdziemy w niej przeświadczenie, że największych zagrożeń, terroryzmu, wszelkiej maści fanatyzmu itd., nie da się zlikwidować bez współpracy mocarstw, choćby miały one odmienne plany. Turowski rozsądnie sugeruje, że w chwilach prawdziwego zagrożenia kalkulacje polityczne trzeba odłożyć na bok i przede wszystkim zadbać o stabilizację militarną świata. Kiedy na Dalekim Wschodzie dochodzi w jego powieści do groźnej intrygi i ataku na tajną bazę, mocarstwa odstępują od sporów i razem biorą się do roboty, ba, angażują nawet do współpracy emerytowanego agenta polskiego wywiadu, stałego

bohatera wcześniejszych powieści Turowskiego. Rusza skomplikowana intryga, która łączy dyskretnie działania wywiadowcze ze spektakularnymi akcjami zbrojnymi. I – co najważniejsze – prowadzi do tego, by w świecie (przynajmniej w tej jego wersji, którą opisuje powieść) została przywrócona chwiejna dominacja zdrowego rozsądku. To szlachetne przesłanie zawarte jest na dodatek w dobrze napisanej powieści.

Leszek Bugajski



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Szkolny prześladowca

Za sprawą doświadczeń szkolnych mam alergię na imię Przemysław, nic na to nie poradzę, jak kto chce we mnie obudzić demony paniczne i obrazy womitywne, wystarczy, że wypowie przy mnie „Szkoła, Przemysław”, nie musi dodawać nazwiska. Marna to pociecha, że ostatnio ten odruch stał się powszechny jak Polska długa i szeroka. Czarnek nie jest wart felietonu, ale zebrało mi się na wspominki.

Przemas, bo tak się kazał nazywać mój oprawca z podstawówki, był średnio wyrośniętym chłopcem z lekką nadwagą i ciężkimi skłonnościami przywódczymi. Lubili go wszyscy, czyli nikt, bo też nikt nie miał dość sił, żeby mu się sprzeciwić. Był wyszczekany, miał dość majątnych rodziców udzielających się w Komitecie Rodzicielskim, łatwo stał się pupilem dorosłych, dziewczętom imponował łatwością zdobywania sobie posłuchu u chłopaków, chłopacy zazdrościli mu poważania u dziewcząt. Zdarzyło się jednak, że jedna z zakwitających panien wyrwała się przed szereg i wyprzedziła młodzieńczą urodą pozostałe klasowiczki o kilka długości, serca chłopięce jak jeden wąż rozjechany przez ciężarówkę padły pod naporem tłumionych uczuć, każdy z nas umierał z miłości 45 razy na godzinę lekcyjną, byliśmy wstrząśnięci tym, że kobiecość może się tak nagle wdzierać nam między żebra, rozstadać podbrzusza, że może tak się przed nami manifestować zdradliwie. Nie było dotąd dziewczęcia, które by nam działało na zmysły tak intensywnie, ciężko nam było na duszach i w jądrach nielekką, bo ona stała się z nagłą istnieniem panseksualnym. Wszystko, co robiła, czyniła zmysłowo; była jak niema syrena, która nawet śpiewać nie musi, nawet ust rozchyłać, i wie o tym tak dobrze, że się z lubością oddaje niechceniu i zaniedbaniu, wie, że nawet jeśli wyjdzie w miasto skotniona, w koszulce założonej szwami na wierzch, w dziurawych butach i dwa numery za dużym dresie, wszystkie kobiety zameżne będą ją miały za śmiertelnego wroga, bo u mężczyzn żonatych będzie wywoływała natychmiastową amnezję, wystarczy dwa jej kroki w czółenkach na płaskim obcasie, a nawet w rozdeptanych sandałach, by zapomnieli, że kiedykolwiek brali ślub, u mężczyzn zaś wolnych wywoływać będzie obsesyjną chęć opieki podszytej chucią. Wszyscyśmy się zakochali, ale Przemas najbardziej i zarazem najniešťczęśliwiej, napotkał bowiem pierwszą w życiu odmowę, niewysławioną, lecz stanowczą. Nasza piękność zdradziecko oddała się w ręce wyrośniętego

Czarnek to widzę, ale nic tak nie hartuje jak szkoła przetrwania... szkoły.

repetenta z klasy najwyższej, podwórkowego bandziora, który wagarował tak często, że kiedy wreszcie zaczął regularnie pojawiać się w szkole, wydawało nam się, że to jakiś nowy uczeń, a może i asystent nauczyciela. Od kiedy zauważył, że w jednej z młodszych klas objawił się brylant urody, stał się pilnym uczniem, nie opuścił ani jednego dnia, na każdej przerwie ku naszej rozpaczy zabierał swoją dziewczynę w zaufki i załomy korytarzy, by w ukryciu przed woźnym i dyżurnymi belframmi edukować ją w dziedzinie głębokich pocałunków, biustownych macaży, a nawet przelotnego pettingu. To czyniło naszą oblubienicę rumianą, spoconą i permanentnie rozkojarzoną.

Przemas, który nie potrafił objąć rozumem porażki, dał za wygraną dopiero wtedy, kiedy dostał w ryj od wyrostka, bo dziewczę poskarżyło się na niechciane umizgi. Z trudno skrywaną satysfakcją przyjęliśmy jego limo pod okiem; od tej pory był regularnie poniewierany, by tak rzec, wzrokowo – wystarczyło, że poczuł na sobie spoj-

zenie wyrostka i już ze strachu rzędała mu mina, trząsł się i chrząkał tak dojmująco, że tracił w oczach rezon u nas wszystkich, jego autorytet chwiał się w posadach. Mu-

siał coś wymyślić dla równowagi, upatrywał więc sobie mnie. Im bardziej czuł się zagrożony i upokorzony ze strony silniejszego i starszego od siebie, tym łacniej kopał mnie w dupę, niby żartem częstował mnie mukami (bolesny cios w luźny, bo niespodziewający się uderzenia mięsień ramienia lub uda), blaszkami (uderzenie otwartą dłonią w czoło), karczuchami (to samo w kark) i kokosami (kością środkowego palca w czubek głowy). Niestety, sam znajdowałem się na końcu łańcucha pokarmowego, mógłbym się co najwyżej mścić na rybkach akwariowych, tylko one zdawały się wystarczająco bezbronne, żebym nie lękał się z ich strony niebezpiecznego odwetu. We mnie znalazł idealny worek treningowy, formował mnie czy też rzeźbił: wałąc, nie naruszał żadnej struktury, odłupywał po prostu ze mnie wszystkie wystające kawałki, by tak rzec: mężnie walczył z asymetrią. Przemas, od kiedy z ofiary stał się pośrednikiem, przekazicielem bólu, odyskał werwę i przekonującą przywódczość. I tak to trwało, za jego sprawą nie tyle ukończyłem szkołę podstawową, ile ją przetrwałem.

Inna to bajka, a jakże podobna; współczuję teraz wszystkim dzieciakom i ich rodzicom, Czarnek to widzę, ale nic tak nie hartuje jak szkoła przetrwania... szkoły.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Żadnej książki nie wymyśliłbym przy biurku

Na koniec dnia i tak zobaczycie faceta, który bębni w klawiaturę i robi sobie garba

Rozmawia Jan Tracz

„Informacja zwrotna”, twoja najnowsza powieść, rozpoczyna się od cytatu ze „Straconego weekendu” Charlesa R. Jacksona. Marcin Kania, główny bohater, jest takim polskim Donem Birnamem, idącym ku przepaści. Natóg pozbawił go samokontroli. Napisałeś bardzo filmową opowieść – bardziej czerpałeś z pierwowzoru literackiego czy z ekranizacji Billy’ego Wildera?

– Na pewno ta książka bardzo mnie zainspirowała, czytałem ją rok temu, to zresztą jedna z lepszych powieści o alkoholizmie. Tak, jest też ekranizacja z 1945 r., jednak mam wrażenie, że to powieść ma w sobie większą dawkę mroku, tragizmu i to ona mogła być dla mnie realną inspiracją. Wspominasz o tej filmowości; myślę, że praktycznie każda moja książka taka jest, przy każdej premierze dochodzą do mnie podobne głosy, więc to już jest swego rodzaju truizm. Warto się zastanowić, dlaczego czytelnicy w ogóle posługują się takim terminem. Ja piszę bardzo obrazowo, skupiam się na aspektach fabularnych, na historii, która umiejętnie się konkluduje, to nie są aż tak oczywiste rzeczy we współczesnej literaturze w Polsce. Właśnie to znaczy ta „filmowość”, taką dynamiczną literaturę pochłaniającą czytelnika, która narzuca pewną akcję, miejsce i przede wszystkim moją własną wizję.

Chyba nie przepadasz za tym określeniem.

– Ponieważ uważam, że to nie wynika wyłącznie z moich predyspozycji związanych *stricte* z prozą. Świetnie odnalazłem się też w scenariopisarstwie, obecnie jest ono moim

drugim, równoległym zawodem, bo okazało się, że umiem wymyślić fabułę, rozpiąć intrygę, napisać przekonujących bohaterów i jeszcze to wszystko połączyć w zgrabną całość. Mój sposób storytellingu sprawdza się w obu wspomnianych źródłach, myślę więc, że nie trzeba tego w ten sposób szufladkować. Dotarłem do momentu, w którym moje dwa aktualne zajęcia, bycie pisarzem i scenarzystą, zaczęły się przeplatać.

Jaka jest geneza tej powieści? Ile jest w niej ciebie i twoich doświadczeń, a na ile to fikcja, mająca wykreować ciekawy świat?

– Żadnej mojej książki nie wymyśliłbym przy biurku. One za każdym razem, mniej lub bardziej, wyrastają z moich doświadczeń. Kilka lat temu napisałem „Wzgórze psów”, które *de facto* jest o miejscu, z którego pochodzę. Sytuacje opisywane w tej powieści nigdy mi się nie przytrafiły, bohater też nie jest mną, ale lęki i strachy na pewno są scalone z moją osobą, z jej wszelakimi doświadczeniami.

Nie robię tajemnicy z tego, że sam byłem na terapii i wychodziłem z uzależnień. Co więcej, prowadzę podcast na ten temat („Co ępać po odwyku”), w którym mówię wprost o trudnych momentach mojego życia. Gdyby nie te doświadczenia, nie mógłbym napisać takiej książki jak „Informacja zwrotna”. Prawdopodobnie nawet nie przyszedłby mi na nią pomysł! Bo przecież ona od środka opisuje cały proces terapeutyczny, ja sam tego typu rzeczy przeżyłem. Z drugiej strony nie zapominajmy, że to wciąż tylko powieść z autorskim pomysłem, który w żadnym wypadku nie opiera się na mojej biografii. To raczej odpowiedź na pytanie, co by się ze mną stało



JAKUB ŻULCZYK

– pisarz, scenarzysta i dziennikarz, autor m.in. „Ślepnąc od świateł”, „Instytutu” i „Wzgórza psów”

(Kania w powieści jest nieco starszy ode mnie), gdybym dalej zmagał się z tym wszystkim, przez co przechodziłem w trakcie terapii.

Rozważasz różne scenariusze, ale jeszcze wiele może się wydarzyć.

– Oczywiście, nie ma gwarancji, że ja za te kilkanaście lat nie zacznę znowu pić lub brać narkotyków. Nikt nie daje mi takiego zapewnienia, że wszystko będzie już dobrze. I pod żadnym pozorem osoba uzależniona nie powinna dawać go sobie, bo to jest pierwszy krok do klęski. Chciałem napisać taką przestrożę dla samego siebie. Przy okazji zafascynował mnie literacko bohater, który ma 50 lat i część życia już przeżył. Dotychczas byli to moi równolatki, ludzie, którzy wciąż mogą bardzo dużo zmienić, choć w powieściach przytrafiają im się rzeczy tragiczne. Owszem, Kania nadal ma szansę doświadczyć sporo dobrego, ale nad tym bohaterem wisi już ciężar straconych szans. A tymi „straconymi szansami” są realne, fizyczne cierpienia ludzi, którzy go otaczają.

Jak dotarłeś do momentu, w którym wiedziałeś już, że obcuje z finalną wersją „Informacji zwrotnej”? Tą tuż przed wysłaniem do korekty.

– Zastanawia mnie, dlaczego czytelników interesuje ten proces „powstawania”. Sam w życiu nie zapytałbym pisarza o tego typu technika (śmiech). Mogę ci to opisać kwiecistymi metaforami, kiedy siadam przy biurku i zaczynam kombinować przed komputerem. Ale na końcu dnia i tak zobaczyłbyś faceta, który bębni w klawiaturę i robi sobie garba. Tutaj powrócę do scenariuszy – w tym medium, zanim siądziesz do pisania, musisz mieć już wszystko wymyślone. Wówczas siadasz przed laptopem i po prostu robisz swoje: opisy, dialogi, przelewasz na papier uporządkowane wcześniej pomysły. To właśnie jest „filmowe”, bo uwzględniasz tam wiele wskazówek, z których następnie korzysta cała ekipa filmowa. Gdybym w taki sposób miał pracować przy każdej powieści, to prawdopodobnie bym oszalał!

Kiedy siadam do powieści, pragnę się w jakiś sposób zaskoczyć, to ma być chwila oddechu od tej drobniawej pracy filmowej. Nie mam jeszcze każdego elementu tej pisarskiej układanki. Stawiam na stole kawałek marmuru, a następnie odłupuję wszystko, co nie jest Dawidem. To jest bardziej tego typu praca. Stephen King idealnie opisał ten schemat. Przypomniał to pisanie do odkopywania dinozaura. Trzeba wyobrazić sobie, że jest się archeologiem, kimś w rodzaju Indiany Jonesa. Idziesz gdzieś na pustyni, znajdujesz kawałek kości i zaczynasz kopać, kopać i jeszcze raz kopać. W pewnym momencie rozumiesz, że te znalezione kawałki kości, które po kolei odnajdywałeś, tworzą całość w postaci szkieletu dinozaura. Dobra historia to właśnie odkopywanie tego szkieletu.

Kiedy fakty mieszają się z imaginacją, chwilami przypomina to „Pod wulkanem” Malcolma Lowry’ego. Zależało ci na stworzeniu książkowej fantasmagorii?

– Czytałem Lowry’ego dawno temu, ale pamiętam z tej książki samo wrażenie. Chodzi mianowicie o stworzenie uczucia, że mamy do czynienia z realizmem na poziomie procesu myślowego pijaka. Przyjęcie tego typu niecodziennej perspektywy jest w „Pod wulkanem” cholernie

wiarygodne, więc na pewno nawiązanie do takiego zabiegu było wyzwaniem przynajmniej trudnym.

Inspiracja Lowrym, a kim jeszcze?

– Jeśli mam być szczerzy, to nie przeprowadzam procesów myślowych, które miałyby mi wytłumaczyć, kim się inspiruję, skąd podświadomie biorę pomysły czy z czego mogłem (możliwie) czerpać. To moja książka, zagłębianie się w formalności raczej nie ma sensu. „Informacja zwrotna”

Stawiam na stole kawałek marmuru, a następnie odłupuję wszystko, co nie jest Dawidem.

jest moją dziewiątą powieścią, ja już nie mam metody pracy, że patrzę na półkę/wchodzę na Kindle’a i zastanawiam się, od kogo tym razem „podkraść” pomysły itp. Mnie w dużej mierze inspirują historie opowiedziane przez innych, te przeżyte, gdzieś zasłyszane, godne nagłośnienia. To kluczowe aspekty, które wpływają na końcową strukturę moich książek.

Nazywasz swoją książkę antykryminałem. Skąd człon „anty”?

– Kiedy napisałem „Wzgórze psów”, promowaliśmy je jako tradycyjny kryminał, którym do końca ta książka nie była. Ludzie oczekiwali tradycyjnej powieści z konkretnym tempem narracji, otrzymali coś zupełnie innego i czytelnik zachęcony opisem czuł się nieco oszukany. Nie chciałem go po raz kolejny rozczarować. Dlatego tłumaczę, że jest w „Informacji” jakaś zagadka, mamy tam intrygę, ale to w żadnym wypadku nie jest standardowy kryminał. W pewien sposób z wydawcą przypomnieliśmy ludziom, że książka Żulczyka jest napisana przez Żulczyka! Tutaj mieszają się konwencje, te powieści są różnicowane, z tym trzeba się liczyć na starcie. To „anty” nie jest na wyrost, bo fabularnie moja książka jest śledztwem na opak. Marcin Kania prowadzi swoje śledztwo, ale w tym samym momencie dotyczy ono jego samego. Pozostaje pytanie, czy on zdaje sobie z tego sprawę.

Oprócz głównego wątku zaginięcia syna protagonisty skupiasz się na problemie warszawskiej dzikiej reperywatywacji. Dlaczego postanowiłeś w ogóle rozwinąć ten motyw w powieści o zbrodni i uzależnieniach?

– Na początku przeczytałem dwie książki, które pozwoliły mi zrozumieć ten temat: „Ukradzione miasto” Jana Śpiewaka i „Święte prawo” Iwony Szpali i Małgorzaty Zubik. Jestem człowiekiem, który ma w sobie taką wrażliwość społeczną. Może nie jest ogromna, jednak jest rozwinięta, dlatego poruszam ten temat w powieści. Sprawiedliwość jest dla mnie ważna, zarówno jako dla człowieka, jak i dla artysty, często poruszałem ten wątek w poprzednich książkach. Kiedy zapoznałem się ze sprawą reperywatywacji, wydała mi się jakimś urzeczywistnieniem koszmaru. To historia rodem z „Chinatown” Romana Polańskiego,

to kryminał *noir*, w którym widzimy zdegenerowaną, zniszczoną sprawiedliwość społeczną. Sektor publiczny w tym wypadku jest tak zdemoralizowany, że jeśli ktoś stara się stanąć przeciw niemu, to prędko zobaczy, że jest sam jeden przeciw wszystkim. Wydało mi się to niebawale literackie, a do tego jest w tym jakaś prawda o Polsce ostatnich 30 lat.

Jaka jest ta Polska ostatnich 30 lat?

– To Polska, w której od minionych czasów nie zbudowano żadnego społeczeństwa wspólnotowego, odpowiedzialnego... obywatelskiego wręcz! Zakorzeniła się w nas pewna mentalność. Przez historię (najnowszą oraz tę z XX w.), polaryzację, brak integralności społeczeństwa mamy poczucie ciągłego zagrożenia w postaci wroga zewnętrznego. Nic nie jest dla nas stałe, a co za tym idzie, dochodzi

W dzisiejszych czasach potrafimy stawiać tylko na zysk. Staliśmy się chciwi.

do bezprawia i prawdziwych ludzkich dramatów. Główną wartością dla człowieka jest zrobienie „dobrego interesu”. Ta reperywatywacja (i wartości, jakie za nią stoją) zrywała mi się z historią Marcina Kania. Uzależnienie od pieniędzy też jest chorobą. W dzisiejszych czasach potrafimy stawiać tylko i wyłącznie na zysk. Staliśmy się chciwi. I moja powieść ukazuje ten problem na różne, mniej lub bardziej drastyczne sposoby.

■

27. MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWCE

Jeremy Pelt Quintet – Griot: This Is Important!

Choć w tej edycji festiwalu dominują krajowi wykonawcy, nie zabrakło też znakomitości ze świata. Jeremy Pelt w nowym projekcie łączącym wydanie płyty i książki („Griot: Examining the lives of Jazz’s great storytellers”) odwołuje się do tradycji wędrownych muzyków, poetów i opowiadaczy z Afryki Zachodniej, zwanych griotami, by przypomnieć o pokoleniach wspaniałych czarnych muzyków jazzowych. Album pełen jest oryginalnych kompozycji, a na scenie na Starówce – godzinę później niż zwykle – pojawią się wraz z amerykańskim trębaczem nowojorscy muzycy: wibrafonistka Chien Chien Lu, pianista Victor Gould, kontrabasista Vicente Archer i perkusista Allan Mednard.

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 24 LIPCA, GODZ. 20

(ap)



KURTYNA W GÓRĘ



NAD NIEMNEM, CZYLI W POLSCE

Jeśli teatr bierze się do adaptacji obowiązkowej lektury szkolnej, którą dodatkowo uwieczniono na filmie, musi to zrobić inaczej. Spektakl lubelskiego Teatru im. Osterwy jest więc rodzajem patriotycznej baśni, w której ukazane zostaje rozbieżności Polaków na dwa wrogie obozy, bogatszych Korczyńskich i biedniejszych Bohatyrowiczów. To nie tajemnica, że do zgody prowadzi miłość Justysi i Jana, ale łącząca nas polskość jest zawarta także w muzyce, we wspólnych pieśniach, m.in. do słów Marii Konopnickiej. I tych opisujących przyrodę, las, pola, i tej najważniejszej – „Roty” ze słowami „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród”.

Bronisław Tumiłowicz

„Nad Niemnem. Obrazy z czasów pozytywizmu” według Elizy Orzeszkowej, reż. Jędrzej Piaskowski, Teatr im. Osterwy w Lublinie, spektakl 17 czerwca 2021

OSWAJANIE ZE ŚMIERCIA

Adaptacja opowiadania Tolstoja o chorobie Iwana Iljicza, będącej dla rodziny czymś niewygodnym, każe spojrzeć na ten problem również ze współczesnej perspektywy. Życie w XIX w., wiadomo, różniło się od obecnego, ale zakończenie ziemskiej wędrówki wciąż wygląda podobnie. Świadomość nadchodzącej śmierci jednej osoby wymaga zmiany podejścia wszystkich domowników. Spektakl pokazuje, że nie jest to łatwe, że każdy stara się wypierać złe myśli i ignoruje chorobę współmieszkańca. Tak rodzi się prawdziwy dramat o wyrażeniu humanistycznym podłożu. Skrywane emocje w końcu wybuchają. Dominuje tu rola Krzysztofa Matuszewskiego, powściągliwa do pewnego czasu. A sama śmierć jest tylko mgieniem.

Franciszek Jacik



Lew Tolstoj, „Śmierć Iwana Iljicza”, reż. Franciszek Szumiński, Teatr Wybrzeże w Gdańsku, spektakl 9 czerwca 2021

MIĘDZY OKŁADKAMI

Zośka Papużanka

Kąkol

Marginesy, Warszawa 2021

Wspomnienie lata na wsi, spędzonego całą rodziną pod jednym, nie najlepiej postawionym dachem, ujawnia konflikty zamieniające takie wakacje w koszmar. Niektóre są otwarte, o wymiarze epickim, jak ten pomiędzy dziadkiem Antonim a sąsiadką Kukułkową o miedzę. Mamy też skromniejsze mężowsko-żonine,



z gatunku nie będzie mi tu baba... Choć znów dziadek podnosi je do rangi sztuki. W Antonim tkwi również zadra klasowa, werbalizowana tylko okazynie, jednak najgorsze skutki ma jego niechęć do synowej, przemieszana na małą wnuczkę. Skąd ta ostatnia wojna? Bo obca weszła między niego a syna, w dodatku jest ciągłym wyzwaniem dla tyrańskich rządów patriarchy? W opisie dorocznych spędów, kiedy wszyscy siedzą sobie na głowie, bez odrobiny intymności, i próbują tworzyć mikroświaty, w których mieliby kogoś na wyłączność, jest jednak humor i mnóstwo barw. A przede wszystkim uważność – na ludzi i świat.

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkało

Pośpiesznie, osobowo

Siedziałyśmy we dwie w parkowej knajpcie, pierwszy raz od 15 lat, i ona basem rozmawiała z kelnerką. Kelnerka miała bardzo długie włosy na rękach, całkiem białe. Sterczały sztywno najeżone. Była chuda, prędką i wylewną, jakby bawiła się amfetaminą. Koleżanka opowiadała o bankach nasion i portach, w których z jutowych worków nasiona wypadają na ziemię, tworząc małe, unikatowe ekosystemy. Była to historia o witalności i przypadkowości. Zrobiło się późno i zimno. Pożyczyła mi chustę, która dziwnie pachniała jakąś mieszaniną zapachów z lasu i fiołki z przyprawami. Gadałyśmy już cztery godziny, czas skurczył się i przebiegł. W panice wracałam do pracy przed komputerem. A jednak przyptyw energii pozwolił mi skończyć pracę przed północą.

Na drugi dzień miałam wizytę u notariusza. Już przy wejściu do budynku, kiedy popatrzyłam w górę – na piętrzące się jak huby metalowe tabliczki z nazwami kancelarii – poczułam, że skraca mi się oddech. Po wejściu do przestrzennego szklanego holu nogi zrobiły się ciężkie, a kiedy powiedziałam dzień dobry do recepcjonisty, nie mogłam rozpoznać własnego głosu.

Są takie miejsca – poczekalnie u lekarza, urzędy, fotele u notariusza, dziekanaty – w których dopada nas słabość. Lekko boli nas brzuch, czujemy ucisk w skroniach, nogi robią się ciężkie. Ściany zbliżają się do siebie, zawieszamy wzrok w absurdalnym miejscu: w rogu ściany, na pęknięciu sufitu, na baniaku z wodą, do którego nawet nie mamy siły podejść.

Wiadomo, kto opisał to najgruntowniej: „Usiadł bez namysłu, a chcąc się poczuć jeszcze pewniej, oparł łokcie na poręczach. – Ma pan lekkie zawroty głowy, prawda? (...) Proszę się nie martwić, tutaj to nic nadzwyczajnego, mało kto nie dostaje takiego ataku, kiedy przychodzi pierwszy raz. Pan po raz pierwszy? Więc właśnie, nic nadzwyczajnego. Słońce nagrzewa dach i od gorącego drewna powietrze jest takie ciężkie i stęchłe (...). Nie odpowiadał, zbyt źle się czuł, będąc przez nagłe osłabienie zdany na tych ludzi, a odkąd poznał przyczyny swoich mdłości, nie czuł się lepiej, tylko jeszcze gorzej”.

Kafka, sam będąc urzędnikiem (pracował w Zakładzie Ubezpieczeń Robotników od Wypadków), dobrze znał to uczucie spowolnienia czasu, który rozciąga się

(i nas), jakby wykonywał ruch oporu wobec wskazówek zegara. Samo przechodzenie przez powietrze jest właśnie przedzieraniem się przez czas, jakby się zwichnęło nogę i taszczyło po piachu gips. Znużony recepcjonista w kamienicy, w której urzędował notariusz, wyglądał jak stary sfinks (znaczące jest pochodzenie tego słowa od greckiego czasownika *dusić*). Dopiero przy drugim dzień dobry otworzył oczy i uśmiechnął się dobrotliwie, ale się nie poruszył.

U notariusza robiłam to, co zawsze w takim miejscu: znalazłam jakiś punkt na ścianie i wpatrywałam się w niego, ziewając nerwowo. Cała energia odpłynęła i zaczęłam myśleć o tym, jak ciężko będzie wstać, kiedy zostanę wezwana. „Zostanę wezwana”? Czy ten odpływ to sprawa „anonimowej, nadrzędnej wobec nas instancji”, czy dziwnej nudy, która ma wymiar, *pardon*, egzystencjalny i zjada „życie” jak wrogie żywiołaki w grze komputerowej? Skąd ten wampiryzm poczekalni i gabinetów? Może to wyobrażenie systemu, czegoś,

Są takie miejsca – poczekalnie u lekarza, urzędy, fotele u notariusza, dziekanaty – w których dopada nas słabość.

co na co dzień tylko niejasno wyobrażamy sobie jako płataninę światłowodów ukrytych w ścianach lub pod ziemią, teczki w gabinetach polityków, miliony internetowych hubów?

Notariusz wpisuje do komputera moje dane osobowe: słyszę, jak twardy dysk miele je i połyka. Na kolacji u wampira byłoby równie miódnie – pośpiesznie, lecz osobowo. Tu jestem podejrzana: moje nieregularne zarobki, moja praca w kulturze, mandat za brak biletu. „Wszyscy, którzy czekali na korytarzu, wyglądali na oskarżonych”, pisał Kafka. W „Procesie” jeden z mężczyzn trafnie rozpoznaje źródło niedyspozycji K.: „Myślałam sobie, że niedyspozycja tego pana wynika z tutejszej atmosfery, więc najdogodniej dla niego i najlepiej byłoby wyprowadzić go nie do izby chorych, tylko w ogóle poza kancelarię”.

Myślę o naszym wieczorze w parku, o bankach nasion, o portach, w których z jutowych worków nasiona spadają na ziemię i robią, co chcą.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Guzik wiemy o naszych dzieciach

Co drugie dziecko mówi: chcę mieć pewność, że rodzice przyszli mnie usłyszeć, a nie doradzać

Rozmawia Beata Igielska

Co my, dorośli, przegapiamy, zawalamy w kontaktach z dziećmi?

– U każdego dziecka przegapiamy coś innego. Dlatego to pytanie powinniśmy zadać indywidualnie naszym dzieciom. Na warsztatach „Wszechwiedzący, słodko-pierdzący dorosły” pytamy: „Czy czujesz, że zawsze jestem po twojej stronie? Jeśli nie, podpowiedz mi, co przegapiam”. Ważne, żeby dziecku powiedzieć, dlaczego o to pytamy. Bo kochamy, bo jesteś dla nas ważny.

O czym dzieciaki chcą gadać w „okienku”?

– Musimy skupiać się teraz na bardzo trudnych przypadkach, bo liczba zgłoszeń jest ogromna. Rozmawiamy z dziećmi po kilku terapiach, które nic nie wniosły. Albo z dziećmi rezygnującymi z terapii, bo dzieje się coś niedobrego, uniemożliwiającego pracę z psychologiem. Te dzieci okaleczają się, są po kilku próbach samobójczych. Na początku mocno sprawdzają, czy jestem dorosłym, który przyszedł wiedzieć lepiej, czy też jestem dorosłym, który przyszedł usłyszeć, co mają do powiedzenia. Bo do tej pory nikt ich nie usłyszał. Te dzieci w tyłu miejscach szukają pomocy, a my, dorośli, to przegapiamy. Czasami z powodu zmęczenia, czasami mamy dość, nie wiemy już, jak próbować. Wydaje nam się, że jak dziecko mówi coś niemiłego, chce nas odrzucić. A ono tylko nas sprawdza, jego nie interesuje bycie z nim do momentu, kiedy – tu określenie znienawidzone przeze mnie – będzie grzeczne, wszystko ułoży się, jak by- to wcześniej. Dzieci chcą, żebyśmy wrócili do nich na stałe. Pytam rodzica: „Czy jesteś gotowy wrócić na 10 tys. rozmów?”. Słyszę: „Z synem rozmawiam ostatnio raz w tygodniu, do końca życia tyłu rozmów nie zrobię”. Powrót na stałe oznacza uczenie się siebie każdego dnia od nowa.



TOMASZ ZIELIŃSKI

– prezes Akademii Komunikacji zajmującej się m.in. mediacjami w biznesie. W lockdownie zainicjował akcję „Usłyszeć na czas” – bezpłatne codzienne rozmowy z dziećmi w kryzysie psychicznym i ich rodzicami. Prowadzi warsztaty dla rodziców „Wszechwiedzący, słodko-pierdzący dorosły”.

Jak pan reaguje, gdy słyszy:

„Niedobrze mi się robi od tej twojej gadki”? To jest okrutne sprawdzanie dorosłych, szczególnie przez nastolatków.

– Oni tym okrutnym sprawdzaniem pilnują miejsc, do których nie chcą nas wpuszczać, bo... wiemy lepiej. Dzieci wiedzą, w który czuły punkt rodzica uderzyć, żeby dał spokój. Mówią: jeśli mama, tata nie są w stanie wytrzymać czegoś takiego,

to co dopiero będzie, jak podzieli się swoim problemem. Zawsze jednak okazuje się on o wiele mniejszy, mniej bolesny niż samo sprawdzanie. Dzieci muszą mieć pewność, że gdy wpuszczą nas do środka, uszanujemy to, co chcą nam powiedzieć. Co drugie dziecko mówi: „Chcę mieć pewność, że rodzice przyszli mnie usłyszeć, a nie doradzać”. Niepo- trzebnie dajemy się urazić okrucieństwem. Ktoś delikatnie nas ukuje,

a my biegamy, krzycząc: „Aua, ale boli!”. Za okrutnymi słowami stoi nasz kochany dzieciak, który się boi, nie wie, jak nam o czymś powiedzieć. Woli więc sprawdzać, by nie usłyszeć: „Nie tak cię wychowałem, idź do swojego pokoju, przemyśl!”. Idzie przemyśleć, co powiedział, ale zostaje ze swoim problemem, którego nikt nie słyszy, z którym sobie nie radzi. I jeśli nie znajdzie pomocy w domu, puka do wujka Google i tam znajduje różne dziwne rzeczy. Wchodzi w nie głębiej, głębiej, a później nie potrafi sobie z pewnymi sprawami poradzić sam. Przez „okrucieństwo” dziecko wyje o bycie zauważonym. Kiedyś dziewczynka przyrównała naszą rozmowę do spotkania w jej pokoju.

Pytajmy, a będziemy dobrymi rodzicami.

Dzieci skarżą się często na wchodzenie do pokoju bez pukania, a pan czeka na zaproszenie. Dlatego nazywają pana „dziwnym dorosłym, który rozumie”.

– Wytrzymuję jedno, drugie wiodo pomyj, bo wiem, że za tym stoi dzieciak... Rodzice, nie słuchajcie słów, czekajcie na tego, kto za nimi stoi. Sytuację tę można porównać do bólowego miejsca, którego chcemy dotknąć. Jeśli dotkniemy swoją wszechwiedzą słodko-pierdzącą, znowu będzie bardzo bolało. Dziecko nauczyło się bronić tych miejsc pomyjami. Zaczekajmy na „proszę”, nie wchodzimy, jeśli wiemy lepiej. Kiedyś mój mentor Antoni zadał mi pytanie: „Kogo ze swojego życia wyganiaś radami, o które nie prosił?”. Wyganiałem ze swojego życia ukochaną żonę, córkę... Bo wiedziałem lepiej, bo przecież je znam, bo mieszkamy ze sobą. Okazało się, że guzik o nich wiem. Gdy zapieramy się, żeby „wiedzieć”, doprowadzamy dzieci do szału. Ale to nie jest tak, że dorośli są źli, a dzieci są dobre. Tu chodzi o przegapienie, opieranie się na tym, co słyszymy, a nie na tym, co pod słowami. Na warsztatach widać, jaką rodzice mają trudność z zadaniem pytania, co przegapią. Obawiają się stanąć w miejscu, w którym jest „nie wiem”. Boją się, że zostaną wyśmiani, wyszydzeni. Pytajmy: „Jak ciebie kochać, jak o ciebie dbać, jak mnie potrzebujesz,

jak z tobą być w momentach, kiedy jesteś smutny?”. Pytajmy, kiedy jest dobrze, nie kiedy jest dół, bo wtedy wchodzą trudne emocje i to nie ma sensu. Dziecko nam wszystko powie. Pytajmy, a będziemy dobrymi rodzicami.

„Jak mam rozmawiać z gówniarzem? Już nie mam siły”, pytają rodzice. A odpowiedź, jak słyszę, jest prosta: pytaj dziecko, pokaż mu swoją bezradność, powiedz mu: „Kocham cię, ale nie potrafię”.

– Tak to wygląda. Kiedyś powiedziałem do córki: „Dorostem, którąś się wraca?”. Wtedy córka zaczęła mi odpowiadać krok po kroku, jak wracać, jak ją usłyszeć. Wydawało mi się, że wyjdę na głupka, bo prze-

cież pokażę, że nie wiem... Kiedy tak krok po kroku zaczęła mi mówić, jak z nią być, to potem prawie mi urwała szyję, takiego przytulusa dała. Brakuje nam podstawowej wiedzy, że psychika nastolatków nie jest tak wykształcona, jak nam się wydaje. Bo wydaje się nam, że mając 15 czy 16 lat, powinni kojarzyć fakty, a oni robią nam na złość. Nie robią – uczą się. Do tego dochodzą hormony, emocje, które są podpalane. Nazwaliś ten okres buntem nastolatków, bo nie wiemy, jak sobie z tym radzić. Buntem wołają o zauważalność, nie wiedzą, jak inaczej to zrobić. Wystarczy spojrzeć na sytuację z ich perspektywy. Jeszcze długo

Dzieci kary przyjmują w ciemno, ale obrażanie się na dwa, trzy dni to najszybsza droga, by zamknęły się w sobie.

nie będą na naszym etapie rozwoju. Wkurzamy się, że jest niesprzątnięte, a przecież 15 razy prosił. Często dzieciaki próbowały pamiętać, ale nie dały rady. To dziwne, ale tak jest. A my wchodzimy, podpalamy się, bo odbieramy to jako brak szacunku. Sięgamy po przymusy, zakazy, nakazy. Ale przecież nawet na dorosłych nakazy nie działają.

„Gdyby tylko mama, tata pozwolili mi wypowiedzieć zdanie bez przerywania...”.

– To zdanie powtarza się w 70-80% okienkowych rozmów. Z czym pani się kojarzy białe zwierzę w czarne łaty?

Z kotkiem.

– Ja pomyślałem o krowie. Pani mówi o kotku, a ja zaczynam pani doradzać w sprawie cielaczka. Tak samo jest z dziećmi. Nieraz nie pozwalamy dziecku nazwać problemu, ale zaczynamy mu doradzać. Tylko nie na temat.

Edyta, 13 lat: „Bo ja potrzebuję najbardziej mamy, kiedy jestem niegrzeczna. Bo jak nakrzyczy, wychodzi, a powinna przytulić”.

– Jeśli powiemy o kilka słów za dużo, bo nie wytrzymaliśmy, bo mieliśmy trudny dzień, to bardzo ważne, żeby dziecka z tym nie zostawiać. Trzeba przyjąć, powiedzieć: „Kocham”. Bo dzieci odbierają nasz krzyk, przeżywają nasze obrażenie się. Młodsze mówią: „Przestała kochać”, starsze: „Nadąsała się, strzeliła focha”. Każde z nich woli karę niż takie traktowanie. Najgorsza rzecz, którą można dziecku zrobić, to obrazić się na nie i czekać, aż stanie się inne, takie, jak było kiedyś. To okrucieństwo psychiczne, które dzieci potężnie odbierają. Jeśli nakrzyczę na córkę, zawsze wracam, przytulam, mówię: „Kocham”. Jeśli dziecko nam napyskuje, możemy powiedzieć: „Jeśli tak do mnie mówisz, to znaczy, że coś przegapiam, pokaż mi co. Przepraszam cię”. Dla dorosłych to trudne. Wolimy się obrazić i wymusić swoim zachowaniem pożądane zachowanie dziecka, zamiast zrozumieć, że ono tak mówi, bo sobie z czymś nie radzi. A my myślimy, że

jeśli mu zakażemy, to w przyszłości będzie wiedziało. To tak nie działa – nauczy się jeszcze bardziej chować problem, by nie mieć obrażonego rodzica. Uczy się: tego tematu nie warto poruszać, bo mama od razu się wścieka i obraża. Kary dzieci przyjmują w ciemno, ale obrażanie się na dwa, trzy dni jest nieporozumieniem. To najszybsza droga, by mieć zamknięte dziecko. Założy maskę kogoś, kogo rodzice chcą widzieć, ale będzie to obraz daleki od prawdy.

► **Odnosnie do maltretowania psychicznego taki obrazek z okienka: dziewięcioletnia Madzia słyszy od mamy, że jest niegrzeczna, bo: wy-leje mleko, zapomni kluczy, zagapi się w niebo i przewróci. Wtedy pęka jej serduszko, bo boi się, że mama przestanie kochać. Żeby się nie bała, trzeba serduszko przytulić...**

– Madzia podała instrukcję, nie chciała mówić o sobie, tylko o serduszku. Zapytałem, jak się przytula serduszko. „Jak mnie, długo”. Dziecko czuje się oskarżone, nawet jak mama powie delikatnie: „Ty gapo, jak znowu mogłaś to zrobić?”.

leżałem na podłodze i mówiłem, że nie dam rady. Na przykład sytuacja sprzed kilku tygodni: w sobotę rozmawialiśmy z mamą, zrobiliśmy wyjątek, w niedzielę mieliśmy rozmawiać z córką. Niestety, skutecznie targnęła się na swoje życie z soboty na niedzielę... I nie wie się, czy można było bardziej, czy można było w sobotę doprowadzić do rozmowy z dziewczynką. Myślałem, że jestem twardzielem. Takie momenty zatrzymują. I gdyby nie umiejętność radzenia sobie z tym dzięki psychologom i psychiatrom, którzy mnie tego uczą, nie udźwignąłbym. To dziecko miało 11 lat...

Jeśli powiemy o kilka słów za dużo, bo nie wytrzymałyśmy, to bardzo ważne, żeby dziecka z tym nie zostawiać.

Pod każdym pana postem na Facebooku jest 3-5 tys. reakcji, a nawet więcej. „Jestem 100-kilogramowym chłopem, muszę się chować w pracy, żeby nie widzieli moich spoczynnych oczu”.

– To, że ten wielki chłop napisał, to dobrze, bo większość komentujących stanowią kobiety. Taki komentarz daje motywację innym ojcom, żeby dzielili się przeżyciami. Mam nadzieję, że jeden wpis na Facebooku to jedno dziecko w okienku mniej. Gdy czyta się coś takiego, czuje się wzruszenie. Ta praca jest wymagająca. Nieraz już

Dlaczego zaczął pan pracę w okienku?

– Pracowałem w biznesie. Klienci doceniali moją skuteczność, proponowali pracę nad problemami w związkach. Powstał program dla par „Czy mnie słyszysz”. Potem pojawiły się prośby, czy mógłbym pomóc w sprawach dziecka. Nie bardzo chcieliśmy się tego podejmować, nie mieliśmy doświadczenia. Ale coraz częściej było: „Tomek, proszę, chociaż pogadaj, podpowiedz mi”. Ogłosiłem więc na Facebooku, dla znajomych, że przez dwie godziny dziennie bezpłatnie będę pomagał dzieciom. Myślałem, że będzie kilka zgłoszeń w miesiącu. W ciągu kilku dni przyszło kilkaset zgłoszeń. Na początku pracowaliśmy dwie godziny, potem cztery. Teraz pracujemy nawet 12 godzin na dobę, we współpracy z psychologami, psychiatrami.

Skąd macie na to fundusze?

– Kasa idzie z warsztatów dla rodziców, które prowadzę. Finansujemy też niektórym dzieciom terapię, recepty. Rodzice nie potrafią tego przyjąć. Polacy są dziwnie dumnym narodem. Ciężko się przyznać, że nie ma się kasy, lepiej powiedzieć wbrew rzeczywistości: „Dam sobie radę”. Trzeba długo przekonywać do przyjęcia pomocy. Długoterminowa terapia dziecka jest bardzo kosztowna. Wracając do funduszy na działalność, jest zbiórka na Patronite, gdzie mamy prawie 900 patronów. Pieniądze idą pod hasztagiem: Usłyszeć na czas. Na razie nie ruszamy tamtych

pieniędzy. Chcemy je przeznaczyć na budowę ośrodka. Jednak pewnie niedługo będziemy musieli po nie sięgnąć, bo zgłasza się coraz więcej dzieci. Powołaliśmy fundację, będzie miała nadany numer pewnie w ciągu miesiąca. Wtedy może znajdą się osoby zajmujące się wyłącznie zbórką pieniędzy. Teraz nie mamy tylu rąk do pracy.

Przerażają liczby dzieci potrzebujących wsparcia. Uczniowie coraz bardziej gubią się w szkole. Napisał pan wzruszający post „Pogubiliśmy wrażliwość” o dzieciach, które nie zdały do następnej klasy.

– Dziś średnio w każdej klasie jest troje dzieci myślących o próbie samobójczej i dwoje, troje takich, które się okaleczają. Można założyć, że jedna czwarta klasy jest pokiereszowana i wymaga natychmiastowej pomocy. Przypadek z dzisiejszego ranka – zgłasza się do nas dziecko po nieudanej próbie samobójczej, trafia do ośrodka, otrzymuje skierowanie do szpitala psychiatrycznego. Rodzice słyszą: „Nie ma miejsc”. Zostali sami. Będą spać przy łóżku dziecka, żeby nie podjęto kolejnej próby.

Ale dziś szkoła ma gruntować cnoty niewieście, a nie zajmować się psychiką uczniów.

– Na początku tego roku były likwidowane łóżka psychiatryczne na rzecz łóżek covidowych. Rozumiem potrzebę chwili, ale są granice. Niech rządzący zajrzą na oddział psychiatryczny i zobaczą, w jakich warunkach leżą dzieci. Na korytarzach, na brudnych materacach. Zresztą rodzice boją się puszczać tam dzieci, bo na 40 potrzebujących ogromnej uwagi są dwie pielęgniarki – jedyne, czego mogą dopilnować, to zapiecie w pasy. Relacje dzieci z okienka: tam można się nauczyć, jak się pociąć np. plastikową nakrętką, nikt tego nie kontroluje. Leczenie psychiatryczne dzieci w Polsce nie istnieje. Owszem, mamy wielu cudownych psychiatrów dziecięcych, łapię ich na nocnych dyżurach, bo tylko wtedy mają trochę czasu. Są w stanie jedynie faszzerować dzieci lekami i trzymać kciuki, by na ich dyżurze nic się nie stało. Nie mają jak posłać dziecka na terapię z publicznych pieniędzy, bo ich oczywiście brakuje.

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

Ile prawdy jest w tym, że tak jak Donald Tusk przybył uratować Platformę, Aleksander Kwaśniewski przybędzie uratować Nową Lewicę?

Odpowiedź w nowym numerze tygodnika „NIE”.



Czekolada z szarańczą

Do wpisania na listę tzw. nowej żywności czeka 14 gatunków owadów. Wśród nich świerszcze, a także szarańcza – świeża i suszona

Rozmawia Dorota Bartosewicz

Rada Unii Europejskiej uznała kilka tygodni temu larwy chrząszcza za jedzenie – co jeszcze trafiło do katalogu tzw. żywności przyszłości?

– Na razie tylko larwa mącznika młynarka; jest on pierwszym owadem w tym zestawieniu.

Jak to w ogóle możliwe?! Przecież do tej pory hodowano go jako przynętę dla wędkarzy lub pokarm m.in. dla jaszczurek.

– Pełna zgoda, ale nie zapominajmy, że mącznik młynarek występuje też naturalnie; znany jest jako jeden z głównych szkodników magazynów zbożowych. Stąd zresztą jego nazwa. Jakkolwiek na to jednak patrzeć, to „zrównoważone źródło pożywienia” rekomendowane także dla ludzi, jak wynika z ostatnich raportów Rady UE.

Co to dokładnie oznacza?

– Że ma on wysokie wartości odżywcze. Jest dobrym źródłem energii, białka, tłuszczu i składników mineralnych. W 100 g larw mącznika może być więcej białka (od 23% do nawet 66%) niż w steku z polędwicy wołowej (29%), piersi z kurczaka (31%) czy np. suszonej wołowinie (43%).

Liczy się jednak nie tylko ilość białka, ale też jego jakość.

– To tzw. skład aminokwasowy. A białko owadzie ma wszystkie niezbędne aminokwasy egzogenne, czyli te, których organizm nie może syntetyzować samodzielnie i które muszą być dostarczane z pożywieniem. Przykładem jest tryptofan,

DR INŻ. ANNA ŻOŁNIERCZYK

– pracownik naukowo-dydaktyczny Katedry Chemii, Wydział Biotechnologii i Nauk o Żywności Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu

który przyczynia się do wytwarzania serotoniny i poprawy nastroju. Dodatkowo frakcja tłuszczowa larw mącznika zawiera ważne kwasy tłuszczowe, błonnik, witaminy, a także cynk i magnez. Co istotne, zawartość składników będzie się zmieniać w zależności od gatunku owada i stadium rozwoju. Z reguły larwy i poczwarki

Świerszcz w porównaniu z wołowiną ma prawie dwa razy więcej białka.

mają więcej tłuszczu, a ich postacie dorosłe – białka. Również pokarm, jaki podajemy owadom, wpłynie na końcowy skład chemiczny. Na przykład koniki polne karmione otrębami bogatymi w niezbędne aminokwasy będą mieć dwa razy więcej wartościowego białka niż te karmione kukurydzą.

Czyli to zdrowo jeść owady?!

– Zdecydowanie, tym bardziej – i tu podam inny przykład – że świerszcz w porównaniu z wołowiną ma

prawie dwa razy więcej białka. Dwa razy więcej dziewięciu najważniejszych aminokwasów. Trzy razy więcej żelaza i ponad 30 razy więcej witaminy B₁₂. Do tego więcej wapnia niż mleko i np. witaminę A.

W raportach można wyczytać, że owady są bogate w miedź, fosfor i selen...

– ...oraz witaminy: C, E, kwas pantotenowy, ryboflawinę, niacynę, biotynę i kwas foliowy.

Lista korzyści zdaje się nie mieć końca: agenda ONZ ds. Wyżywienia i Rolnictwa jest zdania, że owady mogą nawet chronić przed otyłością.

– W tym przypadku chodzi o zmniejszenie ilości tłuszczu, a zwiększenie ilości białka w posiłku. Na porcję. W przypadku konika polnego to zaledwie 96 kcal, przy czym tłuszcz stanowi tylko 16%, a dla steku wołowego będzie to 285 kcal i 48%. Co do zasady owady zawierają średnio od 10% do ponad 30% tłuszczu w suchej masie – najbardziej kaloryczna, co też przebadano, jest zielona mrówka, zwana mrówką tkaczką (1272 kcal/100 g).

A najmniej?

– Larwa jedwabnika morwowego (94 kcal/100 g). Przy czym, co też wiadomo, 80% tłuszczu owadziego to triacyloglicerole, pozostałe 20% to fosfolipidy. Ten pierwszy jest korzystny w diecie, w porównaniu z tłuszczem zwierzęcym, bo kwasy



▶ arachidonowy, linolenowy i linolowy wspierają prawidłową pracę układu krążenia, funkcjonowanie i rozwój mózgu, a także zdrowie skóry. A jakby tego było mało, korzystny wpływ na nasz organizm może mieć chityna, która działa jak błonnik – reguluje pracę jelit oraz ogranicza wchłanianie tłuszczów i cukrów.

Nawet gdyby, to nie jest rozwiązaniem dla wszystkich – chityna może powodować alergię. Szczególnie u osób uczulonych na skorupiaki.

– Nie pojawiają się one jednak częściej niż w przypadku innych produktów spożywczych. Ale tak, trzeba mieć to na uwadze. Dlatego lepiej w ogóle usuwać chitynę, szczególnie tam, gdzie jest jej najwięcej, czyli np. u szarańczy. Stanowi ok. 27% jej suchej masy.

To niejedyne ryzyko. Owady mogą zawierać organizmy patogenne.

– Nie tylko, bo także metale ciężkie i pozostałości pestycydów. Ale nie jest ich więcej niż innych zanieczyszczeń w żywności, poza tym ich zawartość często nie przekracza dopuszczalnych poziomów wyznaczonych dla innych produktów spożywczych. Dużo większym zagrożeniem mogłaby być dla nas mikroflora zasiedlająca układ pokarmowy insektów, co w niesprzyjających warunkach może powodować rozwój bakterii chorobotwórczych. Ale badania pokazały, że liczba tych ostatnich jest porównywalna z tymi w nieprzetworzonej żywności, która ma kontakt z glebą.

A wirusy na owadach? Grzyby? Drożdże? Pasożyty i choroby przez nie wywoływane?

– Zagrożenie to można zminimalizować przez obróbkę termiczną i sam sposób produkcji, w tym hodowlę w warunkach kontrolowanych. Uprzedzając kolejne pytanie: owady produkujące substancje toksyczne, w tym kwas mrówkowy, cyjanowodór, glikozydy nasercowe i toluen, także można się nauczyć odróżniać. Tak jak grzyby, wśród których są i jadalne, i niejadalne.

Łatwo nie będzie, literatura opisuje ponad 2 tys. jadalnych gatunków.

– A ich większość spożywana jest w regionach tropikalnych. Najchętniej sięga się po nie w krajach Afryki, Azji oraz Ameryki Łacińskiej – to aż 3071 grup etnicznych w 130 krajach. Im jednak dalej od równika, tym za interesowanie mniejsze.

Oprócz chrząszczy, koników i mrówek mogą to być też larwy ćmy, termity i inne wprost z głębokiego tłuszczu...

– ...karaczany, pszczoły i osy, jedwabniki, ważki, pluskwiaki, muchy, gąsienice mopane – szczególnie polecane kobietom w ciąży i podczas laktacji. Ale nie zapominajmy, że owady znane są w kulinarniej historii Europy.

Owady to nasza przyszłość. Tyle że nie jesteśmy jeszcze na to przygotowani.

Cykadami zajadali się starożytni Grecy, obficie popijając je winem, a np. świerszczami Rzymianie.

– W Polsce średniowiecznej z owadów – o czym wie niewiele osób – produkowano kwas karminowy (dziś to barwnik koszenila). Z wysuszonych i zmielonych czerwców polskich. Mało tego, z Europy, która teraz jest głównym hamulcowym, pochodzi więcej ciekawych przykładów. To choćby kandyzowane chrząszcze czy zupa z chrząszczy majowych, którą robiło się na bulionie i podawało z wątróbką – przepis do dziś można znaleźć w sieci; na porcję dla jednej osoby potrzeba ok. 30 chrabąszczy.

Inny przykład: ser *casu marzu*, produkt regionalny z Sardynii. Za jego dojrzewanie odpowiadają larwy muchy. Jeśli są żywe i wyskakują podczas krojenia sera, śmiało można go jeść. Jeśli nie, nadaje się on już tylko do wyrzucenia.

Generalnie owady są najliczniejszą i najbardziej różnorodną grupą zwierząt na świecie. Ich

populacja liczy 6-10 mln gatunków (sklasyfikowano jedynie ok. 1 mln). Najczęściej sięga się po chrząszcze (31%), gąsienice motyli (18%), błonkówki, czyli pszczoły, osy, mrówki (14%), prostoskrzydłe, pod którymi ukrywają się: koniki polne, szarańcze i świerszcze (13%) oraz pluskwiaki (10%). Rzadziej po termity i ważki (po 3%) i muchówki (2%).

One też wkrótce trafią na listę pod hasłem jedzenie przyszłości?

– Niewykluczone, bo w kolejce do miana tzw. nowej żywności czeka jeszcze 14 gatunków. Wśród nich m.in. świerszcze, a także szarańcza – świeża i suszona. Sam termin nowa żywność oznacza produkty, które nie były stosowane na szeroką skalę w UE w celach konsumpcyjnych przed 15 maja 1997 r. Może to być zarówno żywność nowo opracowana, jak i wyprodukowana z zastosowaniem nowych technologii i procesów produkcji.

Na jakiej podstawie insekty klasyfikuje się w ogóle jako nową żywność?

– Decyzja Rady UE to przede wszystkim efekt prac Europejskiego Urzędu ds. Bezpieczeństwa Żywności (EFSA), a także wielu badań: składu i sposobu produkcji, bezpieczeństwa stosowania w diecie. Oprócz unijnego rozporządzenia niektóre państwa wprowadzają własne regulacje prawne. W efekcie produkty z owadów są od lat dostępne w supermarketach w Holandii, Belgii, Wielkiej Brytanii i Danii.

Dlaczego w takim razie Rada UE dopiero teraz wpisała je na listę?

– Swoje zrobiły ekonomia i ochrona środowiska, najkrócej mówiąc. Raporty pokazały, że konieczne będzie zwiększenie produkcji żywności o 70%, bo do 2050 r. na świecie żyć będzie ok. 9 mld ludzi (w marcu zeszłego roku było prawie 7 mld). Tyle że arealy rolne mogą się powiększyć maksymalnie o 20%. Poza tym chów zwierząt okazuje się nieefektywny i drogi.

Do produkcji 1 kg wołowiny potrzeba ok. 22 tys. litrów wody.

– W przypadku wieprzowiny będzie to 3,5 tys. litrów, a drobiu – 2,3 tys. A jakby tego było mało, produkcja mięsa przyczynia się do negatywnych zmian klimatycznych – przemysłowy chów odpowiada za 18% emitowanych gazów



cieplarniach, podczas gdy transport „jedynie” za 13%. Inne wyliczenia mówią: do produkcji 1 kg mięsa wołowego potrzeba aż 7,7 kg paszy, wieprzowego – 3,6 kg, podczas gdy do wyhodowania 1 kg świerszczy – 1,7 kg. Co też ważne, te ostatnie możemy żywić produktami odpadowymi z przemysłu owocowo-warzywnego. Wytłokami, obierkami i tymi częściami roślin, których sami nie zjadamy. Dalej: owady mają wysoki potencjał rozrodczy, szybki wzrost i krótki cykl życiowy, przez co ich hodowla jest łatwa i szybka. Poza tym jadalne jest ok. 80% części owadów, podczas gdy w przypadku bydła tylko 40%, a trzody chlewnej – 55%.

Czyli ma być ekologicznie, tanio...

– ...ale też zdrowo i smacznie. Suszone larwy mącznika, ale także mrówki i termyty, przypominają w smaku orzechy, a pachną jak prażony boczek. Karaczany są z kolei jak grzyby, szarańcza – jak krewetki, pluskwiaki – jabłka, larwy ważek – ryby, larwy korników – tłuste mięso, a larwy pleśniakowca – chleb pełnoziarnisty. Poza tym ma być estetycznie.

Słabo to widzę – żółte larwy mają być dostępne w całości albo w postaci sproszkowanej.

– Ale również jako składnik makaronu, ciastek czy ekologicznych chlebów. Poza tym w sprzedaży – głównie internetowej – są batony proteinowe z mieszanką różnych gatunków owadów, lizaki z larwami bądź czekolada z szarańczą.

To jednak nadal wielu nie przekona: 52% kobiet i 32% mężczyzn mówi wprost: „Spożywanie insektów jest odrażające”. 67% kobiet w ogóle nie zaakceptowałoby ich w swojej diecie.

– Nic dziwnego, w naszej kulturze to tabu. Owady kojarzą się nam z przenoszeniem chorób i brudem – mam na myśli głównie larwy muchy czy karaluchy. No i mamy, co też nie bez znaczenia, łatwy dostęp do innych źródeł białka. Ale da się to przeskoczyć.

I co bytoby w stanie przekonać Polaków do jedzenia owadów? Bo na razie popularne są wpisy: „Ach, no

tak, zanim przestawimy żołądki na kasztany, szyszki i takie tam, to najpierw będą robaki”.

– (śmiej) W grę wchodzi eksperymenty kulinarne – wielu skusi się na nowości. Często piekłam z członkami Studenckiego Koła Naukowego Kuchni Molekularnej brownie z larwami mącznika młynarka albo robiliśmy blok

Suszone larwy mącznika, ale też mrówki i termyty, przypominają w smaku orzechy, a pachną jak prażony boczek.

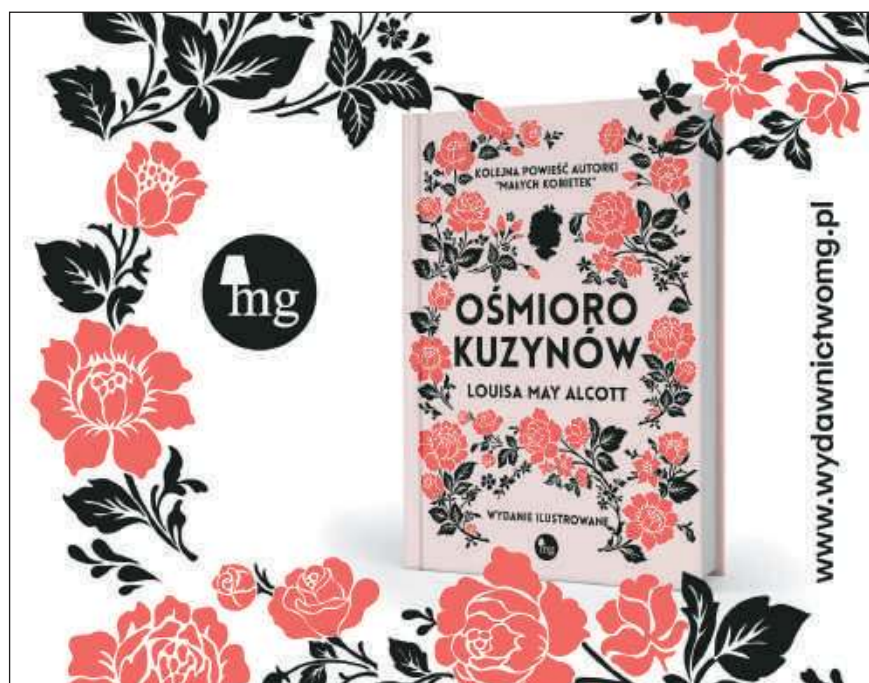
czekoladowy z prażonymi larwami tego owada. Dawały efekt chrupkości. Poza tym owady coraz częściej znajdują się w menu restauracji – głównie jako ekskluzywne dania. A to dlatego, że można je przecież prażyć, smażyć, wędzić, piec... możliwości jest dużo. W Holandii powstała nawet książka kucharska z przepisami z owadów (Arnold Van Huis, Henk Van Gurp, Marcel Dicke „Het

insectenkookboek”). Niewykluczone więc, że pokonają one tę samą drogę do stołu co sushi, które przyszło do Polski w latach 80. Na początku uważano, że to coś obrzydliwego. „Surowa ryba, jak to w ogóle można jeść”, mówiono. Potem było ono zarezerwowane dla elit, a dziś stało się na tyle popularne, że pudełko sushi możemy kupić w niemal każdym markecie.

Prognozy są optymistyczne: do 2030 r. liczba Europejczyków, którzy próbowali owadów lub produktów z owadami w składzie, wzrośnie do 390 mln – z 9 mln w 2019 r.

– Już teraz Polacy, choć nie są tego świadomi, zjadają według niektórych statystyk ok. 0,5 kg owadów rocznie. Podczas snu, jazdy na rowerze czy np. z różnymi produktami spożywczymi, z których nie zostały one usunięte. Z grzybami, owocami, warzywami... Dalsze zmiany przyjdą z czasem, przy czym w pełni zgadzam się z René Redzepim, to szef kuchni w kopenhaskiej restauracji Noma, która kilkakrotnie została uznana za najlepszą na świecie. Tak, też serwuje owady, w tym mrówki. W jednym z filmów Redzepi stoi na łące, trzyma na ręku konika polnego i mówi krótko: „Owady to nasza przyszłość. Tyle że nie jesteśmy jeszcze na to przygotowani”.

Dorota Bartosewicz



Zakochana Osiecka, Semkow i chór wczasowy,
Wiłkomirska ze stradivariusem, Lipińska i koguty, czyli...

Wakacje prawdziwych gwiazd

Krystyna Gucewicz

Fama o Famie

W Świnoujściu zawsze można zawieść oko na tym i na owym, ale najpierw trzeba się tam dostać. Przeprowa przez Świnę na wyspę Uznam to już pierwsza atrakcja. Wsiadasz z auta czy z pociągu w Międzyzdrojach, a tu koniec świata, ład się kończy. I stwierdzasz to absolutnie na trzeźwo.

Weźmy byka za rogi – trzeźwość nie była mocną stroną kilkudziesięciu tysięcy młodych ludzi, podróżujących po Polsce stopem. Lata 60. i 70. miały to do siebie, że się żyło, piło i paliło. Taki los.

Z ust do ust przekazywano sobie żarcik – usprawiedliwienie, zawsze się sprawdzał w obliczu nadciągającej awantury.

Facet wraca do domu nad ranem w stanie wyraźnie wskazującym na spożycie. Otwierają się drzwi i słyszy mało oryginalne pytanie:

- Gdzie byłeś?
- Na nartach! – rzuca.
- W lecie na nartach?
- Tak, kochanie. Taką wersję przyjąłem i tego się będę trzymał.

Słodkie, prawda?

Kierunek morze był najpopularniejszy. Wystarczyły namiot, szczoteczka do zębów i – *Plaża, dzika plaża, morze dookoła*.

Punkty dodatkowe miało się za gitarę – znowu wszystko przez Karin Stanek:

Chłopak z gitarą byłby dla mnie parą – śpiewała z taką energią, że mogły się przepalać żarówki na deptaku.

W tym samym czasie Roman Gercaz, w czepku urodzone dziecko estrady i kabaretu, wylansował piosenkę *Żeby tak chociaż raz zwariować*. No i stało się. Do Świnoujścia w 1966 r. wprowadziła się FAMA. Festiwal Artystyczny Młodzieży Akademickiej. Były to lata, kiedy kultura studencka spod znaku ZSP (Zrzeszenie Studentów Polskich) zrewolucjonizowała oficjalną sztukę, teatr i estradę. Modę i styl dyktowały kabarety, big-beat i jazz, o czymś takim jak disco polo nikt nie słyszał w najczarniejszych przepowiedniach.



Fama natychmiast stała się burzą, której nikt przez lata nie uciszył, ba, huraganem, który zmiotł szmirę i nudę. Roztańczona plaża, zatłoczone ulice, kolorowy, roześmiany tłum, koleżanki i koledzy z klubów studenckich całego kraju, którzy za moment mieli stać się największymi gwiazdami, najwybitniejszymi nazwiskami w sztuce końca XX i początku XXI w. Artystyczna mafia.

Jazz w pakiecie, wystawy, etiudy z łódzkiej Filmówki i już od pierwszego festiwalu konkurs kabaretów o Trójzab Neptuna. Świnoujście co roku pękało w szwach – co najmniej 500 wykonawców i kilka tysięcy widzów. Na galę do amfite-

atru, obliczonego na 3,5 tys. miejsc, udawało się wtłoczyć 8 tys. Parada młodości. Coś niepowtarzalnego. (...)

Kto był? – wszyscy. Kultowe kabarety od Hybryd i Stodoły do Elity, Teya i Salonu Niezależnych. Głośne teatry – STU, Ósmego Dnia, Kalambur. Plejada piosenkarzy – Marek Grechuta, Magda Umer, Kazimierz Grześkowiak (*Chłop żywemu nie przepuści*), Michał Hochman (*Konik na biegunach*), Bogusław Mec (*Jej portret*), Tadeusz Woźniak (*Zegarmistrz światła*), nie mówiąc już o Urszuli Sipińskiej, Zdzisławie Sońnickiej, Andrzeju Sikorowskim. Z warszawskiego Medyka przyłączyła się Grupa Rh(-) z oratorium beatowym, do którego muzykę skomponował Zbigniew Hołdys (Perfektu nie było jeszcze na horyzoncie).

Skrzyknęli się też poeci różnych pokoleń: Wisława Szymborska, Tadeusz Różewicz, Edward Stachura. I młodzi – dziś nazwiska w encyklopedii: Ryszard Krynicki, Leszek Aleksander Moczulski, Adam Zagajewski, Krzysztof Karasek. Na plaży koncerty studenckich zespołów pieśni i tańca, w muszli koncertowej chóry akademickie, parady na deptaku. Co tu kryć, na Famie było bosko. (...)

Oto relacja naocznego świadka, opublikowana w piśmie „Student” uznawanym za niezależne czy wręcz oficjalnie opozycyjne. Spisana (1972) nie była jakim piórem. Donosił Tomasz Łubieński:

Mieszkańcy i wczasowicze zamieszkali przy ulicach Hołdu Pruskiego, Chopina i Bohaterów Stalingradu zwracają się z usilną prośbą o zlikwidowanie barbarzyńskich praktyk, na jakie pozwala sobie sławetna „Fama”

w budynku hali sportowej przez całą noc, niemal do świtu.

Jeżeli ci młodzi ludzie nie pogłuchli od tych wrzasków, to im tego z całego serca życzymy, jak również życzymy im bardzo wielu rzeczy, których już wymienić nie wypada.

**FAMA natychmiast
stała się burzą, której nikt
przez lata nie uciszył, ba,
huraganem, który zmiotł
szmirę i nudę.**



Agnieszka Osiecka – najprawdziwsza wodniaczka, 1965 r.

potem relację, jak to za drzewem czaił się mąż z kłonicą, jak to Szczupacz-kiewicz przybywał rycersko ze swoim drągiem i rozpoczynała się bitwa. Podobno przez długi czas obydwoj nie mieli gładkich twarzyczek, raczej pokiereszowane. Cóż to miłość czyni z człowieka...

Żeby wyjaśnić zawitości towarzyskie, należy pilnie słuchać opowieści o „wakacjach kultowych”, jak mawiała Agnieszka Osiecka.

Tadeusz Rokosz-Szczupaczekiewicz. Z pochodzenia Galicjanin, potem bradiga, nauczyciel rysunku, piniacz, człowiek skłócony z całym światem. Któregoś dnia wsiadł w kajak i tak długo się kręcił, aż osiadł w rozpadającej się rybaczówce nad szmaragdowym Jeziorem Nidzkim. Odtąd można było u niego przenocować, pożyczyć łódkę, albo po prostu położyć się na kładce i bredzić. „Można było” to za dużo powiedziane, bo Tadeusz z nami też był skłócony, rozkapryszony i humorzysty. W złe dni potrafił nas szczuć swoimi wygłodzonymi psami. Któregoś dnia – ponoć na ślizgaczu – wziął ślub ze słodką jak pączek Izą i jego psy przestały być głodne... Po paru latach do grupy krzyżackich dziwadeł dołączył Staszek Tym i wierny mu Jurek Dobrowolski – satyryk, gejzer inteligencji, ale w środku ogromnie nieszczeniwy człowiek.

Agnieszka Osiecka,
Na początku był negatyw

„Fama” w dzień wystawia megafony na ulice i ryczy w sposób przekraczający wszelkie granice – oto fragmenty listu, skierowanego do Powiatowej Rady Narodowej w Świnoujściu i podpisanego czytelnie przez 32 stałych i sezonowych mieszkańców miasta.

Oczywiście racji nie sposób im odmówić. „Fama”, czyli Festiwal Artystyczny Młodzieży Akademickiej, siódmy z kolei, powinna każdej takiej skardze, choćby jednostkowej czy anonimowej, zadośćuczynić. Tym bardziej że w miarę dalszego rozwoju „Famy” podobne sytuacje konfliktowe mogą się zdarzyć, a zresztą między tzw. dojrzałym społeczeństwem a studentami istnieje psychologicznie usprawiedliwione prawdopodobieństwo napięcia. Obywatelstwo rodzinne przemysłowe a lekkim losie studenta, ten ostatni z kolei wieتری mieszczucha w nieco starszym i stateczniejszym współrodaku. (...)

Lanie w Praniu

Przyjeżdżali, kupowali, budowali, meblowali. Wszyscy odwiedzali wszystkich, ale czasami tylko niektórzy niektórych – romanse kwitły na potęgę, albowiem one są sensem młodości.

Jerzy Iwaszkiewicz, dla ułatwienia: Iwaszko, przysięga, że największą legendą romansową Krzyży i Prania pozostaje historia zakochanego Szczupaczekiewicza. Iwaszko co roku jeździ i sprawdza, czy pamięć trwa. Fakt: plażę u pani Szczupaczekiewiczowej wspominają do dziś dzieci i wnuki bywalców z tamtych lat. Ale wtedy Szczupaczekiewicz, malarz, rybak, pisarz, człowiek wielu kolorów, zapałał uczuciem wcale nie do przyszłej Szczupaczekiewiczowej, tylko do kucharki z Prania. Sęk w tym, że była mężatką i chłop pilnował swojej kobiety ze wszystkich sił. To znaczy przepędzał adoratora, czym tam miał. Szczupaczekiewicz nic, tylko pakował się na łódkę, przepływał do wybranki, mimo ostrzeżeń i doświadczenia, że za każdym razem czeka go lanie w Praniu. Iwaszko z Jerzym Dobrowolskim zdawali

Przyjeżdżali, kupowali,

budowali, meblowali.

Wszyscy odwiedzali

wszystkich, ale czasami

tylko niektórzy niektórych.

We wspomnieniach Henryka Malechy (...) pozostał romantyczny landszaf mazurski z Osiecką w tle. Przyjeżdżała, a jakże, z ferajną Studenckiego Teatru Satyryków, doprowadzając uczucia kolegów do stanu wrzenia. To były początki, studencka bieda, dzikie jezioro, ogniska w zatoce. Agnieszka fotografowała nałogowo, fascynowała ją „rzewne światło mazurskie” i krowy, które łąziły wszędzie jak w Indiach, i to było niezwykle. Dziewczyny udawały Świtezianki, kąpały się w oczkach wodnych w lesie, królowała fantazja i beztroska. Osiecka zawróciła w głowie Andrzejowi Jareckiemu (nieustannie przywołuje się tu tylko nazwiska z encyklopedii). Któregoś dnia czekał na jej przyjazd, wyprawił się nawet na spotkanie w drodze do Karwicy Mazurskiej. A dziewczyna, owszem, była w podróży, tyle że właśnie pojechała... do Łodzi, na studia do Filmówki.

Dziewicze Krzyże. Mowa o przełomie lat 50. i 60. – jak wszyscy pamiętają zgodnie i sentymentalnie, tego raju było może z dziesięć lat. I było przyjacielsko oraz sielankowo.

O dziwo, ludzie sztuki, artyści traktowali Mazury jako dom pracy twórczej. Hulanki i swawole działały się przy okazji. Pasjanse towarzyskie – owszem, mile widziane. Alkohol – naturalnie, służy każdemu. Romanse też – Iwaszkiewicz wie, co mówi, bo w owym czasie skuterkem osa udawał



Autorka na wakacjach.

Napisała tam mnóstwo piosenek, tę najbardziej pamiętaną też. Do dziś trwają spory potomnych, komu była dedykowana. Czy urodziwemu leśniczemu o zielonych oczach, czy może Jeremiemu Przyborze w czasach gorącego romansu.

Na całych jeziorach ty
O wszystkich dnia porach ty
W marchewce i w naci ty
Od Mazur do Francji ty.

Później przyjeżdżała z dziennikarzem „Polityki” Danielem Passentem i ich córką Agatą. Odwiedzała ich Elżbieta Czyżewska, która też należała do rodziny STS-u. Znalazła się w teatrze jeszcze jako studentka, dzięki wyjątkowemu pozwoleniu warszawskiej szkoły teatralnej. Był rok 1958, w programie *Bal maskowy* Czyżewska śpiewała niezapomnianą dramatyczną piosenkę Wojciecha Solarza i Agnieszki Osieckiej *Kochankowie z ulicy Kamiennej*. W teatrze była ze dwa sezony, dużo, dłużej na Mazurach u przyjaciół.

No i przede wszystkim byli Markusze. Guru Jerzy Markuszewski z żoną Zofią Góralczyk. To ona, wytrawna scenografka, zaprojektowała i postawiła scenkę – estradę u Gałczyńskich w Praniu. Tam grali, śpiewali. U Markusza w domu był salon, pod sufitem fruwały cytaty z filozofów i specyficzne żarty. Zawsze groteska, kpina, ironia, absurd w tle. (...)

Ktoś zapamiętał dowcipny dialog męża i żony, przywieziony przez Leszka Kołakowskiego. Opowiadała Wanda Wiłkomirska, niezwykła artystka i piekielnie dowcipna kobieta.

On się pyta żony:
– Chciałabyś być mężczyzną?
– A ty?

Sporo z tych klimatów przedostało się na deski Studenckiego Teatru Satyryków. W drugim programie *Prostaczkowie* rzeczywiście pojawiły się piosenki Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, tłumaczenia z Szekspira, ze *Snu nocy letniej*. Z pewnością były to czasy pionierskie. Oto drukowane (w książkowym nakładzie) świadectwo Stanisława Tyma:

Gdy po drugiej wojnie Polska wzbogaciła się terytorialnie o Warmię i Mazury, nad Jezioro Nidzkie do leśniczówki Pranie zaczął przyjeżdżać Konstanty Ildefons Gałczyński. Od 1949 r. do Gałczyńskiego zaczęli przyjeżdżać studenci z Warszawy – ot tak, żeby zobaczyć się z Poetą, porozmawiać lub po prostu wypić wódkę. Gałczyński pisał, trochę pił – studenci tylko pili i było bardzo przyjemnie. Potem Mistrz przeniósł się w zaświaty, a studenci, którzy go odwiedzali, urządzali pierwszy w Polsce Studencki Teatr Satyryków w Warszawie. W teatrze tym spędziłem kilkanaście lat. Gałczyńskiego już nie było. Sami musieliśmy pić i sami musieliśmy pisać.

Stanisław Tym, *Mamuta tu mam. Utwory zebrane spod łóżka*

Fragmenty książki Krystyny Gucewicz *Wakacje gwiazd w PRL. Cały ten szpan, Muza SA, Warszawa 2021*

się w zaloty z Rucianego do Ewy Putramentówny. Ale przede wszystkim zjeżdżało się tutaj na niebanalne artystów rozmowy. Henryk Malecha, zwany Ojcem Założycielem STS-u, gotów jest przysięgać, że pracowało się nawet nad scenariuszami nowych przedstawień na warszawską scenę. Naturalnie nie za biurkiem, tylko w Praniu.

Jerzy Semkow, już wtedy międzynarodowej sławy dyrygent, stworzył chór wczasowy. Stanisław Tym napisał mu słowa, ferajna śpiewała do upadłego. Na polanie w lesie Wanda Wiłkomirska grała na swoim stradivariusie kujawiaka Wieniawskiego, muzyka niosła się po jeziorze. (...)

Było biednie i cudnie. Zamiast łazienki jakaś miska, dzbanek, woda ze studni. Obiady gotowała siostra urodziwego leśniczego Stanisława Popowskiego. Gościnne kąty udostępniali Andrzej Jarecki z Marysią Chrzęszcz, gwiazdą kabaretu Malechy „Fioletowy Księżyc”, który po przedstawieniach STS-u zatrzymywał widzów na swoich happeningach artystycznych. Ścisłe grono przyjacielsko-artystyczne tworzyli Andrzejostwo Drawiczowie, Barbara Wrzesińska i Krystyna Sienkiewicz oraz ich szefowa z legendarnego, wspominanego do dziś telewizyjnego kabareciku, Olga Lipińska, która na Krzyżach próbowała reżyserować okoliczną florę i faunę. Krążyły wieści, że składała petycję u sołtysa w sprawie uciszenia kogutów, które zakłócają sen, bo pięją zbyt wcześnie rano.

Agnieszka Osiecka była od zawsze. Była też najprawdziwszą wodniaczką, pływała po jeziorach kajakiem, później już cumowała nad Nidzkim motorówką, którą nazwała „Mister Paganini” – na cześć Elli Fitzgerald i jej wielkiego przeboju. Przyjeżdżała, zakochiwała się, jak wszyscy.

Skoro wreszcie o grzechach mowa, trzeba koniecznie zapisać, że Mazury były w owym czasie także olbrzymią, zieloną, pełną natchnionych szeptów, poślubną i bezślubną – sypialnią. To tam przyjeżdżaliśmy z pierwszymi dziewczynami i chłopcami, i tam, obok chichoczącej w duchu szyski, obok oniemiałej sowy, obok zdumionej sarny szeptaaliśmy swoje pierwsze „nigdy” i „zawsze”, i tam przysięgaliśmy, że do końca życia będziemy wierni zagubionej w puszczy stacji Karwicy.

Agnieszka Osiecka, *Szeptni czterdziestoletni*

**Ludzie sztuki traktowali
Mazury jako dom pracy
twórczej. Hulanki i swawole
działy się przy okazji.**

Kto się boi ambasadora?

Do Polski ma przyjechać nowy ambasador USA. Pisałmy już o tym, ale parę słów warto dorzucić.

Zacznijmy od tego, że tym nowym ambasadorem będzie Mark Brzeziński, syn Zbigniewa Brzezińskiego i ważna postać w obozie Partii Demokratycznej. Od lat. Za prezydentury Billa Clintona Mark Brzeziński zajmował się w Białym Domu koordynacją programów pomocy krajom Europy Środkowo-Wschodniej w umacnianiu demokracji i rządów prawa. Był członkiem Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Był też doradcą prezydenta Obamy, specjalizując się w sprawach wsparcia dla amerykańskich firm funkcjonujących w krajach rządzonych przez autorytarne reżimy. A w dyplomacji doszedł do stanowiska ambasadora w Sztokholmie.

Hm... Dla pisowców nie brzmi to obiecująco, więc podjęli działania, by kandydaturę Brzezińskiego utracić lub przynajmniej odsunąć w czasie. Te działania to przeciąganie procedur związanych z przyznaniem ambasadorowi *agrément*.

O co chodzi? Jak informowały media, Stany Zjednoczone zwróciły się do Polski z oficjalną notą w sprawie przyznania *agrément* Markowi Brzezińskiemu w połowie czerwca. Możemy zakładać, że zwróciły się już wcześniej, bo amerykańskie media pisały o Brzezińskim jako kandydacie prezydenta Bidena już w maju. I trudno uznać taki przeciek za przypadek.

W Polsce od momentu złożenia noty (z załączonym CV) do wydania *agrément*, gdy chodzi o kraje zaprzyjaźnione, mija około dwóch tygodni. Procedura jest prosta – Protokół Dyplomatyczny rozsyła kopie noty do Kancelarii Prezydenta i do KPRM, a po paru dniach otrzymuje informacje zwrotne. I na ich podstawie... No właśnie, co na ich podstawie?

Z reguły są to informacje typu „nie mamy zastrzeżeń”, więc *agrément* jest udzielane. Ale gdy państwo z jakichś powodów nie chce go udzielić, wtedy milczy. I tak mija jeden tydzień, drugi, miesiąc, drugi miesiąc i państwo wysyłające notę orientuje się, że musi szykować kogoś innego. Polska PiS taką metodę próbowała zastosować wobec Niemiec, a teraz chciała tak pograć z Amerykanami. Ale ci szybko się zorientowali (grunt to mieć dobre źródła informacji) i zagrali mediami.

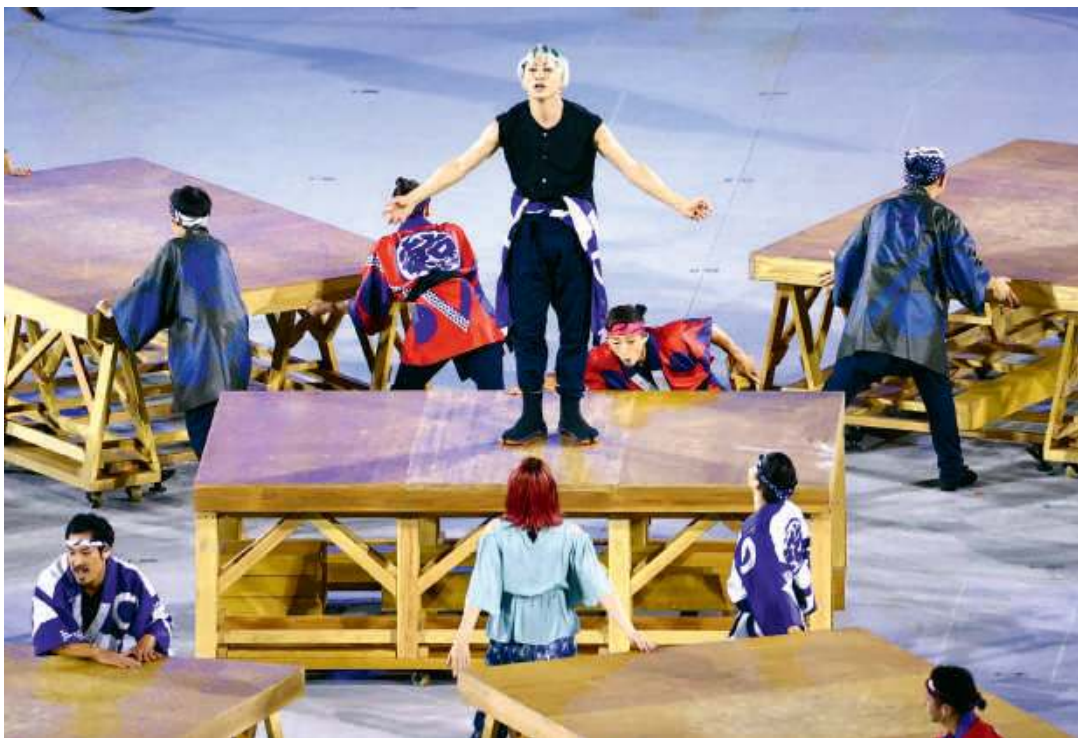
I mają sukces, choć połowiczny – bo jeden z polskich wiceministrów oświadczył, że Mark Brzeziński dostanie *agrément*, ale we wrześniu. Policzmy: zgodę powinien mieć *de facto* jeszcze w czerwcu, a będzie miał dwa-trzy miesiące później. Jest to bardzo nieprzyjemny gest.

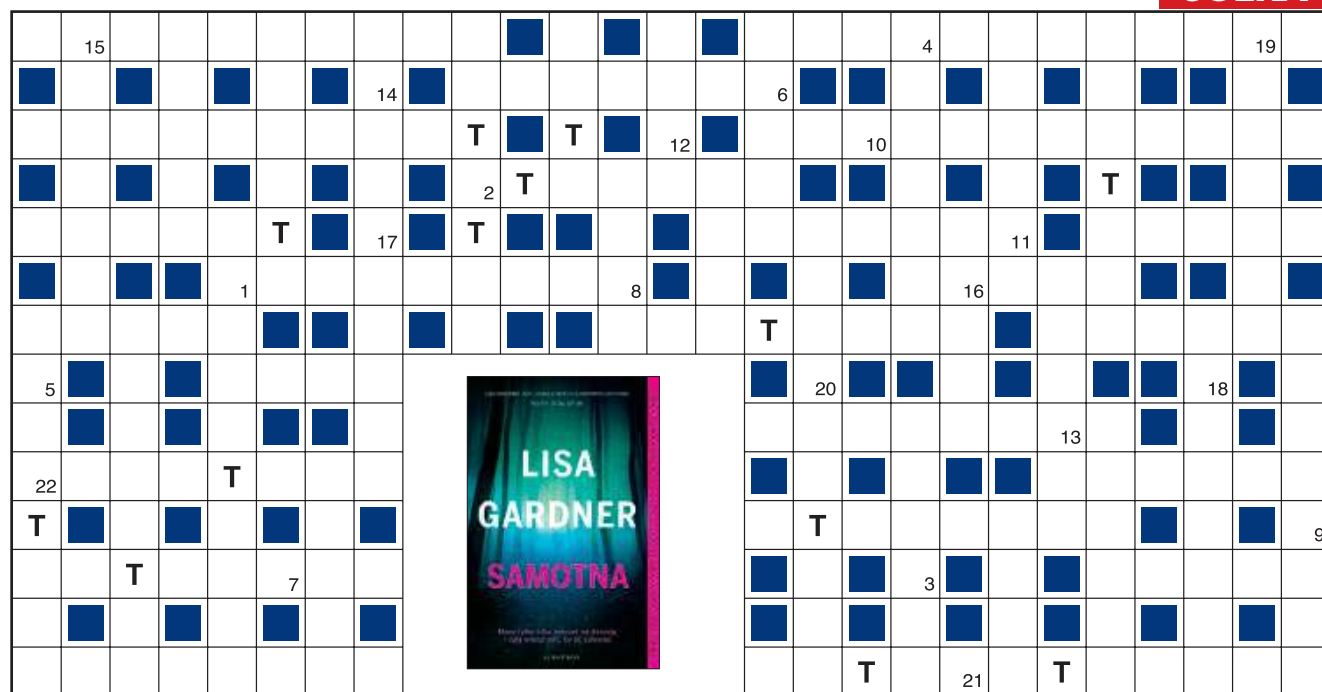
A teraz krótki kwiz – dlaczego PiS chce tak przeciągać sprawę nominacji ambasadora? Czy przypadkiem nie ma to związku z planowanym wywłaszczeniem TVN? Łatwiej przeprowadzić taką operację bez ambasadora USA w Warszawie. Kiedy Mark Brzeziński już przyjedzie, pozostanie mu tylko doprowadzić do odpowiedniego odszkodowania. Na przykład zakupu 51% akcji TVN przez konsorcjum banków państwowych oraz KGHM i Orlen/Lotos za trzy razy więcej, niż amerykański inwestor zapłacił za 100% akcji – cenę, która zaspokoi roszczenia finansowe koncernu Discovery. Zawarta też zostanie ugoda międzyrządowa uwzględniająca roszczenia USA z powodu naruszenia wzajemnych umów. Nie trzeba będzie nawet arbitrażu w Sztokholmie. To wszystko zapłacimy oczywiście oprócz 24 mld zł za czołgi Abrams, kilkudziesięciu miliardów za F-35 i kilku miliardów rocznie za części zamienne.

Ile w tej teorii jest prawdy? Za chwilę się przekonamy...

Attaché

Część artystyczna ceremonii otwarcia igrzysk w Tokio, 23 lipca 2021 r.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pół ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- admirał, wielbicielka
- sztuka cyrkowa lub dziedzina sportu
- Indianin ze szczepu Chiricahua
- Europejczyk z Gruzji lub Klagenfurtu
- kucany wśród zabaw dziecięcych
- odwaga na pokaz

- zawadiactwo, zuchwałość
- duże drewniane wiadro
- specjalistka od komponowania układów tanecznych
- fiaker, dryndziarz
- sabaudzka lub serial o rodzinie Carringtonów
- szczególnie aktywny w partii

- z lampy, też z butelki, ale nie jałowcówka
- alergiczna choroba skóry
- wzruszenie ściska za nie
- do zgarniania opadłych liści
- ptak czczony przez starożytnych Egipcjan
- stworzonko, kruszynka
- łączy na mapie punkty o jednakowej wartości ciśnienia
- Polski... Plebiscytowy z Korfantym na czele
- ...Adwentystów Dnia Siódmego
- rodacy
- naszyta na łokciu marynarki

- i bogaty szlachcic, i potentat przemysłowy
- nauczycielka tłumacząca równanie kwadratowe
- Przemysł albo Pisz
- potocznie o kierunkowskazie
- atak lub uszu
- zagranica
- zimne – druciki oklejone masą iskrzącą
- część lunety, mikroskopu
- na... łez, czyli na pocieszenie
- i obliczanie, i o księgowości
- korozja lub choroba roślin
- posiadacz szczęk ze „Szczęk”
- ...Odrzańska – zatoka Zalewu Szczecińskiego

- wełnista sierść pokrywająca skórę
- nie dla psa kielbasa, ono nie dla kota
- rewolwer na ślepaki
- drapieżne psowate, złociste są już w Polsce
- buduje i naprawia łódzie
- skrzydła koźlaka lub paltraka
- był ją kształtuje u Marksa
- krągnobność, trwanie przy swoim
- taniec wirów pochodzenia niemieckiego
- serwis informacyjny TVPIS
- książę pomocnik proboszcza
- aktor Cybulski, poeta Herbert
- ogórkowa, grzybowa, nawet nic

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1023”. Do rozlosowania książki „Samotna” ufundowane przez Wydawnictwo Albatros. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 1 sierpnia 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1020” z nr. 28: *Od czekania dusza rdzewieje.*
Nagrody otrzymują: Halina Kociołowicz z Probostwa Górnego, Jolanta Nowak z Bełchatowa, Elżbieta Urbańska-Galewska z Gdyni.

PENETRACJE

Press

ANDRZEJ SKWORZ,
REDAKTOR NACZELNY

Polski Dziennikarz Roku siedzi w więzieniu, a media, które przed laty nadały mu ten tytuł, dziś o nim zapomniały. Kiedy tłumnie i słusznie relacjonowały uwięzienie Romana Protasiewicza, Andrzej Poczobut siedział już od dwóch miesięcy. Nie powstają o nim w redakcjach audycje ani filmy. Są wprawdzie trzy plakaty z jego twarzą, ale nikt nie naciska, by europejscy dyplomaci stawali na głowie w sprawie jego zwolnienia, nikt nie pojechał do Brukseli, by dać się zamknąć w klatce przed budynkiem unijnych biurokratów. Nikomu nie chce się zrobić choćby popierających go memów, nikt nie zbiera pieniędzy dla jego najbliższych. Nie jest celebrytą. To tylko dziennikarz.

ZDANIE

PROF. ALEKSANDRA
JASIŃSKA-KANIA,
SOCJOLOŻKA

Mój brat Jan, który między 1978 a 1981 r. był ambasadorem polskim w RFN, opowiadał, że kiedy prymas Wyszyński przyleciał do Bonn, doszło do ich spotkania. Brat używał już od dawna, jeszcze od czasu studiów, nazwiska Chyliński – za radą ojca (Bolesław Bierut), żeby nie był traktowany jako specjalnie. Wyszyński w rozmowie z Jankiem powiedział mu, że wie, kim był jego ojciec, a wspominając swoje z nim dawne spory i kontakty, stwierdził: „Były to trudne czasy, ale Polska miała szczęście, że władzę sprawował wówczas człowiek o wysokiej kulturze osobistej. Może być pan dumny ze swojego ojca”.

TPR

Tygodnik Poradnik
ROLNICZY

KAROL OKRASA,
ZARZĄDZA WAR-
SZAWSKĄ RESTAU-
RACJĄ PLATTER

Pokazałem, jak uwędzić szybko na sianie rybę, ser, śmietanę do ryby, a także ziemniaki, z których zrobiliśmy czarne kopytka, mieszając je z popiołem. Aromat wędzenia wyróżnia naszą kuchnię na arenie międzynarodowej. Siana używam do duszenia, marynowania kawałka dziczyzny w mocnym alkoholu, miodzie. Sianem opalam mięso, aby zarazem trochę podwędzić. Takie danie dobrze pachnie i jest rozkoszą dla podniebienia. Siano ma nieograniczone zastosowanie, podobnie jak zioła. Uważam je za jedną z bogatszych mieszanek ziół, używam go na potęgę w swojej kuchni.

zwierciadło

JOANNA
TRZĘPIEĆIŃSKA,
AKTORKA

W trudnym momencie życia, po rozwodzie, uległam złudzeniu, że szkoła katolicka to będzie dobre miejsce do przekazania moim synom rodzinnych wartości, które cenię. Ze społeczność katolicka wspomogła mnie w trudach wychowawczych, jakie czasem niesie samotne macierzyństwo. Byłam nastawiona do tego pomysłu entuzjastycznie. Finał był taki, że w gimnazjum żaden z moich synów na lekcje religii chodzić już nie chciał, w liceum tym bardziej. Bo zaczęli samodzielnie myśleć i konfrontować to, co Kościół w Polsce głosi, z tym, co się w Kościele dzieje. Ogólny przekaz Kościoła w Polsce jest trudny do przyjęcia, a określenie „papież lewak” mnie trwoży.

Aby język giętki...

PROF. MONIKA PŁATEK
O OBIETNICY ROBERTA BIEDRONIA

Mnie osobiście niczego nie obiecywał. Obiecał to ludziom. To jest sprawa między nim a jego wyborcami.

DANIEL PASSENT
O RYSZARDZIE CZARNECKIM

Symbol zepsucia, zachłanności, cwaniaków jakich mało.

ADAM WORONOWICZ O WŁADZY

Rządzi nami generacja, której się wydaje, że ucieka przed milicją na Krakowskim Przedmieściu.

URSZULA PAŚLAWSKA
O ŚLUBOWANIACH POSELSKICH

Trzykrotnie ślubowałam w Sejmie, ale nigdy nie powiedziałam: „Tak mi dopomóż Bóg”. Powiedziałam jedynie: „Ślubuję”. Bo lepiej nie mieszać Boga do polityki i mediów.

PROF. ZBIGNIEW IZDEBSKI
O MICHALINIE WISŁOCKIEJ

„Sztuka kochania” miała kilkanaście recenzji naukowych, z czego tylko dwie pozytywne.

ANDRZEJ CHYRA
O PRZEMOCY W TEATRZE

Teatr to ryzykowne miejsce. Cały antyk, Szekspir to kronika przemocy. Uwalniają się demony.

MICHAŁ LISTKIEWICZ
O JERZYM BRZĘCZKU

Nie jestem przekonany, czy jego zmiana była uzasadniona. On swoje zadanie wykonał. Awansowaliśmy. Gra nie była za piękna, ale to nie jazda figurowa.

SOBIEŚLAW ZASADA O REKORDZIE TRASY

W 1969 r. dojechałem porsche z Krakowa do Warszawy w godzinę i 32 minuty, a nie było jeszcze drogi ekspresowej. Nie spotkałem po drodze więcej niż 10 samochodów.

DOROTA WELLMAN O CELEBRYTKACH

Nie inspirują nikogo do niczego, chyba że do kupienia nowego kosztiumu kąpielowego i nowych kosmetyków.

JOLANTA FRASZYŃSKA O SOBIE

Słodką nigdy nie byłam. Moja kobiecość nie była okryta falbankami i trzepotaniem rzęs.



Czekając
na kolarzy.
Kibic
na trasie
etapu
Tour
de France.

Niech będzie pochwalony, gdzie kasa?

W Rzymie policjanci przebrani za księży zatrzymali oszustów przebranych za kardynałów, a to wszystko w bazylice Matki Bożej Anielskiej i Męczenników na placu Republiki. Fałszywi kardynałowie od lat proponowali ludziom wysokie pożyczki w zamian za równie wysokie zaliczki. Po otrzymaniu pieniędzy znikali. W bazylice oszuści mieli zainkasować od następnej ofiary 15 tys. euro. Trafili jednak prosto w ręce policjantów w sutannach. Mimo oczywistej winy jeden z zatrzymanych do końca twierdził, że nie można go aresztować, bo ma immunitet dyplomatyczny. Policjanci jednak w tej kwestii byli niedowiarkami.

WyPiSy z rodziny

Skutkiem ubocznym uchwały PiS o nepotyzmie może się okazać kompletne osierocenie co bardziej prominentnych działaczy – tak sobie myślimy, obserwując gwałtowne kurczenie się kręgu rodzinnego Jacka Sasina. Niedawno dowiedzieliśmy się, że siostra żony to nie rodzina, teraz już i teść rodziną być nie chce. Na wszelki wypadek zajrzeliśmy do słownika, ale twardo głosi, że rodzina to „małżonkowie i ich dzieci; ogólniej też: osoby związane pokrewieństwem i powinowactwem”. Powinowactwo: „stosunek rodzinny zachodzący między jednym z małżonków a krewnymi drugiego małżonka”. Słowniki do zmiany? Dobrej niewątpliwie.

Ban na „Gangnam Style”

W Korei Południowej wprowadzono niezwykle obostrzenia covidowe. Od tej pory na siłowniach nie będzie można słuchać muzyki, której tempo przekracza 120 uderzeń na minutę. Według władz ma to zapobiec rozprzestrzenianiu



się wirusa – ludzie będą wolniej oddychać i mniej się poćić. Zakazane jest też korzystanie z pryszniców, a na bieżni można biegać maksymalnie 6 km na godzinę. I chociaż zarówno politycy opozycji, jak i właściciele siłowni nie są przekonani do pomysłu, nas już nic nie dziwi i czekamy, aż to zalecenie dołączy do katalogu polskich absurdalnych obostrzeń.

Zamiast manny ryby z nieba

Władze Utah w USA wpadły na pomysł, jak zarybiać jeziora, do których nie da się ani dopłynąć, ani dojechać. Po prostu zrzucają ryby z samolotów wprost do wody. Podczas jednego kursu samolot może wyrzucić nawet 35 tys. rybek, ok. 2,5-7,5 cm każda. Podobno ogromna większość przeżywa. Wszystko fajnie, dopóki jakiś wędkarz nie znajdzie się akurat w centrum wydarzeń. Nie chcielibyśmy potem przeczytać, że rekinado naprawdę istnieje.

Niewinny zabójca

Amerykańska firma Culper Precision „przebrała” glocki w klocki Lego. Pistolety wyglądają jak zabawki, problem w tym, że nimi nie są. Na falę krytyki producent odpowiada, że klockowy pistolet to tylko jedno z dziecięcych

MEMY BEZ ŚCIEMY





W Tokio trwają mordercze treningi w pełnym skupieniu.

marzeń, które stało się rzeczywistością. Może i tak, ale wszyscy pamiętamy hasło „dzieci + zapalniczki = pożar”. Obawiamy się, że kombinacja dzieci + pistolety Lego też może nie być najszczęśliwsza.

Jadowity superglue

Międzynarodowy zespół naukowców opracował błyskawiczny opatrunek, który przypomina klej. Do stworzenia medycznego superglue użyty został jad węża. Zawarte w wydzielinie żararaki lancetowatej enzymy wpływają na szybsze krzepnięcie krwi. Wystarczy nałożyć uzyskany z oczyszczonego jadu klej na miejsce skaleczenia i poświecić latarką, aby już po kilkudziesięciu sekundach rana się zasklepiła. Wynalazek tyleż imponujący, co przerażający. Ukąszeni przez żararakę, a więc mający styczność z nieoczyszczonym jadem, płakali krwawymi łzami.

Wspinaczka? Wujkowi Google nie ufaj

Szkockie organizacje wspinaczkowe oskarżają aplikację Google Maps o wskazywanie turystom potencjalnie zabójczych tras. Specjalistka Heather Morning z Mountaineering Scotland twierdzi, że pokazywane przez GM ścieżki stanowią wyzwanie nawet dla doświadczonych wspinaczy. Chyba najwyższy czas zaproponować pracownikom firmy z Mountain View, aby wylogowali się z tego całego internetu i zobaczyli trochę prawdziwego życia.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

www.tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz **e-mail:** p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz **e-mail:** r.kurkiewicz@tygodnikprzegląd.pl
Robert Walenciak **e-mail:** r.walenciak@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat **e-mail:** j.wielgat@tygodnikprzegląd.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogońkiewicz
e-mail: a.gogonkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Paula Leśniewska, Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,
Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Władki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorothea Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotodzyktory: Magdalena Głuska, Rafał Pyszyn
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek **e-mail:** a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska **e-mail:** a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka **e-mail:** s.zawadzka@tygodnikprzegląd.pl

Koordynator ds. komunikacji i PR

Piotr Ciszewski **e-mail:** p.ciszewski@tygodnikprzegląd.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupichowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Przemek Matecki, bez tytułu [Michał Anioł],
z cyklu „Małe obrazy”.

patronat PRZEGLĄDU

SZTUKA karmi SZTUKĘ



Jerzy Kosalka, Żegnam Państwa.

Wykorzystywanie wcześniejszych osiągnięć artystycznych jako punktu wyjścia do własnej sztuki ma wielowiekową tradycję. W sztuce współczesnej artyści chętnie sięgają po gotowe rozwiązania kompozycyjne, schematy ikonograficzne, np. pokłon Trzech Króli czy ukrzyżowanie, tworzą kolaże lub filmy *found footage*. Źródłem inspiracji dla autorów prezentowanych na wystawie są dzieła innych twórców. Najczęściej bazują oni na malarstwie i rzeźbie, ale też na literaturze i filmie. Czerpią ze sztuki dawnej i z dorobku współczesności. Wybierają dzieła nośne znaczeniowo i wchodzą z nimi w krytyczny lub afirmujący, a czasem humorystyczny dialog.

Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie MOCAK,
budynek A, ul. Lipowa 4
do 20 marca 2022



Bjørn Nørgaard, Recycling Art.



Mariusz Tarkawian, Tribute to Robert Mapplethorpe.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



unicef



dla każdego dziecka

Pomóż
dzieciom w Syrii
przeżyć wojnę

unicef.pl/syria

PLENR



SIERPNIOWY

KAZIMIERZ

ZAPRASZA

SANAH

20 / 08 / 2021

KAZIMIERZ DOLNY / KAMIENIOŁOM

BILETY DOSTĘPNE NA: **TICKETCLUB.PL**

Partnerzy:

MAXXX

Poleca nam naszemiasciwo

CGM

Organizatorzy:

STODOLA



FORUM KULTURY
Współpraca z instytucjami kulturalnymi
Pogodzenie z instytucjami kulturalnymi
COVID-19